

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Nr 1/616-2/617 1999



• « *La Culture* » • *Revue mensuelle* •

A. KARCZEWSKI, A. ZIABICKI:
BADANIA NAUKOWE W POLSCE

S.J. ŻUREK: **CO CZYTAJĄ MATURZYŚCI**
– ANKIETA

B. KERSKI: **KONIEC EPOKI KOHLA**

L. UNGER: **KWESTIA KATA**
(ROZMOWA Z ADAMEM MICHNIKIEM)

SPIS RZECZY

Witold Karczewski, Andrzej Ziabicki:	<i>Badania naukowe w Polsce – blaski i cienie</i>	3
Jerzy J. Wiatr:	<i>Spory o politykę oświatową w Polsce</i>	14
Zofia Romanowiczowa:	<i>Czy istnieje życie poobozowe</i>	25
Sławomir J. Żurek:	<i>Czytelnicy bez przesady</i>	39
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Basil Kerski:	<i>Koniec epoki Kohla</i>	65
Stefan Abner:	<i>Dylemat Unii: bezrobocie contra rozszerzenie</i>	76
Janusz Mondry:	<i>Kryzys w Azji</i>	88
WYWIADY „KULTURY”		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i Warszawy. Kwestia kata (Rozmowa z Adamem Michnikiem)</i>	97
KRAJ		
Robert Kaczmarek:	<i>Wychowanie do kapitalizmu (3)</i>	111
Krzysztof Wolicki:	<i>Histerie i kryzysy</i>	118
SMECZ:	<i>Z ukosa</i>	127
Ewa Berberyusz:	<i>Kartki ze skażonej strefy</i>	140
SĄSIEDZI		
Bohdan Osadczyk:	<i>Niemcy, Polska, Ukraina</i>	151
Julian Golak:	<i>„Bądźmy rodziną!”</i>	158
SPRAWY I TROSKI		
Jerzy Boniecki:	<i>Polskie niespodzianki</i>	160
Joanna Pomian-Saatdjian:	<i>„Bo u nas w Polsce”</i>	167
Walerian Domański:	<i>Po szesnastu latach</i>	176
KRONIKA KULTURALNA		
Alina Nowicka-Jeżowa:	<i>Warszawskie spotkanie polonistów zagranicznych</i>	181
Magdalena Rostron:	<i>Niech żyje angielski</i>	192
–	<i>Nagrody</i>	198
–	<i>Kasa im. Józefa Mianowskiego</i>	201
NOTATKI REDAKTORA 204		
CI, CO ODESZLI		
Anna Strońska:	<i>Nie lubię takich znaków</i>	206
KSIAŻKI		
Leszek Szaruga:	<i>Świadekstwo liryki</i>	210
Marek Skwarnicki:	<i>Nacjonalizm chrześcijański w Trzeciej Rzeczypospolitej</i>	214
Sokrat Janowicz:	<i>„Pan Tadeusz” po raz czwarty</i>	217
–	<i>Wydarzenia miesiąca oraz Kronika kanadyjska</i>	220
–	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	224

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Styczeń-Luty/Janvier-Février 1999

**NAGRODY „KULTURY” ZA ROK 1998
otrzymują:**

**Nagrodę Literacką im. Zygmunta Hertza –
LESZEK SZARUGA**

**Nagrodę Publicystyczną im. Juliusza
Mieroszewskiego – ANDRZEJ MICEWSKI**

**Nagrodę Przyjaźni i Współpracy –
HENRYK RATAJCZAK**

INSTYTUT



LITERACKI

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

H.M. Arter, Podstaw, NSW (Australia) – po raz 5-ty	F. 270,00
Andrzej i Jerzy Albrechtowie, Monachium (Niemcy) – w 28-mą rocznicę śmierci mgr Jadwigi Albrecht z domu Adamskiej, mikrobiologa, najlepszej, nigdy niezapomnianej Żony i Matki – mąż i syn	F. 270,00
Adam Czerniawski, Lasswade, Midlothlau (Szkocja)	F. 2.000,00
Maria Debkowska, Chicago, IL (USA) – po raz 3-ci – dol. 50,00	F. 280,00
Wanda i Czesław Deminiet, Tucson, AZ (USA) – po raz 26-ty – dol. 34,00	F. 190,00
Adam Galkowski, Paryż	F. 500,00
Stafan Jan Ginilewicz, Bakersfield, CA (USA) – po raz 22-gi – dol. 33,00	F. 184,00
Roman Grygorcewicz, Skarsdale, N.Y. (USA) – po raz 3-ci – dol. 10,00	F. 56,00
Andrzej Jędrkiewicz, Mediolan (Włochy) – po raz 34-ty	F. 200,00
B.W. Kinastowscy, Weland, ON (Kanada)	F. 800,00
Karol J.Krótki, Edmonton, Alta (Kanada) – po raz 22-gi	F. 570,00
Inż. Jerzy Łagocki, Buenos Aires – po raz 3-ci – dol. 100,00	F. 560,00
Mila i Emanuel Łopatto, Florencja (Włochy) – dla uczczenia pamięci Witolda Zahorskiego w 10-tą rocznicę Jego śmierci	F. 300,00
Tadeusz Maczyński, Des Plaines, FL (USA) – po raz 22-gi – dol. 17,00	F. 95,00
Kazimierz Mamak, Knutange (Francja) – po raz 19-ty	F. 100,00
Janusz Morkowski, Dübendorf (Szwajcaria) – po raz 7-my	F. 300,00
Bronisław Partyka, Port Orange, FL (USA) – po raz 17-ty – dol. 41,00	F. 230,00
Irena Pleszczyńska, Santa Barbara, CA (USA) – po raz 32-gi – dol. 76,00	F. 425,00
Stefan Rosé, Paryż – po raz 20-ty	F. 1.400,00
Dr. Władysław W. Socha, Upper Grandview, NY (USA) – po raz 22-gi – dol. 24,00	F. 134,00
L. i M. Stauberowie (Niemcy) – zamiast kwiatów na grób Mariana Brandysa	F. 300,00
Franciszek Strociak, Park Ridge, IL (USA) – po raz 39-ty – dol. 91,00	F. 510,00
Longin E. Sztachański, Seminole, FL (USA) – po raz 51-szy – dol. 20,00	F. 112,00
W czternastą rocznicę śmierci mego Męża i nieodżałowanego Przyjaciela, śp. Edwarda Puacza – Mira Puacz (Chicago, IL, USA) – dol. 500,00	F. 2.800,00
Tadeusz Wyrwa, Paryż – w 54-tą rocznicę rozbrojenia przez armię sowiecką – dnia 17 stycznia 1945 r. w Wisach-Radoszycach – oddziału partyzanckiego 2-go batalionu 25-go p.p. AK, którym dowodził kpt./mjr Józef Wyrwa, pseudonimy „Furgalski” – „Stary”	F. 500,00
Elżbieta Zahorska i syn Witold, Rzym – Paryż w 10-tą rocznicę śmierci Męża i Ojca – Witolda Zahorskiego	F. 500,00
Lucja Zalewska, Chicago, IL (USA) – po raz 34-ty – dol. 1.000,00	F. 5.600,00
Eleonora Jędrysek, New York – na Towarzystwo Opieki nad Archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu – po raz 2-gi – dol. 100,00	F. 560,00



DZIĘKUJEMY

1999 J 1092

Badania naukowe w Polsce – blaski i cienie

W opiniach na temat nauki w Polsce – jej poziomu, sposobu finansowania i jego wysokości panuje wielkie materii pomieszenie. Wiele osób przedstawia różne, często wzajemnie się wykluczające oceny tego, co było i recepty na to, co być powinno. Mamy rzecz jasna i my swój pogląd, zanim go jednak przedstawimy, konieczne wydaje się nam podanie Czytelnikowi garści faktów – a nawet zarysu historycznego tego, co działo się w Polsce z nauką w okresie powojennym.

W połowie lat pięćdziesiątych powstał w Polsce centralistyczny system administrowania nauką i szkolnictwem wyższym, wzorowany na systemie sowieckim. Środowisko naukowe zostało podzielone na trzy „piony” podlegające różnym resortom: uczelnie wyższe, placówki naukowe Polskiej Akademii Nauk i placówki resortowe, znane obecnie jako „jednostki badawczo-rozwojowe” (instytuty branżowe, ośrodki badawczo-rozwojowe, centralne laboratoria itp.). Pierwsze miały służyć nauczaniu („produkcji kadr”); kierownictwu Akademii i instytutom PAN powierzono odpowiedzialność za rozwój badań podstawowych, instytuty branżowe miały rozwijać badania stosowane i zapewniać rozwój ekonomiczny. Był to schemat prosty, lecz niezbyt skuteczny. Nawiasem mówiąc, fakt że ta niewątpliwie konfliktogenna struktura utrzymuje się do dziś, jest jedną z bardziej dotkliwych porażek nowego systemu organizacji i finansowania badań naukowych w Polsce. Scentralizowany i biurokratyczny system zarządzania, którego przykładem był m.in. system „centralnych problemów badawczych” (węzłowych, resortowych itp.), ograniczony udział

uczonych w zarządzaniu nauką i podejmowaniu decyzji strategicznych, a wreszcie utrudnienia wyjazdów zagranicznych (szczególnie w naukach humanistycznych i społecznych) spowodowały, że w latach 1970-1989 w Polsce i innych krajach RWPG, obok badań wartościowych krzewiły się badania pozorne, pseudonaukowe, zyskujące aprobatę władz lecz pozbawione zarówno większych wartości poznawczych jak i perspektywy zastosowań praktycznych. Ograniczenie środków finansowych (zwłaszcza w walutach wymiennalnych) doprowadziło do dekapitalizacji i zubożenia warsztatów naukowych (aparatura, biblioteki) i w znacznym stopniu ograniczyło możliwości wykonywania w Polsce badań na poziomie światowym. Badania stosowane prowadzone w jednostkach badawczo-rozwojowych rzadko prowadziły do opracowania i wdrożenia nowych technologii. Liczba opracowanych w Polsce patentów była żenująco mała, nie mówiąc już o liczbie sprzedanych licencji i wdrożeń nowych technologii. Poważnym problemem stał się „drenaż mózgow”.

Finansowanie badań naukowych w schyłkowym okresie „realnego socjalizmu” odbywało się ze środków „funduszu celowego” (Centralny Fundusz Rozwoju Nauki i Techniki – CFRNiT) złożonego z obowiązkowych wpłat wielkich przedsiębiorstw państwowych (1,2% wartości sprzedaży). To parabudżetowe, krypto-podatkowe rozwiązanie zapewniało wprawdzie „łatwe pieniądze” znacznej liczbie placówek badawczych i badaczy, ale nie obejmowało środków dewizowych (bez których nie było mowy o nowoczesnej aparaturze badawczej, książkach i czasopismach – a zatem o prowadzeniu przyzwoitych badań), a ponadto eliminowało kontrolę społeczną wydawanych pieniędzy, ułatwiało marnotrawstwo i rozwój działań pozornych. Reformy ustrojowe z 1989 objęły m.in. likwidację CFRNiT i innych funduszy celowych. Podniosły się wówczas głosy (przede wszystkim ze strony kierownictwa PAN), że spowoduje to ostateczny upadek nauki. W rzeczywistości do upadku nauki doszłoby, gdyby była ona nadal finansowana z CFRNiT-u, gdyż wielkim państwowym molochem zabrakło w warunkach gospodarki rynkowej środków nie tylko na różne fundusze celowe, lecz również na podatki, obowiązkowe składki ZUS i płace pracowników. Dotacje, jakie w związku z tym musiały otrzymywać na okres

reformowania się wielkie zakłady, a nawet całe branże (np. górnictwo), kładą się do dzisiejszego dnia ciężkim brzemieniem na budżecie państwa.

Pomimo tych i innych słabości – w niektórych dziedzinach badań (matematyka, fizyka, chemia, podstawowe nauki przyrodnicze i techniczne, niektóre gałęzie historii i socjologii) uzyskiwano znaczące i liczące się na świecie wyniki naukowe. Wiązało się to z wysokim statusem społecznym uczonych, ich względnie niezłą sytuacją materialną, a w obszarze nauk ścisłych, przyrodniczych i technicznych także znaczną swobodą wyboru tematyki badawczej i rozwiniętymi kontaktami naukowymi z zagranicą. Hamulców było jednak mnóstwo: jeśli się nawet udało zdobyć tzw. „cenne dewizy” na aparaturę, mogło się okazać, że jest ona przedmiotem embarga COCOM. Polska była jednak i w tym względzie w sytuacji lepszej od sąsiadów; w czasach późnego Gomułki jeden z nas (WK) odbierał z lotniska oscyloskop, na którego opakowaniu znajdował się wielki napis: „Not to be scheduled on a Russian flag airliner”...

Działania opozycyjnych środowisk intelektualnych w latach 1970-80 nie włączały w zakres swoich zainteresowań polityki naukowej. Zagadnień nauki nie dotyczyły żadne znane nam opracowania KOR, czy Konwersatorium Doświadczenie i Przyszłość. Dopiero ruch „Solidarności” zaktywizował wszystkie środowiska zawodowe, w tym pracowników uczelni wyższych, placówek PAN i JBR. W 1980 powstała Ogólnopolska Komisja Porozumiewawcza Nauki NSZZ Solidarność (OKPN) i jej odpowiedniki w trzech „pionach”: OKP Szkół Wyższych, OKP PAN i OKP Instytutów Badawczych. W chwili wprowadzenia stanu wojennego zakończone były prace nad kompromisowym rządowo-solidarnościowym projektem Ustawy o Szkolnictwie Wyższym, który w okrojonej postaci uchwalony został przez Sejm w r. 1982.

Utworzone w r. 1980 Towarzystwo Popierania i Krzewienia Nauk odegrało wówczas rolę „ośrodka krystalizacji” myśli reformatorskiej, stało się zaczynem intelektualnym przyszłych reform. Ówczesne władze „doceniły” niebezpieczeństwo, w stanie wojennym zawieszając a następnie rękami gen. Kiszczaka, rozwiązując Towarzystwo. TPKN było jedynym towarzystwem naukowym, które spotkał taki los. Na

formalną „reaktywizację” (ponownie „wykonaną” przez gen. Kiszczaka) TPKN czekało aż do ostatnich dni PRL.

Działalność społeczna w latach 1981-1989 wiązała się z utrzymaniem podziemnych struktur „Solidarności” w placówkach naukowych, a także utworzeniem, wiosną 1982 r., podziemnego Społecznego Komitetu Nauki (nb. bodaj wszyscy członkowie SKN byli członkami rozwiązanego już wówczas TPKN). Trzeba przypomnieć, że po okresie liberalizacji 1980/81, represje stanu wojennego (zwolnienia z pracy, zakaz wyjazdów zagranicznych, utrudnienia awansu naukowego) w istotny sposób dotknęły wielu, zwłaszcza młodszych, pracowników nauki. SKN pomagał represjonowanym, m.in. przydzielając stypendia naukowe i publikując przykłady niewłaściwego zachowania się władz – również naukowych, a także wydając skrypty i książki naukowe z dziedziny filozofii, nauk społecznych i historycznych, które znalazły się na indeksie władzy. W tym samym czasie małe grono uczonych wywodzących się z TPKN rozpowszechniło „Kodeks Etyczny Pracownika Nauki”. Wywołał on wielkie zainteresowanie środowiska i wielogodzinne przesłuchania przez Służbę Bezpieczeństwa grupki osób „podejrzanych” o autorstwo.

W r. 1984, działający jako przewodniczący podziemnej Komisji Krajowej NSZZ „S” Lech Wałęsa, wystąpił do opozycyjnych intelektualistów z propozycją opracowania „białej księgi” podsumowującej stan kraju pięć lat po powstaniu „Solidarności” i zawierającej propozycje niezbędnych reform. W skład raportu „Polska – 5 lat po Sierpniu”, który ukazał się w r. 1985, wchodził rozdział poświęcony nauce i edukacji. Krytykowano w nim scentralizowany system zarządzania nauką i wysuwano szereg postulatów. Wiele z nich pojawiło się później przy Okrągłym Stole i ostatecznie w Ustawie o Komitecie Badań Naukowych.

Przemiany polityczne r. 1989 spowodowały wzrost aktywności kół opiniotwórczych, również w środowiskach akademickich. W otwarciu działających środowiskowych strukturach „Solidarności” (w tym OKPN), w restytuowanym Towarzystwie Popierania i Krzewienia Nauk, a także innych gremiach opiniotwórczych, dyskutowano potrzeby zmian i reform. Postulowano integrację instytucji naukowych, wprowadzenie

jasnych i „sprawiedliwych” zasad rozdziału pieniędzy na badania naukowe, ograniczenie administracyjnej roli Ministerstwa Edukacji Narodowej i Polskiej Akademii Nauk.

Utworzenie Komitetu Badań Naukowych było odpowiedzią na postulaty środowiska naukowego dotyczące powołania społecznej Rady Badań Naukowych nadzorującej politykę naukową Państwa. Ustawa z 12 stycznia 1991 r. miała stworzyć prawne podstawy gruntownej transformacji systemu badań naukowych w Polsce i, z założenia, miała mieć charakter przejściowy. Główną ideą utworzenia KBN było wyeliminowanie redystrybucji środków finansowych na badania naukowe i „demokratyzacja” decyzji przez włączenie w skład KBN osób wybieranych przez ogół pracowników naukowych (od stopnia doktora). Warto przypomnieć, że Komitet Badań Naukowych jest hybrydowym organem decyzyjnym na szczeblu ministerstwa, składającym się z przewodniczącego (w randze ministra, członka Rady Ministrów), sekretarza (w randze podsekretarza stanu), 12 członków wybieranych przez środowisko naukowe i 5 przedstawicieli resortów mianowanych przez premiera. KBN jest jedynym dysponentem środków budżetowych z działu „Nauka”, a adresatem przyznawanych na badania środków są bezpośredni wykonawcy badań – organizacje badawcze i indywidualni badacze. Badający szczegółowo sytuację nauki w Polsce egzaminatorzy z OECD stwierdzili, że utworzenie Komitetu było jednym z większych sukcesów reform instytucjonalnych w naszym kraju i że zakres jego działania powinien zostać rozszerzony. Stwierdzili także, że filozofia i system konkurencji – wprowadzony przez KBN – są słuszne. Widzieli jednakże narastającą presję niektórych środowisk na przywrócenie *status quo ante* i nawet użyli mocnego określenia *counter-revolutionary pressures*. Śledząc rozwój wydarzeń trudno nie przyznać racji tym obawom. Winą za ten stan rzeczy Autorzy obarczają także Komitet za zbyt powolne działania w kierunku zdecydowanej transformacji – jak piszą – „dawniej dominujących instytucji i grup interesów”. Tu też mieli w owym czasie zapewne rację. Powierzenie KBN rozdziału środków na badania naukowe wiązało się z odebraniem tych uprawnień PAN, MEN i innym resortom nadzorującym działalność placówek badawczych. Wzbudziło to początkowo

bardzo emocjonalne reakcje, szczególnie ze strony PAN. W tym świetle stwierdzenie prof. A. Wyczańskiego, do niedawna wiceprezesa i sekretarza naukowego PAN, że „...jedynym, skromnym sojusznikiem KBN była (...) Akademia [Nauk]”. („O kryzysie nauki w Polsce”, *Kultura*, wrzesień 1998) – brzmi naprawdę jak żart; jeśli w ogóle „sojusznikiem”, to wyjątkowo, wręcz niestęchanie skromnym...

W dyskusjach podejmowanych w środowisku naukowym w latach dziewięćdziesiątych wielokrotnie powracano do roli Polskiej Akademii Nauk. Do r. 1989 Akademia spełniała funkcje resortu, a Sekretarz Naukowy PAN był członkiem Rady Ministrów. Podnoszono mały udział placówek PAN w edukacji, niewykorzystanie znacznego potencjału intelektualnego i materialnego, konieczność większego zaangażowania placówek PAN w szkolnictwie wyższym. Pojawiały się propozycje likwidacji placówek naukowych PAN, lub włączenia ich do uczelni wyższych. Kręgi najbardziej radykalne postulowały (w 1992) zgoła rozwiązanie PAN, lub ograniczenie roli Akademii do korporacji o charakterze opiniotwórczym. Na konieczność reformy PAN zwracali też uwagę eksperci OECD. Utworzenie KBN i wprowadzenie nowego systemu finansowania placówek badawczych znacznie ograniczyło uprawnienia administracji Akademii. Obecnie placówki PAN otrzymują za pośrednictwem Akademii jedynie nieznaczną część środków finansowych, *gros* nakładów placówki otrzymują bezpośrednio z KBN, stosownie do swojej pozycji w rankingu instytucji naukowych.

Zainicjowana i przygotowana przez PAN Ustawa o Polskiej Akademii Nauk z r. 1997 nie wprowadziła radykalnych zmian do statusu Akademii. PAN pozostaje na utrzymaniu budżetu Państwa i zachowuje formalnie pozycję instytucji państwowej, jednak bez wcześniejszych prerogatyw. W porównaniu ze stanem z lat 1989-97 władza administracyjna PAN nad podległymi jej placówkami badawczymi uległa nawet wzmocnieniu: do r. 1997 dyrektorów placówek wybierały Rady Naukowe, obecnie – komisje wyznaczone przez władze PAN. Nowością w ustawie z r. 1997 jest dopuszczenie osobowości prawnej placówek naukowych PAN, a także zapisanie w zadaniach PAN „działalności edukacyjnej”, co umożliwi finansowanie działalności dydaktycznej poza

zasięgiem MEN. Jednak zdaniem prof. Wyczańskiego (*vide* wspomniany artykuł w *Kulturze*) „...nowa ustawa raczej pogorszyła (...) sytuację wewnętrzną i niezależność zewnętrzną Akademii (...)”. Jest to niestety pogląd naszym zdaniem trafny, choć trudno pojąć przesłanki, z których wynikał taki, a nie inny kształt nowej ustawy.

Wydaje się, że wprowadzony wraz z utworzeniem KBN system finansowania badań naukowych, w przypadku badań podstawowych spełnia swą podstawową rolę. Kilkuletni okres pracy KBN pozwala zauważyć jego mocne strony i słabości, wielokrotnie dyskutowane w środowisku naukowym. Po raz pierwszy w Polsce wprowadzono otwarty konkurs na dotacje celowe (granty badawcze), dostępny dla wszystkich badaczy i rozstrzygany na zasadzie konkursu. Również po raz pierwszy oparto finansowanie (placówek i projektów badawczych) na ocenach merytorycznych – recenzjach specjalistów i danych statystycznych. Przy wszystkich zastrzeżeniach, jakie można zgłosić do praktyki takich rozwiązań stworzony został jasny i przekonujący, akceptowany przez środowisko naukowe system rozdziału środków publicznych na badania podstawowe.

Prawdziwym dramatem nauki w Polsce jest jej ubóstwo. Środki finansowe wydzielane przez budżet Państwa na badania naukowe systematycznie maleją: z 0,76 % Produktu Krajowego Brutto w r. 1991, spadły do 0,49 % PKB w r. 1997, 0,47 % PKB w roku 1998 i prawdopodobnie 0,45% w roku przyszłym. Obietnicę ministra finansów, że w najbliższych paru latach nakłady nie będą już zmniejszane (w stosunku do PKB) przyjęto z mieszanymi uczuciami, bowiem dno jest bardzo blisko; tak niskich nakładów na naukę nie ma żaden cywilizowany kraj. Dane opracowane przez A.K. Wróblewskiego dokumentują zaskakujące ubóstwo nakładów na naukę w Polsce, w porównaniu z naszymi sąsiadami. Co ciekawe, wszystkie kolejne rządy zaliczały werbalnie badania naukowe do strategicznych priorytetów państwa, ale rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej i wszelkie – może poza edukacją – „inwestycje w kapitał ludzki” pozostawały (i pozostają) pustym hasłem. Trudno się więc dziwić, że w Warszawie zawiązał się ostatnio Komitet Ratowania Nauki.

W jego składzie dominują przedstawiciele nauk podstawowych, co dodatkowo dokumentuje rozróżnienie między wspomnianymi już, nieszczęsnymi „pionami”. Przyznać jednak trzeba, że wprowadzenie podziału na nauki podstawowe i stosowane jest często sztuczny i anachroniczny (np. w naukach medycznych), to jednak sposób finansowania prac teoretycznych i badań dających się zastosować jest na ogół odmienny.

W odróżnieniu od badań podstawowych, badania stosowane zmierzają do osiągnięcia ściśle określonych celów praktycznych. Podejmowanie i finansowanie takich badań ze środków publicznych powinno wynikać z długofalowej polityki rozwoju Państwa, a nie z potrzeb środowiska naukowego. O ile system finansowania badań podstawowych (finansowanie statutowe + granty badawcze) oparty o ocenę jakości naukowej spełnia swoje zadanie, to w obszarze badań stosowanych, pomimo różnych prób organizacyjnych (projekty celowe, projekty zamawiane), Komitetowi Badań Naukowych nie udało się zapewnić powiązania badań stosowanych z ich wykorzystaniem, wdrożeniami i działalnością innowacyjną. Badania stosowane, wdrożenia przemysłowe i innowacje stanowią zdecydowanie słabą stronę działalności badawczej w Polsce. Bez gruntownej decentralizacji systemu, powierzenia planowania, zarządzania i wdrożenia wyników kompetentnym, wyspecjalizowanym ciałom (np. agencjom i fundacjom) stanu tego nie da się poprawić. Niewątpliwie należy dążyć do zwiększenia środków przeznaczanych na badania i rozwój: zarówno tych, które pochodzą z budżetu Państwa, jak i pozabudżetowych. Zależą od tego dalsze losy reformy. Warunki dla pozabudżetowego finansowania badań naukowych w Polsce 1998 roku są trudne, a rynek na usługi badawcze (stanowiący znaczne źródło finansowania instytucji badawczych za granicą) bardzo ograniczony. Lata centralnego sterowania gospodarką nie wykształciły w przedsiębiorstwach państwowych świadomości innowacyjnej i zrozumienia dla badań rozwojowych. Wchodzące do Polski firmy zagraniczne w przeważającej części opierają swój rozwój na badaniach prowadzonych w krajach macierzystych, ignorując możliwości wykorzystania polskiego potencjału badawczego. Także i dlatego wciąż jeszcze niejasne są perspektywy Jednostek Badawczo-Rozwojowych (JBR). Pomimo wieloletnich dysku-

sji, również w działającym przy KBN w latach 1991-1994 Zespole Opiniodawczo-Doradczym pod kierownictwem prof. W. Findeisena, nie udało się jak dotąd doprowadzić do przeglądu istniejących i skutecznego przekształcenia pozauczelnianych placówek badawczych. Dyskutowano m.in. możliwości tworzenia Państwowych Instytutów Naukowych, restrukturyzacji i prywatyzacji placówek działających na rzecz gospodarki, a wreszcie likwidacji jednostek, których istnienie w nowej sytuacji ekonomicznej pozbawione jest uzasadnienia. Polityka finansowa KBN doprowadziła do likwidacji, lub znacznego ograniczenia zatrudnienia w jednostkach badawczo-rozwojowych (do ok. 40% stanu z r. 1989, 1989: ok. 92.000 pracowników, 1993: ok. 41.000 pracowników, w 1998 jednak blisko 48.000, w tym ponad 7.300 pracowników naukowych). Żadne rozwiązanie strukturalne nie udało się jednak bez inicjatyw wychodzących z gospodarki i przez nią wspieranych; konieczne jest „ssanie” z nauki rozwiązań zwiększających konkurencyjność rodzimego przemysłu, a to oznacza ich zamawianie i finansowanie. Polska nie może się tu pochwalić sukcesami: nakłady z przemysłu sięgają mają wprowadzić podobno 0,35% PKB – ale w krajach rozwiniętych połowa nakładów pokrywana jest z tego źródła (a w Japonii nawet ponad 70%!). Pogląd ten potwierdzają niewielkie, jak dotąd, efekty działania Agencji Techniki i Technologii, próbującej objąć cały obszar wdrożeń przemysłowych. Polityka naukowa jest pochodną ogólnej strategii rozwoju Państwa. Polityka naukowa to priorytety i alokacja środków. Tylko rząd i parlament może wypracować strategiczną wizję rozwoju kraju i zapewnić środki na jej realizację. Bez takiej wizji, żadne przedsięwzięcia organizacyjne, listy „priorytetów” zgłaszane przez urzędników resortów lub uczonych zainteresowanych wydawaniem pieniędzy, nie mają większego sensu. Ostatnio zaczyna się jednak coś dziać: Komitet Badań Naukowych przedstawił do konsultacji i dyskusji projekt przekształceń własnościowych Jednostek Badawczo-Rozwojowych. Projekt przewiduje cały szereg scenariuszy: m.in. przekształcenie poszczególnych JBR w spółki prawa handlowego, połączenie ze szkołą wyższą lub instytutem PAN, a także utworzenie Państwowych Instytutów Badawczych (np. w obszarze medycyny, meteorologii,

ochrony środowiska czy bezpieczeństwa państwa). Pojawiła się wreszcie szansa wykorzystania ludzi i niemałego (choć w znacznym stopniu zużytego!) majątku JBR. Konieczny jest jednak rzetelny przegląd pozauczelnianych placówek badawczych finansowanych ze środków budżetowych, określenie ich misji i zapewnienie stabilnego finansowania, zależnego od realizowanych zadań państwowych. W oparciu o wyniki przeglądu należy ułatwić restrukturyzację lub prywatyzację placówek działających w obszarze gospodarki. Podobny postulat wysuwano w raporcie OECD i analizie stanu jednostek badawczo-rozwojowych przeprowadzonej w r. 1996 w ramach programu PHARE.

Z przyjętych w 1991 w ustawie o utworzeniu KBN rozwiązań systemowych niektóre się już wyraźnie zestarzały. Scentralizowana struktura budżetu państwa (koncentracja w jednym dziale „Nauka” wszelkich rodzajów działalności badawczej) i obowiązująca w KBN zasada „unikania re-dystrybucji środków” utrudnia obecnie przyjęcie naturalnego rozwiązania, polegającego na finansowaniu różnych rodzajów działalności badawczej (głównie, choć nie wyłącznie, stosowanej) przez wyspecjalizowane agencje (fundacje) rządowe lub prywatne. Agencje takie, do zadań których powinny należeć realizacja dobrze określonych zadań wynikających ze strategicznych planów rozwoju Państwa, powinny mieć kompetencje i środki finansowe na badania i wdrożenia w powierzonych im dziedzinach (przemysł, rolnictwo, ochrona zdrowia, ochrona środowiska itp.). Byłoby pożądane, aby agencje finansowały również niektóre badania podstawowe o charakterze strategicznym, ukierunkowane na zagadnienia stanowiące przedmiot zainteresowań agencji. Dalszym, naturalnym krokiem ku decentralizacji systemu zarządzania powinna być zmiana struktury budżetu państwa i wprowadzenie środków na badania i rozwój bezpośrednio do budżetów przemysłu, rolnictwa, ochrony zdrowia, itp., z zachowaniem działu „Nauka” (rozumianego jako badania podstawowe) w gestii agencji rządowej – spadkobiercy dzisiejszego KBN.

Słabą stroną Komitetu Badań Naukowych stał się system podejmowania decyzji w sprawach rozdziału środków budżetowych. Wydaje się, że należy już obecnie powoli

odchodzić od „kolegialnego” decydowania o szczegółach finansowania placówek naukowych. Istnieje naturalny konflikt pomiędzy interesem Państwa odpowiedzialnego za rozdział pieniędzy podatników, a osobistym i grupowym interesem członków KBN – reprezentantów środowiska naukowego, które jest konsumentem środków budżetowych. Wydaje się, że hybrydowa struktura KBN, spełniająca w okresie przejściowym pozytywną funkcję społeczną, przeżyła się i czas już na przyjęcie normalnych rozwiązań organizacyjnych w których decyzje w sprawach środków publicznych podejmują mianowani funkcjonariusze państwowi, odpowiedzialni przed kierownictwem Państwa, a nie przed środowiskiem naukowym, które ich wybrało. Tworząc ściśle państwową strukturę decyzyjną (np. agencję podobną do National Science Foundation) można by rozważyć utworzenie społecznego ciała o uprawnieniach doradczych, bądź też zasadę nominacji, czy opiniowania kandydatów przez środowisko naukowe. Podobne sugestie zawarte są także w raporcie OECD. Również i w tym obszarze ruszyła wreszcie (no, może rusza dopiero...) machina legislacyjna. Uzgadniane już założenia nowej ustawy robią całkiem niezłe wrażenie; oby tylko projekt nie został popsuty przez „uzgadniaczy” – tradycje są niestety jak najgorsze!

Witold KARCZEWSKI i Andrzej ZIABICKI

Dr hab. Witold Karczewski jest emerytowanym profesorem nauk medycznych w Centrum Medycyny Doświadczalnej i Klinicznej PAN w Warszawie, współtwórca Komitetu Badań Naukowych i jego pierwszy Przewodniczący w latach 1991-1995, członek-założyciel Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk oraz jego Przewodniczący w latach 1989-1993.

Dr Andrzej Ziabicki jest profesorem nauk chemicznych w Instytucie Podstawowych Problemów Techniki PAN w Warszawie, współtwórca Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk.

Spory o politykę oświatową w Polsce

Przyszłość polskiej oświaty nie od dziś zaprzęta uwagę nie tylko środowisk nauczycielskich, ale szerszej opinii publicznej i elit politycznych. Obecnie jednak spory o kierunek polityki oświatowej stały się ostrzejsze i nabrały szczególnego znaczenia. Dzieje się tak z czterech przede wszystkim powodów.

1. Główne powody sporu

Pierwszym jest przyspieszenie prac nad reformą oświaty, połączone z podjęciem przez rząd decyzji, które w znacznej części środowiska nauczycielskiego wywołały obawy i protesty. Znalazło to między innymi wyraz w bardzo krytycznym stosunku do reformy oświaty październikowego zjazdu Związku Nauczycielstwa Polskiego. Zjazd nie negował potrzeby reformy, ale zarzucił jej autorom to, że projekt nie uwzględnił doświadczeń prowadzonych już od paru lat eksperymentów pedagogicznych i nie wziął pod uwagę doświadczeń nauczycieli. ZNP obwinia także rząd, a zwłaszcza Ministerstwo Edukacji Narodowej o to, że podjęte już i przygotowywane obecnie decyzje nie są konsultowane z największą organizacją zawodową nauczycieli, że szkole narzuca się rozwiązania niekorzystne a zarazem pozbawia ją szans na poprawę warunków materialnych. Związek Nauczycielstwa Polskiego nie jest osamotniony w krytyce reformy oświatowej obecnego rządu. Wielu pedagogów i publicystów zajmujących się od lat problematyką oświaty

zgłasza zasadnicze sprzeciw w stosunku do sposobu, w jaki próbuje się zreformować oświatę. Krytyka ta nie jest, jak usiłują sugerować obrońcy obecnego kierownictwa MEN, wyrazem konserwatyizmu krytyków, lecz ma korzenie w tym, że reforma znalazła się na niebezpiecznym wirażu. Stało się tak ponieważ górę wzięło dążenie do spektakularnego „sukcesu” propagandowego, nawet za cenę forsowania rozwiązań źle przygotowanych i spornych, ale noszących cechy reformatorskiego radykalizmu. Przykładem jest to, co robi się z nowymi „podstawami programowymi”. W 1997 roku weszły w życie nowe podstawy programowe kształcenia ogólnego, opracowane na podstawie wieloletnich prac zespołów ekspertów. Podpisując ten dokument celowo nadałem mu charakter eksperymentalny. Szkoły otrzymały dwa lata na wypróbowanie nowych programów a w 1999 roku miało nastąpić ich zmodyfikowanie w oparciu o to doświadczenie i wtedy dopiero wprowadzenie obligatoryjne nowych podstaw programowych do całego szkolnictwa (z początkiem roku szkolnego 1999-2000). Nowe kierownictwo MEN postanowiło rzecz „przyspieszyć” zmieniając podstawy programowe nie w wyniku doświadczeń szkolnych lecz arbitralnie. Widocznie szło o pozbycie się wszelkiego związku z pracami nad reformą, prowadzonymi przez poprzednią ekipę. Zarazem rządowi udało się doprowadzić do uchwalenia ustawy zmieniającej ustrój szkolny. Najważniejszą, ale i najbardziej sporną cechą tej zmiany jest skrócenie szkoły podstawowej do sześciu lat i utworzenie trzyletniego gimnazjum. Pomysł nie jest nowy. Był on przedstawiany, jako jeden z trzech możliwych wariantów, na posiedzeniu Rady Reformy Edukacji Narodowej w kwietniu 1997 roku. Postanowiliśmy wtedy skierować wszystkie trzy warianty do dyskusji i prac studyjnych. Nie ukrywałem już wówczas, że pomysł sześciolletniej szkoły podstawowej budził moje obawy przede wszystkim z uwagi na możliwe pogorszenie szans edukacyjnych młodzieży wiejskiej. Jeśli bowiem zmiana miałaby być rzeczywista, a nie pozorowana, oznaczałaby ona, że z wielu wsi dzieci musiałyby już po szóstej klasie chodzić do odległego od domu gimnazjum. Nic więc dziwnego, że projekt ten został bardzo ostro skrytykowany przez odbytą we wrześniu konferencję oświatową Polskiego Stronnictwa Ludowego. Nadto zmiana ta wy-

maga innego doboru nauczycieli, czego nie da się zrobić pośpiesznie i bez należytego przygotowania. Wydaje mi się, że pośpiech, z jakim przyjęto tak sporny wariant reformy, miał więcej wspólnego z potrzebami propagandowymi niż z racjami merytorycznymi. Równocześnie zaś zrezygnowano z projektu obniżenia wieku, w którym zaczyna się naukę szkolną. Proponując obniżenie tego wieku z siedmiu do sześciu lat kierowaliśmy się wiedzą o szybszym dojrzewaniu dzieci i młodzieży oraz doświadczeniami niemal wszystkich krajów zachodniej Europy. Byliśmy krytykowani za ten pomysł przez środowiska konserwatywne pod pretekstem, że chcemy wcześniej „odbierać dzieci rodzicom”. Obawiam się, że to właśnie te protesty zaważyły na niesłusznej decyzji o pozostawieniu bez zmiany obecnych regulacji w tej kwestii. Są zaś one nieracjonalne także z tego powodu, że konstytucyjny obowiązek nauki do ukończenia osiemnastu lat przy dwunastoletnim cyklu nauczania podstawowego i średniego najlepiej harmonizuje z zaczynaniem nauki szkolnej przez sześciolatków. Jak widać, w obecnym reformowaniu oświaty pozorny radykalizm łączony bywa z autentycznym konserwatyzmem.

Drugim powodem zaostżenia sporów o politykę oświatową jest to, że po zwycięstwie wyborczym AWS wzmożły się naciski ideologiczne, zmierzające do osłabienia neutralności światopoglądowej szkoły. Uporczywa walka przeciw prowadzeniu w szkołach nauczania w zakresie wiedzy o życiu seksualnym, co wynika z obowiązującej ustawy, ma swą genezę w sprzeciwie integrystycznych środowisk katolickich wobec tego przedmiotu jako rzekomo demoralizującego młodzież. Z Ministerstwa Edukacji Narodowej wyszedł kuriozalny pomysł podziału szkół państwowych na katolickie i laickie, co spotkało się z tak powszechną krytyką, że ministerstwo wycofało się z tego, a dyrektor departamentu utracił stanowisko. Byłoby jednak naiwnością wierzyć, że dokument tej wagi mógł wyjść z ministerstwa wyłącznie za sprawą nadgorliwego urzędnika, bez wiedzy i zgody szefa resortu. Mnie zresztą pojawienie się tego kuriozalnego pomysłu nie zaskoczyło, gdyż od dawna słyszę – także z ust osób wysoko postawionych w oświatowej hierarchii – że niemożliwa jest szkoła neutralna światopoglądowo. Krytycy

tej zasady – powszechnej w demokratycznych państwach zachodnich – nie rozumieją, że neutralność światopoglądowa szkoły nie oznacza odsuwania się od problematyki aksjologicznej i filozoficznej, a jedynie trzymanie się zasady, że państwowa szkoła nie forsuje jakiegoś jednego systemu wierzeń czy poglądów: obojętne, katolickiego, protestanckiego czy laickiego. Nic nie stoi na przeszkodzie tworzeniu prywatnych szkół religijnych czy laickich, ale tam, gdzie oświatą zajmuje się państwo, musi ono, skoro chce być państwem demokratycznym, unikać jakiejkolwiek światopoglądowej stronnictwo. Pilnowałem tej zasady, gdy odpowiadałem za polską oświatę, i uważam, że jest to obowiązek każdego ministra edukacji, niezależnie od jego prywatnych przekonań światopoglądowych. W tym kontekście nasuwa mi się przypomnienie sytuacji z początku lat siedemdziesiątych. Przedstawiony wtedy raport Komitetu Ekspertów, któremu przewodniczył profesor Jan Szczepański, mógł stać się podstawą potrzebnej i nowatorskiej reformy oświaty. Decyzja Komitetu Centralnego PZPR o wzmożeniu „oddziaływania ideologicznego” w szkolnictwie, podjęta równoległe z zaleceniem realizowania reformy, spowodowała jednak zepchnięcie dyskusji o oświacie w stronę ideologii, kosztem potrzebnych i możliwych do przeprowadzenia zmian programowych i organizacyjnych. Czy dziś historia się powtarza, z tym, że w roli ośrodka inspirującego światopoglądową reorientację szkolnictwa występuje hierarchia Kościoła Katolickiego? Jestem przekonany o tym, że wszystkie Kościoły i związki wyznaniowe mają prawo formułować swoje stanowiska w kwestii wychowania i oświaty, i zabiegać o to, by stanowisko to zyskało aprobatę społeczną, ale zarazem przekonany jestem, że obowiązkiem rządu, a w jego ramach szczególnie ministra edukacji, jest dbanie o bezstronny, wolny od ideologicznej stronnictwo, stosunek do wszystkich tych stanowisk. Tak jednak nie jest. Jeśli z ministerstwa wychodzą oficjalne wskazówki w sprawie organizowania katolickiej pielgrzymki do Częstochowy, to trudno odmówić racji tym, którzy widzą w tym jednostronne zaangażowanie wyznaniowe kierownictwa ministerstwa.

Trzecim powodem sporu jest prowadzona na wielką skalę wymiana kadr kierowniczych. Nie idzie tu, rzecz prosta, o

polityczne kierownictwo Ministerstwa Edukacji, bo ono zawsze zmienia się wraz ze zmianą większości parlamentarnej. Ale już fachowi dyrektorzy departamentów czy kuratorzy oświaty powinni być z takiej politycznej wymiany kadr wyłączeni. Poczytuję sobie za sukces to, że pod moim kierownictwem zgodnie i skutecznie pracowali, a także często awansowali, ludzie o bardzo różnych życiorysach i poglądach politycznych, w tym osoby czynnie zaangażowane w działania demokratycznej opozycji w okresie PRL. Uważałem bowiem, że oświata jest sprawą ogólnonarodową, której nie wolno podporządkowywać partyjnej polityce kadrowej, jak to – z fatalnymi skutkami – miało miejsce w czasach PRL. Po zmianie rządu posypały się dymisje, których ofiarami padali bardzo kompetentni i oddani oświacie ludzie – nie tylko zresztą bliscy SLD czy PSL. Najnowszym i ostro krytykowanym przykładem tej polityki jest zdymisjonowanie warszawskiego kuratora oświaty Włodzimierza Paszyńskiego, który znakomicie kierował stołecznym kuratorium od 1990 roku. Pretekstem do jego usunięcia było to, że wypowiedział się krytycznie o obecnym kształcie reformy oświatowej. Przed kuratorem Paszyńskim usunięto ze stanowisk większość kuratorów oświaty, najczęściej nie usiłując nawet przedstawić im merytorycznych zarzutów. Decyzje podejmują wojewodowie, zwykle z inicjatywy władz terenowych „Solidarności”, ale zgodę musi wyrazić minister edukacji narodowej. Nie słyszałem by w jakiegokolwiek sprawie obronił on zagrożonego dymisją kuratora. Środowisko nauczycielskie i opinia publiczna widzą w takich posunięciach personalnych zagrożenie dla oświaty, która nie powinna być sterowana według politycznych, czy wręcz partyjnych, kryteriów.

Czwartym wreszcie powodem sporu o przyszłość oświaty jest jej sytuacja materialna i brak perspektyw poprawy. Sprawa nie jest nowa. Oświata znajdowała się w złej sytuacji finansowej od początku okresu PRL, gdyż znaczna rozbudowa sieci szkolnej wykraczała zawsze poza możliwości finansowe państwa, co prowadziło do systematycznego degradowania pozycji materialnej szkoły i nauczyciela. Do pewnego stopnia rekompensowano nauczycielom tę sytuację, wprowadzając różne uprawnienia pozapłacowe (jak pensum obowiązujących zajęć, długie wakacje i urlopy), co w 1982 roku zostało skodyfiko-

wane w Karcie Nauczyciela – dziś stanowiącej cel uporczywych ataków obozu rządzącego. Po 1989 roku sytuacja stała się jeszcze bardziej dramatyczna, gdyż do wcześniej istniejących problemów doszły dwa nowe: recesja gospodarcza i związany z nią spadek dochodów państwa oraz rosący kontrast między coraz bogatszym sektorem prywatnym a ubożącą „sferą budżetową”, do której należy środowisko nauczycielskie. W roku 1993 sytuacja oświaty była już tak zła, że przez Polskę przeszła fala strajków nauczycielskich. W latach następnych miała miejsce powolna poprawa, ale dopiero budżet 1997 roku stanowił, jak wtedy wierzyliśmy, sygnał przełomu. W roku tym środki przeznaczone na oświatę wzrosły nominalnie o 30 procent, co po odliczeniu inflacji (15%) daje piętnastoprocentowy wzrost nakładów realnych na oświatę. Po raz pierwszy szkoły zostały niemal całkowicie oddłużone, pensje nauczycielskie wzrosły o 7,5% ponad poziom inflacji, a inwestycje oświatowe przyniosły efekty większe niż w jakimkolwiek roku powojennym. Było jednak od początku jasne, że zmiany te nie są wystarczające, gdyż w ciągu jednego roku nie można było nadrobić wieloletnich zapóźnień. Powstały oczekiwania, że polityka preferencyjnego finansowania oświaty, co leżało u podstaw budżetu 1997 roku, będzie kontynuowana w latach następnych. Tak jednak nie jest. Już budżet 1998 roku przyniósł rozczarowanie środowisk nauczycielskich, a projekt budżetu na rok 1999 rozczarowanie to pogłębia. Na tym tle w pełni zrozumiałe są protesty środowisk naukowych i oświatowych, które ostatnio znacznie się wzmożyły. Rząd częściowo sam przyczynił się do wzrostu napięć, gdyż na początku kadencji wysłał sygnały, które odebrano jako zapowiedź wielkiej poprawy. W kampanii wyborczej 1997 roku ówczesna opozycja krytykowała rząd za zbyt małe środki przeznaczone na oświatę, ale po dojściu do władzy zmniejszyła tempo wzrostu nakładów, a w wielu dziedzinach (w tym zwłaszcza inwestycji oświatowych) doprowadziła do radykalnego zmniejszenia środków. Minister edukacji narodowej na początku kadencji zapewnił o wzroście nakładów na oświatę o pięćdziesiąt procent (co oznaczałoby astronomiczną kwotę wzrostu o ponad dziesięć miliardów złotych, a więc o około jedną szesnastą całego budżetu państwa) i zapowiadał swoją dymisję, jeśli takich środków nie

uzyska. Dziś wiadomo już, że z tych zapowiedzi nic nie zostało – poza rozczarowaniem środowisk oświatowych. Zdaję sobie sprawę z tego, jak trudna jest sytuacja finansowa państwa, zwłaszcza, że rząd przyjął koncepcję „chłodzenia” gospodarki narodowej, co musi prowadzić do obniżenia dochodów budżetowych. Daleki jestem od powtarzania tezy, że obowiązkiem rządu jest znaleźć niezbędne środki, wszystko jedno skąd. Faktem natomiast jest, że rząd, który rozbudził społeczne oczekiwania na szybką poprawę, musi liczyć się ze wzmożoną krytyką jego polityki finansowej wobec oświaty.

2. Oświata w warunkach reformy samorządowej

Odrębnym problemem jest przyszłość oświaty w warunkach decentralizacji państwa, wchodzącej w życie od 1 stycznia 1999 roku. Obok szkół podstawowych, które już od 1996 roku znajdują się w pełni pod władzą samorządów gminnych, do władz samorządowych powiatów przejdzie odpowiedzialność za szkolnictwo średnie. Jest to ważny i korzystny krok w kierunku decentralizacji państwa i wzrostu roli samorządów terenowych. Rodzi on jednak dla oświaty szereg poważnych wyzwań.

Nauczanie i wychowanie dzieci i młodzieży jest jednym z wielkich zadań państwowych. Ten punkt widzenia torował sobie drogę stopniowo. Polska słusznie szczyci się tym, że Sejm Wielki tworząc Komisję Edukacji Narodowej – to pierwsze w świecie ministerstwo oświaty – dał wyraz zrozumieniu wagi oświaty jako zadania państwowego.

Uznanie oświaty i wychowania za ważne zadania państwa nie musi prowadzić do monopolizowania tych funkcji przez administrację rządową. Wprost przeciwnie: dobrze funkcjonujący system oświatowy powinien zapewniać należytą rolę rodzicom i środowiskom lokalnym, w tym pochodzącym z demokratycznych wyborów władzom samorządowym. Dotychczasowe doświadczenia zarządzania przez gminy szkołami prowadzi do wniosku, że jest to rozwiązanie dobre. Pozwala ono zwiększyć zaangażowanie władz i środowisk lokalnych w sprawy oświaty i przyczynia się do lepszej kontroli społecznej tej ważnej dziedziny życia.

Jednakże istnieją w tej dziedzinie sprawy nie do końca wyjaśnione, a wymagające maksymalnej jasności. Samorządy, zwłaszcza powiatowe i wojewódzkie, są w wysokim stopniu upartyjnione, co w części stanowi efekt ordynacji wyborczej, w części zaś jest konsekwencją tego, że partie polityczne są już stosunkowo silne, zaś organizacje społeczne nadal bardzo słabe. Upartyjnienie władz samorządowych stawia przed oświatą bardzo realny problem: czy kierunek polityki oświatowej ma być różny w poszczególnych województwach, powiatach i gminach w zależności od tego, jakie siły polityczne doszły tam do władzy? Czy kierunek ten ma zmieniać się wraz z kolejnymi wyborami władz samorządowych? Jaki wreszcie ma być udział centralnych władz państwa w kreowaniu i wcielaniu w życie polityki oświatowej?

Sprawa ma co najmniej trzy aspekty. Pierwszy to programotwórcza rola Ministerstwa Edukacji Narodowej. Według założeń reformy samorządowej, stawać się ono powinno w coraz większym stopniu centrum decyzji programowych, a nie ośrodkiem kierowania systemem oświaty. Trzeba jednak rozważyć środki zapewniające, by koncepcje programowe ministerstwa rzeczywiście stały się podstawą pracy całego szkolnictwa państwowego. Tego nie uda się osiągnąć samymi tylko ustaleniami prawnymi. Konieczne jest stworzenie przy ministerstwie ciała programującego prace oświatowe w sposób ciągły i niezależny od zmiennych koniunktur politycznych. W tym celu powinni znaleźć się przedstawiciele władz samorządowych, wybitni teoretycy i praktycy oświaty. Ustawa o systemie oświaty powinna zagwarantować temu ciału daleko idącą autonomię w stosunku do rządu i ministerstwa, określić sposób jego powoływania tak, by do minimum zredukować wpływ doraźnych interesów politycznych, a zarazem nałożyć na wszystkie szkoły publiczne ustawowy obowiązek realizowania programów ustalanych przez to ciało. Ministerstwo i kuratoria oświaty miałyby między innymi obowiązek realizowania nadzoru pedagogicznego nad realizacją tych ustaleń.

Drugim aspektem sprawy jest system finansowania szkolnictwa. Przy wielkich różnicach zamożności gmin i powiatów, czego nie uda się zlikwidować w najbliższym czasie, finansowanie oświaty będzie w decydującej mierze opierało się na subwencjach z budżetu państwa. Konieczna jest

poważna dyskusja o priorytetach finansowych. Tak daleko idące oszczędzanie na oświacie musi przynosić fatalne skutki, które jeszcze ostrzej dadzą o sobie znać w warunkach pełnego powierzenia samorządom odpowiedzialności za szkoły. Musi więc nastąpić zasadnicza decyzja strategiczna na szczeblu rządowym. Albo trzeba zdecydować się na wzrost udziału budżetu państwa w Produkcie Krajowym Brutto (co oznacza wzrost dochodów z podatków, ceł i akcyzy), albo trzeba przesunąć środki z innych działów do oświaty. To drugie rozwiązanie jest mało realne z uwagi na szczupłość środków a jeszcze bardziej z uwagi na poważny udział w budżecie państwa wydatków sztywnych, jak obsługa długu publicznego, renty i emerytury. Jeśli więc oświata ma wyjść z zapaści finansowej, trzeba będzie zrewidować doktrynalny sprzeciw liberałów wobec wzrostu udziału budżetu państwa w PKB. Trzeba bowiem pożegnać się ze złudzeniem, że przy zmniejszeniu udziału budżetu w PKB realne będą postulaty (w tym Sejmu), by na oświatę, szkolnictwo wyższe i badania naukowe przeznaczać znacznie wyższy niż obecnie procent PKB. Kraju o takim poziomie zamożności jak Polska na politykę ograniczania dochodów i wydatków budżetowych po prostu nie stać. Równocześnie konieczne jest stworzenie zachęt dla władz samorządowych, by w ramach swych możliwości powiększały środki na oświatę.

Trzecim wreszcie problemem jest zapewnienie szkole ochrony przed politycznymi ingerencjami władz samorządowych. Wymaga to wzmocnienia gwarancji zawartych w ustawie o systemie oświaty, w szczególności zaś zwiększenie udziału przedstawicieli środowiska nauczycielskiego w konkursach na stanowisko dyrektora szkoły a także zwiększenie ochrony dyrektorów szkół przed arbitralnym, nie wynikającym z udowodnionych racji merytorycznych, odwołaniem ze stanowiska. Kroki takie zapewne nie spowodują całkowitego rozwiązania problemu, ale powinny przyczynić się do stworzenia wokół szkoły swego rodzaju obszaru politycznej neutralności.

3. Szkoła wychowania państwowego

Szkoła ma nie tylko kształcić lecz także wychowywać młodych obywateli Rzeczypospolitej. Wiele mówi się o potrzebie krzewienia tradycji patriotycznej w wychowaniu szkolnym, a także wiele robi się w tym kierunku. Jeśli podnoszę teraz ten problem, to nie dlatego, bym kwestionował dotychczasową pracę szkoły w dziedzinie kultywowania patriotycznych, obywatelskich tradycji. Co więcej, uważam, że właśnie szkoła polska ma w tej dziedzinie szczególnie duże zasługi.

Istnieją jednak dwie kwestie wykraczające poza ramy tradycyjnie pojmowanego wychowania patriotycznego, a ogromnie ważne z punktu widzenia wychowawczych funkcji szkoły.

Pierwszą jest wychowanie w duchu zrozumienia sąsiadów, tworzenia przyjaznych postaw wobec innych narodów, a także wobec żyjących w Polsce mniejszości narodowych. Jesteśmy dziś świadkami propagowania ksenofobii na skalę po ostatniej wojnie nieznaną. Jest to w części konsekwencja zdobytej wolności słowa, z której skwapliwie korzystają także wydawcy oferujący „Protokoły mędrców Syjonu”, czy publikacje podsycające antyukraińskie emocje i eksploatujące w tym celu złe wspomnienia wojenne. Czy szkoła polska chce i potrafi przeciwstawić się ksenofobii?

Niedawno w *Gazecie Wyborczej* (29 października) Bogumiła Berdychowska i Jacek Kuroń przypomnieli odłożoną *ad acta* (przez obecny rząd) sprawę stworzenia polsko-ukraińskiego Domu Młodzieży. W lecie 1997 roku rzecz była już bardzo zaawansowana. Oglądałem przeznaczony na ten cel ładny budynek w miejscowości Susiec (województwo zamojskie). Zatwierdzony został przedstawiony przez wojewodę statut i przyznane środki z rezerwy Rady Ministrów. Po zmianie rządu sprawa rzeczywiście poszła *ad acta*. Jest w tym zaniechaniu coś symbolicznego i wielce niepokojącego. Czy wychowanie patriotyczne ma zbliżać młodzież polską do jej rówieśników w najbliższych nam krajach, czy zasklepić ją w pamięci o czasach minionych, w czym mieści się także wspomnienie o złych doświadczeniach

przeszłości? Gdy zaś o tych złych wspomnieniach mowa, warto dodać, że wychowanie obywatelskie powinno dążyć do przyswojenia młodym ludziom prawdy nie tylko o krzywdach doznanych przez ich przodków, lecz także o uwarunkowaniach dawnych konfliktów, w tym o wojnach obciążających stronę polską. Wydaje się to oczywiste, ale praktyka często odbiega od pięknie głoszonych haseł. W grę wchodzi przede wszystkim poważne przejrzenie programów nauczania i podręczników, jak to już zrobiono w wyniku współpracy polsko-niemieckiej, a później polsko-izraelskiej.

Drugą sprawą jest edukacja europejska. Szkoła ma specjalne zadania w przygotowaniu młodego pokolenia Polek i Polaków do roli, jaką będą mieli do spełnienia w zjednoczonej Europie. Idzie nie tylko o znajomość zasad działania Unii Europejskiej, lecz przede wszystkim o przyswojenie szczególnie etosu europejskiej jedności, który na zachodzie Europy kształtował się stopniowo. Zrobiliśmy w tym kierunku pierwsze kroki. Od 1996 roku działa przy ministrze edukacji narodowej Rada Edukacji Europejskiej, której przewodniczy zasłużony historyk emigracyjny profesor Jan Ciechanowski. Powstały pierwsze programy europejskie. Obserwujemy jednak ostatnio wzrost publicznej krytyki w stosunku do polityki integracji europejskiej. W tych warunkach za szczególnie ważne uważam, by w pracy szkoły kierunek proeuropejski był konsekwentnie utrzymany.

Sprawy oświaty w stopniu szczególnie wielkim wymagają wyłączenia ich ze sfery doraźnej walki politycznej. Kształcenie młodego człowieka trwa kilkanaście lat, a więc znacznie dłużej niż jakikolwiek układ polityczny. W sprawach oświaty i wychowania istnieją znaczne różnice poglądów, ale nie powinno to wykluczać porozumienia ponad politycznymi podziałami. Bez niego spory o politykę oświatową będą jedynie pogłębiały podziały zamiast służyć znajdowaniu najlepszych rozwiązań.

Jerzy J. WIATR

Czy istnieje życie poobozowe

(O PIOTRZE RAWICZU)

Piotr Rawicz rozstał się z życiem w 1982 roku. W maju. Czyli, gdy to piszę, szesnaście lat temu. Życie na tym polega, że stale kogoś nam ubywa. I będzie tak ubywać, póki my żyjemy. Jednych brak nam bardziej, innych mniej. Jednych pamiętamy, wspominamy co chwilę, innych tylko od czasu do czasu. Za niektórymi zatrzaskujemy bramy pamięci na zawsze.

A przecież oni wszyscy gdzieś tam są! Wszyscy razem, po drugiej stronie pamięci. I nagle, bez specjalnej przyczyny, bez powodu, przełazą pod drutami, uchylają bramę. Jakimś gestem, jakimś słowem, jakimś momentem wspólnie kiedyś przeżyтым. Podzielnym zmartwieniem, podzielnym radością, podzielnym kawałkiem chleba. Są znowu przy nas. Jak żywi.

To jest ich życie pośmiertne. Pozagrobowe.

A potem znowu zapominamy ich pamiętać.

Nazywamy to: odkładać do lamusa. Zamykać w lamusie pamięci.

Najgorzej z datami. Który to był rok, który miesiąc tej czy owej śmierci? Daty, nawet te historyczne, obowiązkowe, Chrzest Polski czy Bitwa pod Grunwaldem, kiedyś wykute, automatycznie recytowane na egzaminach, na maturach, płaczą się i zacierają. Robią się niepotrzebne, nie konieczne. A jednak, gdy wchodzi w rachubę czyjaś śmierć prywatna? Więc trochę jakby własna, osobista?

Któż z nas, pozostałych jeszcze przy życiu przyjaciół Piotra Rawicza powie mi teraz, bez zbytniego gmerania w pamięci, który to był rok? Jaki miesiąc, jaki dzień gdy umarł. Ogólne zdziwienie, ubolewanie. Jak to możliwe, szesnaście lat temu? Już, dopiero szesnaście lat temu? Nie do uwierzenia!

W wypadku Piotra Rawicza, ja dobrze pamiętam tę datę. Można obudzić mnie w nocy, a ja, nie otwierając oczu, odpowiem: rok 1982. Miesiąc: maj. Za dzień nie ręczę. Musiałabym to jednak sprawdzić.

Tego roku i tego miesiąca nie mam prawa zapomnieć. Ponieważ właśnie w maju, 1982 roku, urodził się nam wnuk. Właśnie obchodził urodziny szesnaste. Proste! Cóż za babcia byłaby ze mnie gdybym nie pamiętała o urodzinach wnuka!

Każdy zna datę swoich urodzin. Figuruje w naszych dokumentach, z naszym nazwiskiem i naszym adresem. Na przykład na policji. W razie jakiegoś wypadku. Gdyby całkiem mu wyleciało z głowy, stałby się podejrzanym osobnikiem. Symulant? Kto wie, czy nie skierowano by go do szpitala w podejrzeniu o amnezję.

Ów rok, ów miesiąc są więc dla mnie związane z ważnym wydarzeniem rodzinnym. Wszystko zapomnę, to pamiętam, chyba żeby jakaś krańcowa skleroza...

To wcale nie znaczy, że odejście Piotra kojarzy mi się zawsze z przyjściem na świat innego człowieka. To byłaby nieprawda. I gruba przesada. Po prostu, gdyby ktoś o datę śmierci Piotra zapytał mnie, ja to wiem. Skojarzenie mnemotechniczne. Co się każdemu zdarza i co w innych sprawach też się przydaje.

Zdmuchując świeczki na urodzinowych tortach, zamykamy oczy i wypowiadamy życzenie. Po cichu. W sekrecie przed losem. Gdyby je wypowiedzieć na głos, gotowe by się nie spełnić. Los bywa złośliwy.

Tak się złożyło, że któreś z moich urodzin obchodziłam w obozie. W Ravensbrück. Oczywiście, tam i wtedy torty nie wchodziły w rachubę. A jednak dostałam od moich towarzyszek niedoli coś równoważnego! Pajdkę chleba! Niebywałe! Nasza racja dzienna! Nasza baza. One musiały to sobie odjąć od ust! Albo jakoś wykombinować. „Zorganizować”.

Mało tego, wetknęły świeczkę w ten zuchelek. Autentyczną. Wolnościową. Ktoś dostał ją na pewno w paczce z domu.

Niespodzianka! Wręczyły mi ów „tort” uroczyste, wieczorem, po apelu. Było ciemno. Zapaliły świeczkę z ostrożnościami. Nie wolno było dać się przyłapać. Co do zapałki, nie mam już pojęcia skąd się wzięła. Zapałka byłaby poczytana za większy od tortu „sabotaż”.

Zdmuchnęłam płomyk, zamknęłam oczy, wypowiedziałam życzenie. Jednak głośno, nie po cichu. I tak było wiadomo, czego sobie życzę od losu. Wszystkie tego sobie wtedy życzyłyśmy.

Primo: przeżyć. *Secundo:* wrócić. *Tertio:* żeby wojna skończyła się tej wiosny...

Wojna wcale nie skończyła się ani tej wiosny, ani żadnej z następnych. Wiele z nas nie doczekało wiosny właściwej. Nie był im sądzony ani koniec wojny, ani powrót.

Gdy zdmuchiwałam urodzinową świeczkę w moim obozie, Piotr bujał na wolności. Może nie miał wtedy dokładnego pojęcia co to znaczy Oświęcim? Że są obozy, że było ich *mnogo*, że w każdym ktoś już siedział, owszem, to było wiadomo. Ale co znaczyło: siedzieć? Na przykład my, gdy wywożono nas z więzienia w Pińczowie do „obozu” – nikt nie wiedział do jakiego – to był OBÓZ, przez duże O, obóz abstrakcyjny. Byłyśmy rade. Obóz znaczył wtedy dla nas wyjście z celi. Praca na świeżym powietrzu. No i byłyśmy przekonane, że skoro nas gdzieś wywożą, znaczyło to, że nas nie rozstrzelają, mamy inne wyroki, nie jesteśmy skazane na śmierć. Obóz był dla nas czymś w rodzaju pół-wolności. Dowód: w przeddzień naszej wywózki jeszcze parę z „naszej sprawy” wywołano z celi i rozstrzelano pod murem więzienia.

A my, reszta? Nam kazano zabrać ze sobą „rzecz”. Powiększało to nasz optymizm.

Byłyśmy niedoinformowane...

Piotr dostał się do swego Oświęcimia wtedy, gdy ze mnie zrobiła się już „stara więźniarka”. Później, w Paryżu, przedstawiając mnie różnym ludziom, żartował, że jestem u niego na stażu „najstarszej deportowanej”. Pobijał jego rekordy.

Oboje wiedzieliśmy, że żyją, że przeżyli inni deportowani, mający większą wysługę lat od nas. Ci z Oświęcimia i te z Ravensbrück. W porównaniu z Ravensbrückiem, Oświęcim był jednym z młodszych obozów. Pierwszymi

Ravensbrüczankami były Niemki, polityczne. Tuż po objęciu władzy przez Hitlera. Później dołączyły do nich Austriaczki i Czeszki. Polki nastały dopiero po wrześniu 1939 roku. Zaczęło się od poznaniańek – miały numery od czterech tysięcy i wyżej, a skończyło się na Powstaniu Warszawskim. Była to jednak głównie „ludność cywilna”. Nie „wyrokowe”.

Nic się nie zmienia tak szybko jak obozy. Wystarczy, żeby ktoś na chwilę wyszedł na wolność, i znowu został złapany, nie poznaje swojego. Sporo było Ravensbrücków i sporo Oświęcimiów. Kolejnych. Każdy trochę inny. Opowiadając o przeżyciach łagrowych, należy zawsze precyzować, kiedy to było, w którym roku. Inaczej nic się nie zgadza.

Obozy mają swoje roczniki. Jak wino...

Oświęcim, w którym zginął mój ojciec, w lutym albo w marcu 1941 roku, był inny od Piotrowego. Nie było krematoriów, ani komór gazowych. Była wtedy sroga zima. Więc ojciec albo zamarł na śmierć, na Lagerstrasse, bo ich transport stał i stał, nawet nie wpuścili ich do baraków, albo został rozstrzelany na sławetnym „gruzowisku”. Wszyscy byli po torturach śledczych, wszyscy skazani na śmierć przez Trybunał Wojenny, który specjalnie pofatygował się pod Radom aż z Berlina. Mam o tym relacje od „naocznego świadka”. Bo tam byli już wtedy Polacy. Niektórzy przeżyli. Zmarłych, znaczy trupy, wysyłano po prostu do miejskiego krematorium, chyba w mieście Oświęcim. Potem obóz się usamodzielniał. Obozy usamodzielniają się i modernizują.

A prochy?

W czasie jednej z wizyt Piotra w naszym domu, pokazałam mu autentyczny list – druczek od ówczesnego komendanta Oświęcimia do mojej matki, pozostałej na wolności. Właściwie kondolencje. Donosił, że ojciec „umarł na serce”. Przesłano jej tę urnę uczciwie, Niemcy są bardzo uczciwi. Tak sobie, w tym okresie, dorabiali „na boczk” oświęcimscy komendanci!

Ogromnie ubawił nas ten papierek. To był rodzaj faktury! Drogo sobie policzył za „popioły”. Czyje one były? No, ale trudno wymagać, żeby już w marcu 1941 roku matka moja wiedziała na czym polega Oświęcim.

Między jednym „pobytem” Piotra w Oświęcimiu a drugim, wszystko tam się zmieniło. Oczywiście na gorsze, bo

jak mogło się zmieniać? Mój Ravensbrück też zmieniał mi się co tydzień, co miesiąc. Gdy mnie tam przywieziono, był to całkiem elegancki obóz. Każda spała na osobnej pryczy. Mało tego, przydzielono nam prześcieradła! Oczywiście w paski. Głównym moim problemem było wtedy ślanie łóżka. Robiło się to w gorączkowym pośpiechu, przed porannym apelem. Łóżko musiało być zasłane w kostkę, po wojskowemu i te piekielne paski musiały się zgadzać, tyle wszerek, tyle wzdłuż, równo. To był mój pierwszy koszmar łagrowy. Za krzywo zasłaną pryczę stało się „na cegle”, godzinami, nie dostawało się porcji chleba, a przy recydywie można było trafić do bunkra. Skąd trudno było wyjść żywym.

Na szczęście byłam jedną z najmłodszych – wtedy – więźniarek i zawsze któraś z „matkujących” mi towarzyszek w mig, fachowo, zaścielała swoją i moją pryczę.

Prześcieradła szybko znikły. Na pryczach spało nas wkrótce po dwie, po cztery, po sześć, jak popadło. Zrobiło się prawie jak w Oświęcimiu.

Co do krematoriów, Oświęcim szybko nas przegonił. Ostatnią moją robotą w Ravensbrück, przed wywiezieniem do innego obozu, było sadzenie szafli przed jeszcze nie wykończonym budynkiem. Przedtem palono nas w miejskim krematorium w Fürstenbergu, ale zrobiło się tego za dużo i miasto się zbuntowało. Tak samo jak Oświęcim.

Czerwone szafwie na czarnym żuźlu Lagerstrasse... Specjalność Ravensbrücka. To było bardzo estetyczne. Piotr mi zazdrościł. U niego było głównie błoto. Grzęzli w tym błocie. No tak, ale u nas, na tych żuźlach trudno było chodzić boso, skaleczenia groziły wrzodami i gangreną.

U nas obyło się bez komór gazowych. Nas raczej rozstrzeliwano. Czasem wieszano, głównie za nieudane uciezki. Jak u Piotra. A potem gazowano w specjalnych ciężarówkach.

Wszędzie najgorsze było *finale*. Ostatnie tygodnie. Ostatnie dni.

Nikt nie rozumiał Piotra tak, jak ja. Mnie nikt nie rozumiał tak, jak Piotr. Znaczy w Paryżu. Nasze obozy, owszem, były różne. Ale zasada ta sama. Mieliśmy wspólną „bazę”.

Oczywiście, gdyśmy o czymś, o kimś rozmawiali, zacytowaliśmy od tego: jaki miała numer? Nie nazwisko. Po

numerach identyfikowało się nieomylnie datę przybycia do obozu. Którym transportem ten ktoś do niego przybył? To „ustawiało” tę osobę. Nawet politycznie.

Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek widziała numer Piotra wytatuowany oświęcimskim zwyczajem na przegubie ręki. Może nie nosił koszul z krótkimi rękawami? U Wandy Ładniewskiej to było jak bransoletka, ozdoba. Do końca życia. Po wytatuowanych numerach identyfikowało się Oświęcimiaków i Oświęcimianki.

Nas nie tatuowano. Nasze numery przyszywało się do sukni albo do kurtki w pasy. Ale to, co się przyszyło, można było ewentualnie odpruć. Niektóre z naszych, skazane na śmierć, wyrokowe, uratowały się odpruwając swój i przyszywając sobie cudzy numer. Najlepiej jakiejś nieboszczki. W finałowym bałaganie żadne SS nie było w stanie tego zweryfikować. Z tatuażami gorzej.

Wanda Ładniewska, kuzynka Piotra, siedziała w Birkenau. To był obóz w obozie. Nazywano ją: „Mikrowanda”. Nie dlatego, że była mikroskopijna, tylko bo pod mikroskopem odrysowywała artystycznie jakieś żyłki na liściach, jakieś zarodki. Biologicznie. To była jej praca. Tam u niej inaczej się żyło, inaczej jadło. Trochę lepiej, trochę więcej. Wandzie udawało się czasami przemycić kawałek chleba dla swojego męża, który „mieszkał” w normalnym obozie, za innymi drutami. Czy on, mimo to, przeżył? Wanda mówiła mi, ale już nie pamiętam, jak z nim było. W każdym razie, gdy spotkałyśmy się po wojnie w Paryżu, była sama. Była wdową. Rzeźbiarka, wystawiała brązy i grafiki u nas, w Galerie Lambert.

Nie pamiętam co mówili mi, Piotr i Wanda, czy po wspólnym dzieciństwie we Lwowie, spotkali się, widywali w Oświęcimiu? Czy dopiero Paryż ich połączył? Nie było takie proste widywać kogoś w obozie.

W każdym razie Piotra poznaliśmy dzięki Wandzie. Przychodził najpierw do Libelli, a potem do Galerie Lambert. Pisywał wstępy do naszych katalogów o jej wystawach. Sprowadzał do nas różne, ciekawe paryskie znakomitości.

Oświęcim Wandy był inny od Oświęcimia Piotrowego. Uratowała się, bo była „artystką”. Dobrze rysowała. To śmieszne. Ja także, w pewnym momencie, byłam „artystką”,

co mnie uratowało na pewien czas od cięższej pracy. Malowałam! Nie przesadzajmy, odbijałam druczki na niewypalanej jeszcze porcelanie w Bochemi, koło Karlsbadu. Potem szło to do wypalenia w gorącym piecu. Też mikroskopijna, odpowiedzialna i artystyczna robota. Trzeba było bardzo uważać, żeby nic nie odbiło się krzywo!

Obozy zmieniają się więc zależnie od pracy, do której człowieka... No, przecież nie angażują. Zaganiają.

Najbardziej jednak zmieniają się obozy, gdy robią z nich muzea.

Oboje z Piotrem byliśmy niechętni umuzealnianiu naszych obozów. On, bywając w Krakowie, wręcz odmawiał zwiedzania Oświęcimia, choć każdy wyobrażał sobie, że byłby tam idealnym przewodnikiem. Ja też, będąc w Krakowie, nigdy nie miałam pokusy tam wstąpić, nawet z moimi wnukami, choć przecież to było miejsce, gdzie umarł ich pradziadek. Oświęcim zrobił się turystyczną atrakcją Krakowa. Wszystkie kioski, na wszystkich rogach ulic, na przystankach, porozlepiano afisze i ulotki reklamujące tę „wycieczkę”. Można udać się tam indywidualnie albo grupowo, autokarem czy taksówką. Biura turystyczne gwarantują przewodników mówiących wszystkimi językami świata. Podane godziny otwarcia i zamknięcia oraz ceny biletów wstępu.

Jak w Luwrze, albo na Wawelu...

Do zwiedzania, odwiedzania Ravensbrücka namawiały mnie wiecznie – i jeszcze namawiają – moje eks-towarzyszki obozowe, tak polskie jak francuskie. Były, są i pewno będą wycieczki i delegacje. Stale jakieś rocznice, poświęcanie tablic, pomników, wieńce z szarfami, przemowy. Tam specjalne pociągi jeżdżą. Zwłaszcza odkąd skończyły się komplikacje graniczne. Ravensbrück, o czym nie każdy wie, był, jest w Niemczech Wschodnich. Nie trzeba teraz specjalnych paszportów, wiz i dewiz.

Piotr był w Oświęcimiu dziwadłem. Występował jako „obrzezany Polak”. Katolik. Na takich siedział papierach. Miał dzikie szczęście! No, wszyscy mieliśmy szczęście. Z obozów wyszli żywo tylko tacy, jak my, szczęściarze.

Urodził się we Lwowie w 1919 roku. Tu zaglądam jednak do „dokumentacji”. Pamiętam kiedy umarł, ale nie mu-

szyć pamiętać kiedy się urodził. Jego ojciec był adwokatem w Moskwie. W czasie rewolucji uciekł do Lwowa, wówczas stolicy austrowęgierskiej. Był więc synem Rosjanina, wyznania mojżeszowego. Chodził do polskiej szkoły. Niemieckiego i rosyjskiego nauczył się od swoich guwernantek, hebrajskiego przy religijnym nauczaniu, ukraińskiego i jidisz od swojego otoczenia. Wielojęzyczność była bazą jego późniejszego poliglotyzmu. Gdy go poznałam, w Paryżu, w latach pięćdziesiątych, znał także angielski i hiszpański. Jego siostra była w Hiszpanii w czasie wojny domowej, wyszła za mąż za Hiszpana, sądząc po jej nazwisku. Nie pamiętam jak to się stało, że ona, wraz ze swoim synem, czyli Piotrowym siostrzeńcem, żyli pod Paryżem.

Po najeździe sowieckim, Piotr został powołany do wojska w 1940 roku. Pomyśleć: Piotr żołnierz! Na dodatek żołnierz Czerwonej Armii! Potem, gdy nastali Niemcy... wiadomo, co się działo nie tylko we Lwowie za okupacji niemieckiej.

Takim sposobem Piotr trafił do Oświęcimia. A nie do łagru. Ani do Babiego Jaru...

Powtarzam się: jaki jest Oświęcim (nie)każdy wie. Jak nie z autopsji, to z telewizji, z książek, z prasy. Ale my, Ravensbrückanki, jesteśmy lekko obrażone. Na przykład nasza Germaine Tillion – specjalistka od Maghrebu i od Algierii, uczony etnolog, odpowiednik Lévy-Straussa, a także autorka dokumentalnej książki o K.L. Ravensbrück. Nie tracąc chwili notowała, ukrywała te notatki „na przyszłość”, traktując lagrową „społeczność” tą samą metodą, jak przed wojną traktowała społeczność i obyczaje muzulmańskie. Stale widać ją w telewizji. Wciąż są z nią jakieś wywiady. Może mówić o byle czym, a przecież stale, w tle, za jej plecami, widać barak obozowy. Oświęcimski! Choć noga jej nie powstała w Oświęcimiu!

No cóż, w archiwach telewizji francuskiej, a może i innych telewizji, pod hasłem: „obóz koncentracyjny” musowo jest fotografia baraku oświęcimskiego, więc oni to automatycznie wyjmują z szufladki. Jakby nie było innych obozów na świecie!

Kiedys zrobiłam na ten temat scenę Piotrowi! Francuskie Ravensbrückanki także nie były z tego zadowolone. Zawracały głowę naszej Germaine (w obozie wabiła się: Kuhri) żeby

interweniowała w telewizji. Ale ona machnęła ręką. I miała rację. Obóz to obóz. Nie takie ważne „detale”. Zresztą tak w Oświęcimiu, jak i u nas, i wszędzie, jedno się zgadzało w tej figuracji: Brama. Nad wszystkimi Bramami wszystkich naszych obozów figurowała ta sama dewiza: *Arbeit macht frei!*

Ravensbrück jest zagrożony! Nie umuzealniają go całkowicie, jak Oświęcimia. Fürstenberg, miasteczko, bardzo zresztą uroczne, nad jeziorem, gdzie żyły ongiś rodziny esesmańskie, rozrosło się teraz ogromnie. To prawie miasto. Po nazizmie, stalinizmie – kapitalizm. Chcą wybudować na „naszym” terenie jakieś sklepy samoobsługowe. Jednak zostawiliby nam „na pamiątkę” jakiś jeden barak – może bunkier? – i kawałek muru. Pod tablice. Jednak jakiś pomnik na skwerku. Teren zrobił się taki drogi, że szkoda go marnować na jakieś „Muzea Pamięci”.

Nie mieliśmy jeszcze telewizji, gdy wyszła Piotrowa książka „Le sang du ciel”. Najpierw po francusku u Gallimarda, a potem w innych językach. To był wielki sukces wydawniczy. Pisano o nim, miał wywiady w radiu. Jeśli bywał i w telewizji, nie mieliśmy sposobności go oglądać. Czy na ekranie, za jego plecami, była fotografia oświęcimskiego baraku? Ta sama, która do dziś służy za „legitymację” Germaine Tillion? Naszej Kuhri?

Nie opanował jeszcze dostatecznie języka francuskiego wtedy, gdy napisał swoją główną, a właściwie jedyną powieść „Le sang du ciel”. Podobno jego żona, Anna, wprowadzała poprawki do maszynopisu. Tak samo poprawiała pierwsze jego teksty kierowniczką działu literackiego w *Le Monde*, gdzie szybko stał się jednym z krytyków literackich, którego opinia bardzo się liczyła. Omawiał literaturę rosyjską, ukraińską, polską. Jej poprawki tyczyły składni i ortografii, może. Ale ona respektowała jego bardzo osobisty i osobliwy styl. Zaskakujące dla „normalnego” Francuza metafory i porównania. On „odmuzealniał” francuski, jego bardzo gorsetową składnię, odświeżał go. Nie czuła się w prawie korygować po profesorsku, tego świeżo narodzonego, obiecującego pisarza francuskiego...

Gdy w Editions du Seuil wyszło moje „Przeście przez Morze Czerwone” Piotr zrobił mi niespodziankę i napisał o tym artykuł do *Le Monde*. Było to sygnałem do dalszych ech w prasie i bazą sukcesu tej książki.

Pośród przyjaciół Piotra Rawicza nie tylko ja byłam „poobozowa”. Był między nami Niemiec, Christoph, młodszy od nas. Przesiedział w lagrze parę miesięcy, po aresztowaniu i skazaniu na śmierć ojca, który wziął udział w zamachu na Hitlera. Był wtedy małoletni, bardziej niż my, ja i Piotr, był tymi paru miesiącami „naznaczony”. Na przykład bał się psów! Wilczurów, tresowanych u nas na *Häftlingi*. A my nie! Psy wolnościowe nie miały nic wspólnego z tymi, które poszczone, mogły nas pozagryzać.

Christoph, Graf von Schwerin zu Schwanefeld (Piotr mianował go żartobliwie: *Graf von und Zu*), którego Piotr wprowadził do naszego domu, napisał krótko przed śmiercią swoje wspomnienia. Oczywiście po niemiecku. Jego „Erringerungen” wyszło w Ost-Berlin. Przygotował je do druku, ale ten gruby tom wyszedł już po jego odejściu. Zdążył jeszcze urządzić w swoim paryskim mieszkaniu przyjęcie, by tę książkę lansować. Zebrałi się tam ludzie od Gallimarda (Christoph miał nadzieję, że „Erringerungen” wyda mu po francusku Gallimard śladami „Le sang du ciel” Piotra), oczywiście jacyś niemieccy dziennikarze i inni literaci, których nie pomnę. I kto był głównym tematem naszych rozmów? Któż by? Piotr. On był między nami, i przy aperitiwie i przy stole. Każdy opowiadał swoje z nim przeżycia, różne wydarzenia i anegdoty.

Właściwie przy każdym z nas był inny Piotr. Mój był inny, Christophowy był inny, gallimardowski i francusko-literacki był inny.

Piotr był osobliwością paryską. Literacką i salonową. Kto go znał, musi go pamiętać. On w jakiś sposób nas, którzy jeszcze żyjemy, łączy. Jest naszym tematem.

W „Erringerungen” Christoph’a jest duży, osobny rozdział pod tytułem „Piotr Rawicz”. Nie mogłam się powstrzymać, by tego rozdziału nie przełożyć na polski. Choć mam coraz większe kłopoty z niemieckim. Za mało wie się o nim w Polsce. Nawet nie wiem, czy jego „Le sang du ciel” zostało wydane w kraju. Po samobójczej śmierci Piotra ukazały się wspomnienia o nim w *Kulturze*, może jeszcze gdzieś. To mało.

Takim to sposobem Piotr jest autorem jednej książki. Ważnej, ale jedynej.

A przecież on cały czas pisał, dużo pisał. Co dzień notatki do dziennika. Fragmenty różnych opowiadań i powieści. Ale niczego nie zredagował, pełną walizkę rękopisów zostawił swemu siostrzeńcowi tuż przed śmiercią z nakazem, żeby to zniszczył. Nikomu nie pokazując.

Jedna tylko osoba spośród wspólnych przyjaciół, mogła na chwilę zajrzeć do tej walizki. To podobno wystarczyłoby na parę tomów. Gdyby ktoś mógł to rozpracować...

Ale siostrzeniec Piotra znikł z Paryża. Może i z Francji. Nie pozostawiając nikomu adresu. Czy zniszczył walizkę, dotrzymując przysięgi zmarłemu? Czy gdzieś się z nią ukrywa?

To co było w walizce Piotr pisał podobno wszystkimi językami. To była jego osobista wieża Babel. Po francusku, po niemiecku, w języku hittite – czemu nie, on i to studiował – a także po polsku. Wiersze, które pisywał ukradkiem w Oświęcimiu, były rosyjskie. Gdy u nas bywali Piotr, Christoph i inni, robiło się wesoło. To była nasza wypominkowa wieża Babel. Śpiewaliśmy polskie: „Nie damy Popradowej fali”, „Katuszę”, „Heili, Heila”, zaś Piotr wystąpił kiedyś z hebrajskim. To była pieśń dla umarłych. Podobno musi być dziesięciu sprawiedliwych, żeby to było ważne. Słyszałam tę pieśń na cmentarzu Père Lachaise w czasie pogrzebu Piotra. Śpiewał ją rabin, w rytualnym stroju. Na cmentarzu było nas więcej niż dziesięciu Sprawiedliwych. Cały tłum Różnowierców.

Do mnie, jeśli kiedy pisał, Piotr pisywał po polsku. Oczywiście z makaronizmami, jako poliglota. Byłoby nienormalne, gdybyśmy korespondowali w innym języku. Był pierwszym czytelnikiem – i komentatorem – wszystkich moich książek. Oprócz „Ruchomych schodów”. Te ukazały się już po jego śmierci.

Od Christoph’a Schwerina otrzymałam kiedyś w prezencie, nie pamiętam ile lat temu, luksusowo wydany „album”, który on redagował z ramienia Suhrkamf Verlag. Prawdziwy album, urodzinowy, pełen fotografii i „laurek” pisanych *für Christiane* z tekstami i rysunkami licznych przyjaciół laureatki. Byli wśród nich pisarze i artyści niemieccy i amerykańscy. Christoph też włączył tam swoją „laurkę”, oczywiście po niemiecku.

Jedyny tekst francuski w tym albumie był pióra Piotra Rawicza. Ja go mam. Myślę, że to jeden z rzadkich tekstów Piotra po francusku, drukowanych, poza tymi dwiema książkami wydanymi u Gallimarda, no i artykułami w *Le Monde*.

Christiane była córką Hugo von Hoffmansthal. Jej dom w Nowym Jorku słynął z gościnności. Myślę, że Piotr tam też był. Majaczy mi, że przyprawdzał ową Christiane do Galerie Lambert. Dzieciństwo spędziła w Berlinie. Na jednej z fotografii, reprodukowanych w owym urodzinowym albumie, widzimy ją, małą dziewczynkę, przy ojcu, w ich willi, w dużym ogrodzie, nad stawem czy nad jeziorem. Przed wielu wojnami.

Piotr był w Berlinie, powstającym z ruin, kiedyś, po „naszej” wojnie. Myślę, że temat jago „laurki” dla Christiane, to reminiscencje jego pobytu w tym mieście. Tytuł poematu prozą jest: „Miasto-Nenufar. Notatki liryczne z pobytu w Berlinie”. Oto małe z niego fragmenty:

„...Złote cekiny o żabich oczach jaszczurek, śpiąca powierzchnia stawu gęsto pokryta liśćmi *blond*, pałac, świeżo odbudowany, nieprzyzwoicie biały w swej nagości... Gęsta godzina utworzona z kropli rosy, nakłada się na nieruchomy park.

...Czy B. jest naprawdę miastem? Jelita ma amerykańskie, czyste, wiejskie powietrze. Mało przechodniów. Jeziora, ze starych baśni, w oprawie zielonych lasów, z kapryśnie na nich rozszianymi, zamieszkanymi wysepkami. Gmachy, pyszne i anemiczne, pedantycznie aroganckie, dźwigają się bez wiary w swoją przyszłość, która jest załączkiem nicości. A jeśli one także zostaną zmiecione, jak filmowe dekoracje? W dniu, w którym spełni się ‘scytyjska’ przepowiednia z poematu Aleksandra Błoka?

...Sny, które przynosi mi każde przebudzenie, tam na Zachodzie, sen kolorowych szkiełek. Niezgrabne aniołki jarmarczne wiszące na choince w wielkiej chałupie. Tłukę je bez litości, ciskam na twarde bruki Paryża. Tracąc pierwotną formę wydają krótki, ostatni dźwięk. Łykasz to potłuczone szkło. Przekonałeś się kiedyś, że to nie jest skuteczne. Czterdzieści lat temu w celi śmierci, do której zamknęli cię

emisariusze tego Miasta, natykałeś się sporo takich szkiełek – i przeżyłeś. W każdym razie na to wygląda...”

Kiedy to było, gdzie to było gdy Piotr łykał – bezskutecznie – potłuczone kawałki szkła? Kto z nas nigdy nie próbuje ich łykać? Trzymamy w zapasie, na wszelki wypadek, gdyby przestało się chcieć żyć.

Podobno Piotr był kiedyś, w Oświęcimiu, powieszony. Prawie. Ale go odwiesili.

W laurce urodzinowej *für Christiane* Piotr napomyka, że liczy na samolot, który z Berlina ma unieść go do Paryża. A gdyby spadł? Ale samoloty rzadko spadają. Łatwiej byłoby rozbić się samochodem. O jakiś platan, albo o mur. Spaść w przepaść.

Piotr wspominał o swoich zamiarach. Mówił o tym od tak dawna, że nikt nie brał tego na serio. To był *sujet de conversation*. Nasza wina, że dopuściliśmy do tego.

Gdy ktoś z przyjaciół to robi, czujemy się winni. Współwinni jego śmierci.

Piotr palnął sobie w łeb. Nie z rewolweru, z karabinu. Nie był to karabin wojskowy, jak na musztrze, gdy jako chwilowy żołnierz Czerwonej Armii, uczył się manipulować. Jak go się ładuje, celuje, jak spuszcza się cyngiel. To była po prostu strzelba myśliwska, taka na polowanie. W Paryżu pełno ich w specjalnych sklepach, no i nie trzeba pozwolenia na broń.

Nawet chyba wiem, gdzie on to kupił, w swojej dzielnicy.

Bezbolesna, szybkostrzelna śmierć. Bez pudła. Bez odwrotu.

Naszą jedyną pocięchą było, że się nie męczył.

Piotr uciekł z obozu życia przed terminem. Na własną rękę. Zadysonował sobą. Czy ma się do tego prawo? Czasami myślimy, że tak.

Za to Christoph *von und zu* męczył się za długo. Długo chorował. Ciężko się starzał. Cierpiał na upokorzenia i niedomogi starcze. A my? Ci, którzy jeszcze żyjemy? Nie wiemy, jaki jest nasz wyrok i jaka jest data naszej śmierci.

W każdym razie, czy ktoś żyje godzinę, albo żyje sto lat, suma czasu jest zawsze okrągła. Na liczniku wybije się zero.

Zero – symbol nieskończoności. Po zerze nie ma nic. Czyli jest wszystko. Wszystko, co miało być – było.

Jakoś, kiedyś, gdzieś wszyscy się spotkamy. W jakimś wiecznym obozie. Nie będziemy musieli niczego sobie opowiadać co było, jak było. Z niczego się usprawiedliwiać. I tak wszyscy o wszystkich będziemy wszystko wiedzieli.

Jesteśmy „wyrokowi”. Jeden wyrok, wspólny, dla każdego i dla wszystkich.

Zofia ROMANOWICZOWA

KSIĄŻKI POLSKIE ORAZ POLSKI DOTYCZĄCE

DAWNE I NOWE

W DOKONANYM PRZEZ SIEBIE WYBORZE

POLECA

ANDRZEJ DOBOSZ W SWOJEJ KSIĘGARNI

7, rue de la Bûcherie 75005 Paris

Telefon 01 40 51 76 40

Fax 01 40 51 78 32

Metro: Maubert-Mutualité

Autobusy: 24, 47, 63, 86, 87

od wtorku do soboty od godziny 10 do 19

SPRZEDAŻ WYSYŁKOWA KATALOGI

Czytelnicy bez przesady

ANKIETA KULTURY I SCRIPTORES SCHOLARUM

Wstęp

Ankieta o „Stanie czytelnictwa maturzystów w polskiej szkole w roku szkolnym 1997/98”, opracowana wspólnie przez redakcje paryskiej *Kultury* i lubelskich *Scriptores Scholarum*, rozesłana została w marcu 1998 roku do wybranych szkół średnich na terenie kraju. Badaniu poddano reprezentatywną grupę uczniów – maturzystów ze szkół publicznych i prywatnych: w niewielkiej miejscowości (LO w Żelechowie w woj. siedleckim), w mieście niewojewódzkim (LO im. ks. A. Czartoryskiego w Puławach woj. lubelskie), w mieście wojewódzkim (III LO im. Unii Lubelskiej; IX LO im. M. Kopernika oraz Prywatne Katolickie LO im. ks. K. Gostyńskiego w Lublinie), a także w stolicy (LVIII Prywatne LO; LXXX LO im. L. Staffa oraz Technikum Mechaniczne w Zespole Szkół Mechanicznych nr 2 w Warszawie). W sumie ankietę wypełnili uczniowie ponad piętnastu klas. Z rozmysłem staraliśmy się nie koncentrować na środowiskach elitarnych (choć być może wtedy wyniki byłyby bardziej budujące), poszukując raczej szkół przeciętnych, aby odpowiedzi dały bardziej realny obraz sytuacji w polskiej szkole. Pod uwagę wzięliśmy również indywidualne odpowiedzi młodzieży z różnych szkół w Polsce, nadsyłane na adres redakcji lubelskiego kwartalnika. W sumie odpowiedzi udzieliło 356

respondentów. Początkowo ankieta adresowana była także do nauczycieli, jednak nie udało nam się poddać badaniu naprawdę reprezentatywnej grupy pedagogów. Odpowiedzi spływały powoli i bardzo nielicznie, w związku z czym ostatecznie zrezygnowaliśmy z bilansowania i publikacji wyników. Na pewno jednak w przyszłości pożyteczne byłoby przeprowadzenie tego typu ankiety wśród nauczycieli-polonistów zatrudnionych w polskich liceach ogólnokształcących, szkołach zawodowych oraz technikach.

Najważniejszym celem naszego wspólnego przedsięwzięcia była próba wglądu w rzeczywisty stan czytelnictwa pokolenia współczesnych maturzystów, w przededniu rozpoczęcia poważnej reformy oświaty. Prezentowany artykuł nasycony jest cytatami z wypowiedzi samych respondentów, wprowadzonymi w takiej obfitości, by materiał stał się jak najbardziej autentyczny. Ankieta była anonimowa a jej wyniki przeznaczone zostały do publikacji w formie artykułu równoległe w obu czasopismach. (*Kultura* przedstawia jego wersję skróconą.)

Próba składała się z 10 pytań, które dotyczyły kwestii, naszym zdaniem, pryncypialnych. Oto lista zagadnień skierowanych do uczniów:

1. Które lektury szkolne budzą Twoje rzeczywiste zainteresowanie? Dlaczego?
2. Jakie książki, z przedstawionego Ci w czasie nauki w szkole średniej wykazu lektur odrzucasz? Które z nich uważasz za narzucony Ci przez dorosłych haracz? Dlaczego?
3. Które dzieła klasycznej literatury polskiej są według Ciebie ważne? Dlaczego?
4. Którzy bohaterowie książkowi są dla Ciebie wzorem do naśladowania, a którzy są martwymi postaciami?
5. Co wolisz – film czy książkę? Dlaczego?
6. Jaką rolę pełni w Twoim życiu telewizja?
7. W jakim stopniu lekcje języka polskiego są dla Ciebie „oknem na świat”, a w jakim przykrym obowiązkiem?
8. Jakie książki spoza kanonu lektur szkolnych uważasz za decydujące dla Twojego życia? Uzasadnij krótko swój wybór.
9. Wymień trzy teksty z literatury polskiej, które powinny znaleźć się w przyszłości na europejskiej liście lektur szkolnych. Dlaczego?

10. Czy widzisz potrzebę wprowadzenia do szkoły większej ilości lektur z zakresu literatury naszych sąsiadów: Ukraińców, Białorusinów, Rosjan, Litwinów, Niemców, Czechów, Słowaków?

W cytowanych fragmentach uczniowskich wypowiedzi zachowana została oryginalna stylistyka, interpunkcja i ortografia, których przytoczenie pozwala także na ocenę poziomu zarówno językowego, jak i intelektualnego współczesnych maturzystów, a przy okazji zmusza do refleksji nad kondycją polskiej szkoły pod koniec XX wieku. (Następujące po sobie akapity odpowiadają porządkowi stawianych pytań.)

1. „Lubię historję, drastyczne opisy”

W ciągu czteroletniego pobytu w szkole średniej przeciętny licealista powinien zapoznać się z treścią kilkuset książek z literatury polskiej i obcej. Przy realizacji obecnego programu [DK 02-4015-19/90] (lista lektur proponowana jest przez MEN) nauczyciele rzadko pamiętają, iż mają do czynienia jedynie z propozycjami lekturowymi. Dlatego też realizacja programu nauczania w szkole średniej często zamienia się w gonitwę z czasem, bo czyż możliwe jest rzetelne omówienie wszystkich wymienionych w programie utworów w ciągu czterech godzin języka polskiego w tygodniu? Uczniowie „zaliczają” więc poszczególne lektury, czytane z reguły powierzchownie i pośpiesznie.

W rozpisanej przez obie redakcje ankiecie uczniowie wymienili ponad dziewięćdziesiąt pozycji lekturowych (!), wskazując przy tym, dlaczego dane teksty budzą ich rzeczywiste zainteresowanie. Wydaje się że przynajmniej niektóre odpowiedzi świadczą o dojrzałości czytelniczej: „Największe zainteresowanie budzą we mnie książki wykraczające poza schematy konstrukcyjne i językowe do jakich jesteśmy przyzwyczajeni. Literatura pełna niekonwencjonalnych spostrzeżeń, których nie dostrzega zwykły obserwator. Uniwersalnych uogólnień będących zarazem wynikiem studium psychologicznego. (...) dużą uwagę zwracam na eksperymenty twórcze pisarzy”. Tak więc książki, które budzą rzeczywiste zainteresowanie to lektury ponadczasowe, te które traktują o rzeczach najważniejszych, o życiu. Uczniowie lubią

teksty, które „dają do myślenia”, pokazując „ciekawie psychikę ludzką lub zwierzęcą”. Lektury muszą spełniać określone warunki. Pierwszym, najczęściej wymienianym jest interesująca fabuła. Stąd też wielu respondentów nie mogło odżalować, że w szkolnym spisie lektur znajduje się tak mało utworów zbliżonych do kina akcji. „Lubię historję, drastyczne opisy” – stwierdza jeden z respondentów, a kilku maturzystów zwierzyło się, że często są zmuszeni omijać w lekturach szkolnych „(...) 50-stronicowe opisy przyrody, które naprawdę nudzą”. Nie lubią oni także lektur pisanych trudnym stylem, dlatego cenią sobie bardzo „przystępny język”.

Spory procent uczniów z przyjemnością sięga po literaturę wojenną nie zawsze jednak kierując się głębszą motywacją: „Moje zainteresowania budzi literatura wojenna i łagrowa, ponieważ jest fajna”. I jeszcze inna wypowiedź maturzysty, utrzymana w podobnym stylu: „Ciekawi mnie bardzo dramatyzm, jaki rozegrał się w czasie okupacji, jak również w okresie stalinowskim”. W tych „wojennych” upodobaniach czytelniczych niektórzy kierują się bardzo osobistymi pobudkami: „Niektóre z wydarzeń przedstawionych w opowiadaniach [Borowskiego – S.J.Ż.] pokrywają się z tym, co mówi moja babcia, to jeszcze bardziej do mnie przemawia”. Wybór lektury wojennej ma również często charakter typowo pragmatyczny, bowiem dla maturzystów stanowią one „ciekawe źródło informacji na temat czasów, które już nigdy nie wrócą”, wykorzystywane na innych lekcjach, np. historii.

Jak wynika z ankiety, maturzyści najczęściej szukają w tekstach książkowych odpowiedzi na dręczące ich problemy etyczne oraz egzystencjalne. Rzadko kiedy sięgają po literaturę niewspółczesną. Ciekawe, że tylko jeden z uczniów, spośród kilkuset ankietowanych wymienił Biblię jako utwór, który budzi jego rzeczywiste zainteresowanie (Biblia jest lekturą podstawową w pierwszej klasie liceum), podobnie tylko nikły procent przywołał następane źródło kulturowe – mity antyczne (greckie i rzymskie), jako fascynującą lekturę.

Nadzieję napawa fakt, iż licealiści sięgają po recenzje wydawnicze: „Rzeczywiste zainteresowanie budzą te lektury, o których słyszałem, iż warto przeczytać od innych osób, lub które w recenzjach, z którymi się stykam wydadzą mi się

warte przeczytania. Przede wszystkim lektury z okresu współczesności, ale i wcześniejszych epok, ze względu na różnorodność podejmowanych tematów”.

Pośród dziewięćdziesięciu lektur wskazanych przez tegorocznych maturzystów jako „budzące rzeczywiste zainteresowanie”, większość stanowią teksty z literatury obcej. Najwięcej uczniów, bo aż 24% ankietowanych, wybrało „Mistrza i Małgorzatę” Michaiła Bułhakowa, „Ferdydurke” Witolda Gombrowicza (16,5%) oraz „Zbrodnię i karę” Fiodora Dostojewskiego (16%). Wyborom tym często towarzyszyły entuzjastyczne wypowiedzi kreślone na marginesach: „Chciałbym więcej literatury rosyjskiej, którą uważam za najlepszą na świecie!”, „Literatura rosyjska!”. Jeden z uczniów puławskiego liceum pisał wprost: „‘Mistrz i Małgorzata’ to jedna z niewielu książek, podczas której nie usypiałem przy lekturze”. Maturzyści docenili u Bułhakowa „szczególnie interesujące połączenie wątków realistycznych z fantastycznymi” oraz nagromadzenie w tekście „rzeczy niewyjaśnionych”, surrealistycznych („fascynuje mnie magia”; „uwielbiam fantastykę”). Spora część ankietowanych wskazywała na mistrzostwo autora w demaskowaniu mechanizmów totalitarnych w państwie stalinowskim oraz prezentację wizji chrześcijaństwa „bliską człowiekowi i życiu”. Generalnie przeważały jednak głosy uznające powieść Bułhakowa po prostu za „dzieło genialne: forma, treść, ‘wciągająca’ akcja”.

Powieść Gombrowicza fascynuje („bo to prawda”), zastanawia oraz wciąż prowokuje do polemizowania z jej autorem („‘Ferdydurke’ zmusiła mnie do myślenia i stwierdziłem, że Gombrowicz nie ma racji”). Przeważają jednak głosy podkreślające jej oryginalność, prowokacyjny charakter oraz realizm, bowiem „porusza bliskie życiu codziennemu problemy”, w szczególności „(...) współczesnemu człowiekowi (młodemu pokoleniu)”.

Również „Zbrodnia i kara” Dostojewskiego prowokuje maturzystów do samodzielnego myślenia, a także daje odpowiedź na gnębiące całe pokolenie pytania: „Dlaczego człowiek popełnia złe czyny”; „Po co żyje?”; „Jaki sens ma cierpienie?”; „Kto jest dawcą norm moralnych?”; „Czy człowiek może decydować co jest dla niego dobre?”. Oto jak na temat powieści pisała jedna z maturzystek z lubelskiego

liceum: „Najbardziej interesujące wydają mi się lektury dotyczące problemów człowieka, te w których bohaterowie toczą walkę ze swoim wnętrzem, tak jak dzieje się to na przykład u Dostojewskiego. Często muszą wybierać 'zło' aby żyć w zgodzie z samym sobą, wciąż szukając dla siebie odpowiedniego miejsca na świecie. Lubię te lektury, albowiem zmuszają mnie do zastanowienia”.

Dalsze miejsca na liście preferencji lekturowych zajęły głównie teksty autorów polskich: G. Herlinga-Grudzińskiego „Inny Świat” (14%), W.S. Reymonta „Chłopi” (13%), T. Konwickiego „Mała apokalipsa”, B. Prusa „Lalka”, Z. Nałkowskiej „Medaliony”, H. Sienkiewicza „Trylogia” (po 12,5%) oraz G. Orwella „Folwark zwierzęcy” (11,5%). Wszystkie wymienione utwory spodobały się maturzystom przede wszystkim ze względu na fakt, iż „niosą ze sobą prawdy przydatne w życiu”. Jedna z lubelskich maturzystek pyta samą siebie: „Dlaczego wybieram Nałkowską? Ponieważ przedstawia ona rzeczywistość dziejącą się w tamtym okresie (bezprawie panujące, zbrodnie, prześladowania Żydów). Myślę, że każdy Polak powinien dokładnie znać tamte czasy”. „Trylogię” cenili licealiści za to, że „szybko się czytało”, że „nie były to nudy”. Wskazują na wartką, dynamiczną akcję oraz przystępny styl wypowiedzi („spoko język”). Uczniowie chwalą sobie również lekturę książek Orwella, ponieważ jest to „(...) najprzystępniej opisany ustrój totalitarny, który sam w sobie jest interesujący”, a poza tym są to „najlepsze książki jakie kiedykolwiek zdarzyło się czytać. Niestety nie należą do lektur obowiązkowych”.

W dalszej kolejności wymieniane są książki: K. Moczarskiego „Rozmowy z katem” (doceniona „... za piękne studium władzy i ślepego zapatrzenia w wodza”) i „Makbet” W. Szekspira (obie wskazane przez 10% respondentów); „Dżuma” A. Camusa (9,5%), określona przez jednego z licealistów puławskich jako „niezły schiz, chociaż nie czytałem (zamierzam)”; proza F. Kafki (8,5%). „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza, jako pierwszy utwór z kanonu klasycznego lektur polskich, znalazł się dopiero na piętnastej pozycji, uzyskując 8% głosów. Co ciekawe, uczniowie najczęściej wskazują na jego walory artystyczne podkreślając, co również uczynił warszawski maturzysta z prywatnej szkoły, iż wyróżnił

pierwszą polską epopeję narodową „wcale nie ze względu na idee patriotyczne, patos mnie tylko denerwuje, ale na obraz sielanki, dworu, życia ziemiańskiego, taka błogość...”. Zaraz obok Mickiewicza występują „Germinal” E. Zoli oraz „Nad Niemnem” E. Orzeszkowej (po 7,5%), ta ostatnia ceniona przede wszystkim za jej optymistyczny charakter. Wśród ulubionych lektur szkolnych znalazł się również „Początek” A. Szcypiorskiego, książka, po którą sięga się kilkakrotnie, by „za każdym razem, nauczyć się czegoś nowego”; „Hamlet” W. Szekspira, a także dramat „Moralność pani Dulskiej” G. Zapolskiej (wszystkie po 7%), ceniony za „temat ciągle aktualny”. Niektóre wypowiedzi szokują. Na przykład dla licealistki z dużego warszawskiego liceum utwór Zapolskiej jest przede wszystkim „dramatem mówiącym o rozkładzie rodziny mieszczańskiej, a to może być dobra rozrywka!”.

Nie sposób wymienić i omówić wszystkich wskazanych przez licealistów pozycji książkowych (wszystkie pozostałe uzyskały poniżej 7% głosów). W ankiecie należy zwrócić uwagę na prawie zupełną nieobecność tekstów poetyckich. Czy znaczy to, że młodzież przestała czytać poezję?

2. „Za dużo Żeromskiego!”

Druga kwestia poruszona w ankiecie dotyczyła tekstów, z różnych względów stanowczo odrzucanych przez młodzież. Maturzyści wymienili sześćdziesiąt pozycji, z czego tylko siedem uzyskało ponad dziesięcioprocentowe poparcie.

Na liście znajduje się cały kanon literatury polskiej: „Reymont 'Chłopi', Krasiński 'Dramaty', Mickiewicz 'Pan Tadeusz', Prus 'Lalka', Mickiewicz 'Dziady', Nałkowska 'Granica', Kochanowski 'Poezje', Słowacki 'Kordian', Sienkiewicz 'Trylogia': przeraźliwie nudne, nieużyteczne, nieaktualne, nie odpowiadające mi estetycznie”. Zdaniem większości ankietowanych licealistów należałoby odrzucić wszystkie te lektury, które „(...) nie poszerzają choryzontów myślowych współczesnego nastolatka, a jest ich wiele”, a także te „(...) które nie mają styczności z ówczesnym światem”. Niektóre wypowiedzi utrzymane są wręcz w rozpaczliwym tonie, w stylistyce futurystycznej awangardy: „Wyliminowałbym: nowele, rozmowy z katem, cała wojenna, biblia, konrady, kordiany, lalka, przedwiośnie, nowele, weretera,

poezję polską całą, bogurodzica, itd. [musiał bym mieć spis lektur] lecz i tak 60% bym zlikwidował (...)”. Maturzyści gremialnie odrzucają również poezję: „Wydaje mi się, że w programie jest zbyt dużo wierszy. Dlaczego? Bo mi się nie podobały – nic nie wnoszą w życie”. Z reguły nie potrafią jednak swojej niechęci do tychże tekstów racjonalnie uzasadnić: „Odrzuciłbym 3/4 poezji przymusowej. Teksty powinna wybierać młodzież. Dla mnie poezja to wymysł lekko niezrównoważonych ludzi, którym (my) uczniowie musimy się uczyć rozumieć ich teksty, a niejednokrotnie uczyć się ich fragmentów do odpowiedzi. Poświęca się na to zbyt dużo czasu, który możnaby było poświęcić na omawianie utworów pisarzy obcych, których dzieła uznane i czytane są na całym świecie”.

Największą jednak niechęć wzbudza wśród ankietowanych licealistów dramat Stanisława Ignacego Witkiewicza „Szewcy” (26%). Uczniowie skarżą się przede wszystkim na (w kolejności): jego niezrozumiały charakter (treść), język oraz brak umiejętności nauczycielskich przy omawianiu utworu. Problem wydaje się o tyle powszechny, iż jeden z maturzystów zauważył, iż nauczyciele w ogóle są bezradni podczas omawiania tekstów dramatycznych – najczęściej analizują je w kategoriach epickich. Licealista warszawski postuluje: „Wszystkie dramaty (należy usunąć ze spisu lektur – S.J.Ż.), dlatego, że dramaty nie są do czytania tylko do oglądania w teatrze”.

Szczególnie irytują młodych ludzi utwory romantyczne: „cały zestaw lektur z epoki romantyzmu należy odrzucić!”. Wśród wielu respondentów, może z młodzieżowej przekory, a może z powodów rzeczywistych tragedii, które rozgrywają się na lekcjach, pojawiają się cytaty żywcem zaczerpnięte z Gombrowicza: „Cała twórczość Słowackiego – nie jest ciekawa ani głęboka!”, jego książki „są nudne, przesycone patriotyzmem, nierealne”. Nie dziwi więc fakt, że dramat Juliusza Słowackiego „Kordian” zajął na liście najczęściej odrzucanych lektur szkolnych aż trzecią pozycję [14,5%], a wielokrotnie wymienianą wadą tego tekstu była właśnie jego „prawie zupełna nieaktualność”. Podobnie krytycznie potraktowana jest przez licealistów spuścizna Mickiewicza. O „Dziadach” wypowiedziało się negatywnie aż 13,5% res-

pondentów (szósta pozycja!). Dziewczeta i chłopcy najczęściej stwierdzali: „szkoda czasu w szkole średniej na to, co jest i tak nieuchwytnie dla śmiertelnika”, „Spałem...”, „patetyczne do bólu”.

Wielu respondentów, bo w sumie blisko 30%, z niechęcią wypowiada się na temat twórczości Żeromskiego, która znalazła się na niechlubnej liście na czołowej (drugiej i czwartej) pozycji: „Wywalić całego Żeromskiego – to sztuczny, haracz!”, „Za dużo Żeromskiego!”. Skąd tak wielka niechęć do autora „Ludzi bezdomnych”, „Przedwiośnia” i „Wiernej rzeki”, dzieł przecież od pokoleń znanych i uznanych? Licealiści piszą: „Lubię czytać książki mówiące o życiu, nie lubię zaś książek o herosach, którzy rzekomo poświęcają się dla dobra ogółu”. Tak więc „Ludzie bezdomni” (15%) oraz „Przedwiośnie” (13,5%) są w sumie pozycjami wzbudzającymi największą niechęć badanej młodzieży szkolnej. Maturzyści stwierdzają, że owszem zawarte są w nich „(...) tematy ważne i aktualne do dziś”, ale równocześnie cechuje je „nieciekawe ujęcie i rozwlekła akcja”; „Sprawy w nich zawarte niezbyt mnie obchodzą, a jeśli już coś z nich mnie dotyczy, to zniechęca mnie język jakim pisane są tego typu książki”. W jednej z ankiet respondent kończy swą wypowiedź o Żeromskim po witkiewiczowsku: „Ciężkie do zrozumienia, być może dlatego, że nie ma tam nic do zrozumienia?”.

W podobnie jednoznacznie krytycznym tonie utrzymane są wypowiedzi dotyczące spuścizny polskich pozytywistów: „Wyrzuciłbym na śmietnik wszystkie programowe książki pozytywistów!”, „Do dziś dnia pamiętam nadal takich jak ‘Nasza Szkapka’ czy ‘Janko muzykant’, kojaży mi się z czymś złym, od czego staram się trzymać jak najdalej”. Jeden z puławskich licealistów, odpowiadając bardzo osobiście na temat swego stosunku do pozytywizmu, posuwa się do stwierdzenia: „Ludzie, przecież Konopnicka to grafomanka!!!”. Przy czym same wartości pozytywistyczne, takie jak: praca, utylitaryzm czy racjonalizm mieszczą się jednoznacznie w ich kanonie aksjologicznym. W przypadku „Lalki” B. Prusa, która znalazła się na siódmej pozycji (13%) uczniowie postulują, że mimo wszystko „(...) lepiej byłoby raczej skrócić, niż całkowicie usunąć”. Natomiast wielu uczniów (13,5%)

czuje niechęć do „Trylogii” H. Sienkiewicza (piąte miejsce): „za długie!!!”, „kto ma na to czas?”, „ogromna ilość opisów, które utrudniają czytanie, ciągle retrospekcje i retorgacje”.

Niektórzy młodzi respondenci niechętnie wyrażają się także o literaturze wojennej: „Odrzucam całą literaturę wojenną” gdyż zmusza nas do pamiętania o przykrych doświadczeniach ludzkości – ani to nie uczy, ani nie bawi, ani nie poucza, ani nie zmusza do myślenia. Wszyscy dokładnie zdajemy sobie sprawę, że wojna była złem, a PRL nie-rajem na ziemi, więc po co marnować aż cały rok szkolny na beznadziejność wojny, PRL-u czy zurbanizowanej rzeczywistości?” Denerwuje ich również nagromadzenie w czwartej klasie tekstów dotyczących Zagłady: „Zbyt wiele tematyki holocaustu i Żydów w ogóle!”. W dalszej kolejności odrzucają: „Ferdynand” W. Gombrowicza (9,5%); „Odpływ posłów greckich” J. Kochanowskiego (9%); „Lorda Jima” J. Conrada oraz „Wesele” Wyspiańskiego (po 8%).

W przedziale od 7 do 5% zmieściły się (opatrzone różnymi, często dowcipnymi uczniowskimi uwagami) następujące utwory: „Operetka” W. Gombrowicza; „Chłopi” W.S. Reymonta („Ludzie ratujcie!”); „Nad Niemnem” E. Orzeszkowej („Jest to najgorsza i najłabsza ze wszystkich lektur, które przeczytałem. Powinno się ją sprzedawać w aptece jako środek nasenny!”); „Powrót posła” J.U. Niemcewicz, „Sklepy cynamonowe” B. Schulza, „Gaiur” G.G. Byrona („przeczytałam bo musiałam, żadnej akcji!”); „Dramaty” Krasińskiego oraz „Pan Tadeusz” A. Mickiewicza.

Licealiści kończą swe wypowiedzi raczej w tonie pesymistycznym, nie pozbawionym sceptycyzmu: „Książki czytam tylko po to, by coś powiedzieć na lekcji (...) Niewiele jest lektur, które chciałbym przeczytać!”, „Lektury są narzucone przez dorosłych, nie traktuję ich jednak jako haracz, ale wybór ludzi bardziej doświadczonych i lepiej wykształconych”. Niektórzy próbują doszukiwać się w tym jakiejś wyższej racji: „To co przerabiamy jest optymalnie potrzebne dla rozwoju osobowości”. Choć przy tym punkcie najczęściej pojawiają się noty: „A lektur jest za dużo...”, „Czytam tylko z konieczności!”, by ostatecznie, jak czyni to puławski licealista, przekornie spointować „Przecież zawsze i tak można nie przeczytać...”.

3. „Romantyzm ciągle w nas jest!”

Na trzecie pytanie uczniowie odpowiadali najmniej chętnie. Ponad 10% respondentów w ogóle zrezygnowało z tego punktu. Ankietowani wymienili czterdzieści dziewięć pozycji z kanonu lektur polskich, choć może nie zawsze była to literatura klasyczna i polska. Pojawiły się więc jak na ironię: „Sklepy cynamonowe” B. Schulza, „Ferdynand” W. Gombrowicza, „Szewcy” S.I. Witkiewicza, „Przedwiośnie” S. Żeromskiego, „Mała apokalipsa” T. Konwickiego, „Popiół i diament” Andrzejewskiego, a nawet „Proces” F. Kafki.

Maturzyści na początku koncentrowali się na próbie określenia kryterium doboru tekstu, czyli starali się odpowiedzieć na pytanie, jakie wartości obecne w tekstach klasycznych są dla nich dziś ważne. Licealistka z Lublina pisze: „Według mnie ważne są dzieła klasycznej literatury polskiej, które ukazują naszą historię, tradycję, mentalność i sposób myślenia polskiego społeczeństwa w różnych epokach, a także patriotyzm i heroizm tych, którzy walczyli o wolność ojczyzny oraz tradycyjną wiarę chrześcijańską, wartości przekazywane w polskich domach z pokolenia na pokolenie, czyli to wszystko, co dotyczy bezpośrednio nas Polaków. (...) dzieła te stanowią esencję polskiej kultury; mówią nam, kim naprawdę jesteśmy i gdzie jest nasze miejsce w świecie – pozwalają nam się dookreślić”. Najczęściej stwierdzają: „Dzieła klasycznej literatury są ważne. Powinny być oczywiście na lekcjach j. polskiego, jednak jedynie w fragmentach, gdyż nie wszyscy są nimi zainteresowani”. Czy jednak naprawdę „kreują moje życie, podają materiały do rozmyślań, dyskusji, wyciągania własnych wniosków?” – zastanawia się warszawski maturzysta.

Zdaniem ankietowanych licealistów najważniejszą książką w kanonie lektur szkolnych jest „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza (37%) (!), przede wszystkim dlatego, że utwór ten budzi patriotyzm – „mówi o Polsce, która kiedyś istniała – to ważne!” i jest on „bardzo polski”. Poza tym licealista z Puław stwierdza: „Romantyzm ciągle w nas jest!”.

Na drugim miejscu uplasowała się „Trylogia” Henryka Sienkiewicza (27%), głównie ze względu na ciekawy i realistyczny obraz Polski i „wcale nie jest ‘drugiej kategorii’”,

jak pisał Gombrowicz!". Wśród entuzjastów Sienkiewicza ktoś jednak stwierdza: „Lepsza jednak była wersja filmowa”. Kolejno (miejsce trzecie) wskazywany jest – znowu Mickiewicz (!) i jego „Dziady” (23%), wymieniane za „genialność!” i „patriotyzm (mimo wszystko!)”. Sporą grupę lektur wyznaczają dzieła, które „wypada” uznać za ważne. Są to m.in.: „Chłopi” W.S. Reymonta (23%), „Lalka” B. Prusa (11,5%), czy „Poezje” J. Kochanowskiego (9,5%). Jednak kryteria doboru wymieniane przez uczniów są dosyć mętne: „Dlatego, że mi się podobało”, „nie bardzo wiem dlaczego, ale wydaje mi się, że właśnie to jest ważne”, „Oczywiście! Podwaliny polskiej kultury”. Wydaje się również, że część wymienianych argumentów stanowią gotowe schematy wyniesione z zajęć lekcyjnych, sformułowania, najprawdopodobniej pochodzące z ust samych nauczycieli: „pokazują wielkie tradycje polskiej wsi”, „bardzo dobra literatura z ciekawą charakterystyką bohaterów”, etc.

„Quo vadis” H. Sienkiewicza – Literacka Nagroda Nobla została wymieniona dopiero na dziewiątym miejscu przez 9,5% respondentów. Choć jednocześnie przeważają głosy, że jest to książka bardzo ważna, „na nowo aktualna w dzisiejszym świecie”.

4. „Trupy!”

Na to pytanie padły najbardziej zróżnicowane odpowiedzi. Tak samo jak przy poprzedniej kwestii, ponad dziesięć procent respondentów skwapliwie ominęło pytanie. Być może wynikało to z tego powodu, że, jak pisze jeden z warszawskich licealistów, „wzorowanie życia na postaciach książkowych zdaniem współczesnej młodzieży jest kretynizmem, należy wykreować, stworzyć własny światopogląd” i „szkoda na to czasu”. Spora grupa respondentów omijała ten punkt kreśląc jedynie krótkie notki typu: „Wszyscy bohaterowie są martwi”; „Martwe są wszystkie postacie współczesne”; „Trupy!”.

W niektórych ankietach widoczny jest pewnego rodzaju „kryzys aksjologiczny”: „nikogo nie chcę naśladować!”, „żadni bohaterowie nie są dla mnie wzorami do naśladowania”, „Myślę, że naśladowanie bohaterów książkowych jest niemożliwe”, „Ludzie – to nie ta epoka!” – zapisał na marginesie jeden z badanych licealistów.

Jako postacie żywe (wzory do naśladowania) zostało wymienionych sześćdziesiąt osób, natomiast mianem „postaci martwej” obdarzono ponad czterdziestu bohaterów. Trudno w tym miejscu przywiązywać się do kolejności. Największą ilość punktów, jako wzór do naśladowania, zdobył Bogumił z powieści Marii Dąbrowskiej „Noce i dzień” (ponad 8%), przede wszystkim za jego „mądrość i dobroć” (większość głosów padło w prowincjonalnym liceum w Żelechowie w Siedleckiem). Swój wybór licealiści motywowali: „wzorem do naśladowania powinni być bohaterowie, którzy są zwykłymi ludźmi”, „był dobrym mężem”, „kochał rodzinę”.

Pozostali bohaterowie utrzymali się mniej więcej w przedziale 7,5-5%, co jasno pokazuje, iż nie ma obecnie wśród młodzieży bohatera literackiego, który by znaczył tyle dla młodych ludzi, co niegdyś Kordian, Kmicic czy Zagłoba. W kolejności wymieniano: Tomasza Judyma z „Ludzi bezdomnych”, w którym uczniowie cenili przede wszystkim to, pisał warszawski licealista, że był „człowiekiem bardzo dobrym. Pomagał ludziom bezdomnym chociaż musiał poświęcić się sam”. Maturzyści podziwiają w Judymie jego idealizm: „tylko jednostki są zdolne do takiego poświęcenia”. Kolejnym wymienianym człowiekiem czynu jest następny lekarz – dr Bernard Rieux, bohater „Dżumy” A. Camusa oraz Lord Jim, który dla ponad 5% maturzystów pozostanie „długo niedoścignionym wzorem”, jednostką odpowiedzialną „człowiekiem poszukującym, popełniającym błędy, który jednak w końcu stawia czoła temu, przed czym uciekał, odnajduje siebie, swoje miejsce na Ziemi i zwycięża”. Herosami są również postacie z książek z okresu wojny i okupacji oraz bohaterowie pisarzy rosyjskich: Dostojewskiego, Tołstoja, a także Herlinga-Grudzińskiego. Takie legendarne postacie dla kultury polskiej jak Kmicic, Wołodyjowski, Skrzetuski, Konrad Wallenrod, Kordian, Jacek Soplica czy Wokulski uzyskały poniżej 4% poparcia. Na przykład główny bohater Prusowej „Lalki” jest dla maturzystki w Żelechowie „postacią zupełnie nierealną”, a o bohaterze „Potopu” lubelska maturzystka pisze: „Przystojny, odważny, szlachetny, wszystko mu się udaje, pokonuje wszystkich swoich wrogów, wychodzi cało z każdej opresji – w dzisiejszym świecie nie ma miejsca dla takich wojowników.” Na szarym końcu pojawiają się

wreszcie święci: Franciszek, Aleksy oraz Jezus Chrystus. „Bohaterzy martwi to dla mnie bohaterzy epoki średnio-wieczna, których jedynym wzorem był Bóg” – pisze warszawski respondent.

Maturzyści cenią najbardziej, gdy bohaterowie są konsekwentni w dążeniu do celu, tak jak Mały Książę, Marek Edelman czy Stanisława Bozowska. Lubią także obserwować proces dojrzewania poszczególnych postaci, ich „duchową metamorfozę” (Raskolnikow ze „Zbrodni i kary”, bohater „Małej apokalipsy”, Don Kichot, Hanka z „Chłopów”). Wzorami dla nastolatków są w większości dojrzały mężczyźni, podejmujący samodzielne decyzje, choć tak naprawdę, jak pisze licealista warszawski: „(...) brak jest bohatera, który w całości byłby dla mnie i mojego pokolenia wzorem do naśladowania”, gdyż „literatura wzorów w gruncie rzeczy nie podaje”.

Wśród postaci martwych, na pierwszym miejscu licealiści wymieniają Judyma (ponad 20% badanych!). Maturzyści stwierdzają, iż „przecież nie trzeba poświęcać życia rodzinnego aby nieść pomoc innym”. Bohater „Ludzi bezdomnych” jest dla nich neurotykiem, który „robi sobie same życiowe dylematy”. Zresztą przy okazji pisania o wzorach literackich uczniowie wyrażają się o twórczości Żeromskiego bardzo nie-pochlebnie (np. „Ludzie bezdomni”, jak twierdzi lubelski maturzysta, „jest to tak sentymentalna książka, że zmusza panie do wyjęcia chusteczek. Postacie są zbyt szablonowe, że aż bezsensowne”). Kolejną postacią z prozy Żeromskiego ocenianą negatywnie jest Stanisława Bozowska, zajmująca piąte miejsce (9,5%) oraz siódmy na liście Cezary Baryka (4,5%).

Następną grupę „odrzuconych” otwierają bohaterowie romantyczni: Kordian (prawie 20%), Gustaw-Konrad (14%) oraz Konrad Wallenrod (11,5%). Martwe dla maturzystów są przede wszystkim postacie z utworów Adama Mickiewicza: „Wszyscy tzw. ‘patrioci’ są martwi, w tych czasach to się nie przyjmuje”. Są oni określani przez respondentów jako „postacie nierzeczywiste”, „martwi utopiści niszczący sobie życie ‘dla tzw. sprawy’”.

Generalnie w wielu ankietach przeważają głosy, dla których reprezentatywna może być wypowiedź jednego z puławian: „Nie lubię bohaterów romantycznych!”. Oczywiście

cie pojawiają się również zdania przeciwne, ale są one w mniejszości: „Wzorem dla mnie są bohaterowie romantyczni i pozytywistyczni, pełni ideałów i umiejący je realizować”.

5. Kto zniechęca do książki?

Podobnie jak przy dwóch poprzednich punktach część młodych respondentów miało wyraźne problemy z odpowiedzią na zadane im pytanie. Spora grupa zamiast odpowiadać mozolnie, definiowała czym jest czytanie książek, a czym oglądanie telewizji oraz jaką rolę pełnią obie te czynności w życiu człowieka. Być może młodzi respondenci podświadomie zdawali sobie sprawę z tego, jaka odpowiedź byłaby najbardziej pożądana przez badającego ich dorosłego oraz z tego, że młodzież powinna więcej czytać niż oglądać telewizję. Stąd też trudno jest traktować poważnie wynik procentowy, warto jednak przeanalizować chociaż niektóre wypowiedzi respondentów.

W ankiecie zdecydowanie zwyciężyła książka (47%), głównie głosami licealistów z Żelechowa, Puław, jednego elitarnego liceum lubelskiego oraz grupy indywidualnych respondentów, czytelników *Scriptores Scholarum* z całej Polski. Natomiast zwolenników filmu było 28%, za którym opowiedzieli się głównie mieszkańcy dużych miast, a przede wszystkim uczniowie z Warszawy. Sporą grupę w ankiecie stanowili respondenci niezdecydowani (25%), którzy prawdopodobnie nie chcieli swych rzeczywistych upodobań ujawniać w ankiecie. W tej to grupie pojawiały się między innymi odpowiedzi, że „nie należy porównywać tych rzeczy”, „nie wolno mieszać tych dziedzin”, lub „łączyć ich ze sobą”. Najbardziej autentyczna i znacząca dla tej grupy wydaje się wypowiedź licealisty z Puław: „Najbardziej lubię ekranizację lektur!”. Problem wydaje się powszechny, inny młody człowiek pisze: „Niestety szkoła skutecznie zniechęca młodzież do książki. Lektura to przymus, przykry obowiązek, więc uczeń stara się za wszelką cenę obejść to prawo korzystając z bryków, opracowań...”. Ktoś inny dodaje: „wiele osób ogląda lektury z video lub czyta bryki”. Niektórzy licealiści wybierają wyjście kompromisowe mówiąc, że „najbardziej lubię mądrą książkę i dobry film”, lub że „Kino i literatura są tak samo ważne”.

Uczniowie oczywiście widzą walory czytania książek, jednak nie czynią tego, przede wszystkim ze względu na brak czasu. Oto kilka przykładowych odpowiedzi: „W tej chwili nie mam czasu na czytanie książek, poza tym wynika to z mojego lenistwa”; „(...) brak czasu w otaczającym nas świecie, a film ogląda się szybciej niż czyta się książkę”; „Wolę film. Ponieważ na oglądanie filmu trzeba mniej czasu, a można zdobyć tyle samo wiadomości”; „Film ogląda się szybciej i jest to wygodniejsze”. Dla części respondentów, tak jak dla uczniów z Żelechowa, nie wszystko można racjonalnie tu wyjaśnić. Telewizja to nawyk: „Częściej oglądam filmy. Dlaczego? Nie wiem. Może z przyzwyczajenia?”. Sprawa wydaje się prosta także dla jednego warszawiaka: „Wolę film, bo jest mniej skomplikowany od książki, nie muszę myśleć”. Młodzi ludzie próbują jakoś wytłumaczyć tę sytuację: „Jest mało ciekawych książek”; „Niestety rzadko się zdarza, że trafię na fascynującą książkę, dlatego częściej wybieram telewizję”. Oglądanie filmu dla tej grupy jest po prostu czymś przyjemniejszym: „Zdecydowanie wolę film. Dlatego, że lepiej wchodzi mi do głowy treść. Jestem zainteresowana bardziej przygotowaniami bohaterów, niż czytając książkę”; „Przy książce się nudzę, a przy filmie nie”. Obraz skuteczniej oddziałuje: „Film bardziej porusza, wstrząsa, przemawia, uderza”; „Zdecydowanie wybieram film ponieważ podczas oglądania filmu odbieram historię w nim zawartą oczyma i wyobraźnią reżysera czyli innej osoby, wtedy znam pogląd na świat i wyobrażnię innego człowieka”; „W filmie można wszystko zobaczyć”.

Więcej oficjalnych zwolenników wśród licealistów zyskała w ankiecie książka, choć jednocześnie maturzyści przyznają, że: „Istnieją takie filmy bez których moje życie byłoby uboższe (filmy Kieślowskiego)”. Książka, którą można przeczytać musi jednak spełnić określone warunki. Liczy się, jak zawsze u pokolenia współczesnych nastolatków, pragmatyzm: „W jakim przypadku moi rówieśnicy sięgają po książki? Jeżeli książka napisana jest dość prostym językiem nie ma w niej chaotycznie poukładanej fabuły, nie zawiera zbyt wiele opisów wtedy jest chętnie czytana”; „Z czystym sumieniem mogę powiedzieć, że wolę książkę. Należy jednak zrobić założenie, że jest to książka, którą sama wybrałam, która przynosi mi jakieś korzyści”; „Wolę książkę – ale musi być dobra i

niezawsze mam czas”. Argumenty świadczące o wyższości słowa drukowanego są bardzo różne: „Film spłyca”, a „Książka daje satysfakcję”. Oprócz tego „Książka zmusza nas do wyobraźni”, natomiast „Film jest krótki i przedstawione w nim problemy są potraktowane ogólnikowo”. Książka zyskuje sobie również zwolenników wśród ekologów: „Wolę książkę bo jest tańsza, zdrowsza (nie działa na podświadomość) zawsze można do niej wrócić, wymaga większego zaangażowania od odbiorcy”; „(...) od telewizji bolą mnie oczy i nie ma nic ciekawego”. Spora część respondentów odczuła na własnej skórze określone korzyści związane z lekturą, co więcej, czytanie książek jest dla wielu autentyczną przyjemnością: „(...) podczas czytania książki to ja jestem reżyserem, scenografem, może wtedy pracować moja wyobraźnia”; „Książka – rozwija osobowość, a nie rozmiary ciała”; „Czytając książki głębiej wchodzę w psychikę bohatera i bardziej szczegółowo przeżywam wydarzenia (...) bardziej się wzruszam”; „Wolę książkę, gdyż pomimo tego, że nie oglądam akcji wydarzeń to mogę je dokładniej i na swój sposób zobrazować w głowie”.

6. „Środek na wszystko” czy „propaganda kiczu”?

Jakie programy telewizyjne preferują współcześni maturzyści? Zdecydowana większość ogląda tylko informacyjne, z których to najczęściej wymieniają Wiadomości i Panoramę. Telewizja odgrywa w ich życiu także rolę edukacyjną – uczniowie chętnie oglądają programy dydaktyczne, popularnonaukowe, przyrodnicze oraz publicystyczne. Do najważniejszych wskazanych przez respondentów należą: „Okna”, „Rozmowy na koniec wieku”, Teatr TV, cykl „Mistrzowie kina”. Nie wszyscy ten punkt ankiety traktowali do końca serio. Jeden z maturzystów lubelskich zapisał na marginesie: „(...) wszyscy silą się na oryginalność, a ja uwielbiam oglądać dobranocki!”. Telewizja pozwala także, co zostało docenione szczególnie przez młodzież z mniejszych ośrodków, na stały kontakt z kulturą.

Znaczącą grupę w ankiecie stanowiły osoby wyrażające skrajnie emocjonalne uczucia w stosunku do telewizji: „Nienawidzę telewizji, strata czasu. Z tego typu 'rozrywki' korzystam żadko”; „Telewizja zabiera mi czas i pozwala na

beźmyślność”; lub krańcowo inne: „(...) chciałbym, żeby moja przyszłość opierała się na telewizji i filmie”; „Nie wyobrażam sobie codzienności bez telewizora”. Pojawiają się więc zarówno głosy traktujące telewizję jako „okno na świat”, „jedyną rozrywkę”, „przerywnik w nauce”, „środek na wszystko”, jak i „pożeracza czasu”, „propagandę kiczu”, „powszechną trybunę przemocy i głupoty”.

Wielu nastolatków przyznaje, że jest po prostu od telewizji uzależniona: „Zdaję sobie sprawę, że to nałóg, ale bez telewizji moje życie byłoby ograniczone”; „Spędzam przed telewizorem około pięciu godzin dziennie”. Wydaje się, że w niektórych przypadkach telewizja jest jedyną alternatywą na nudę: „Przyznaję, że gdy mam czas lubię go marnować przed telewizorem”; „Dlaczego sięgam po pilota? Telewizja pozwala oderwać mi się od rzeczywistości”. Spośród wielu odpowiedzi znajdują się i takie – przemyślane i dojrzałe: „Obecnie zaczynam doceniać walory i rolę telewizji. Interesuję się językiem francuskim. Nie potrafię sobie wyobrazić nauki tego języka bez wiadomości i filmów we francuskiej telewizji (TV5)”.

7. Okno na świat czy przykry obowiązek?

Kolejny problem poruszony w ankiecie dotyczył zajęć z języka polskiego, podczas których, według zaleceń władz oświatowych, nauczyciele winni stawiać sobie za zadanie przygotowanie ucznia do świadomego odbioru czytelniczego tekstu literackiego. Chodzi tu o wyrobienie u młodego człowieka nawyku czytania tak, by obecny licealista, a w przyszłości lekarz, inżynier czy prawnik sięgał po słowo drukowane regularnie i z przyjemnością.

Czy jednak postulatом tym i rzeczywistym potrzebom wychodzi naprzeciw praktyka szkolna? Wielu uczniów stwierdza: „(...) większość (lekcji – S.J.Ż.) jest tragiczna, mam dosyć nauki w stylu: ‘co pisarz chciał przez to powiedzieć?’, w naszej klasie w ogóle wszelkie analizy i interpretacje są do dupy!”. Takie lekcje są niewątpliwie, jak pisze inna uczennica z Warszawy „w dużym stopniu przykrym doświadczeniem”, i chyba należy się cieszyć, że po takich przeżyciach młodzież w ogóle sięga jeszcze samodzielnie po jakąś lekturę: „Lekcje zazwyczaj są żałosne, natomiast ‘oknem na świat’ jest lektura

książek”. Na wielu lekcjach powielane są, jak piszą licealiści, scenariusze gombrowiczowskie: „Szczególnie te lekcje są przykrym obowiązkiem, który sprowadza się do stwierdzenia: ‘Słowacki wielkim poetą był’”. Oczywiście sytuacja ta nie jest (Bogu dzięki!) powszechna, gdyż pojawiają się w ankiecie również wypowiedzi dokładnie przeciwne: „Nigdy nie narzucano nam poglądów w stylu: ‘Słowacki wielkim poetą był’. Atmosfera swobodnej dyskusji sprawiła, że teksty nie pozostawały ‘martwe’, dzięki wykorzystywaniu w ich interpretacji szerokiego kontekstu kulturowego, historycznego i filozoficznego, przy czym najistotniejszy był fakt, że mogliśmy odwoływać się do wydarzeń i doświadczeń z naszego życia”.

Większość ankietowanych odpowiada, iż to czy lekcje polskiego są oknem na świat zależy przede wszystkim od nauczyciela: „Przez cztery lata nauki w liceum, tylko raz miałem nauczyciela, który sprawił, że język polski stał się ‘oknem na świat’, niestety metody, którymi uczył nie podobały się dyrekcji i nauczyciel ten musiał opuścić szkołę”. Maturzyści skarżą się głównie na rutynę swoich profesorów oraz przeładowany materiał: „Lekcje języka polskiego to gonitwa za materiałem i brak czasu. (...) Prawie w ogóle nie jest wymagane od nas wyciąganie wniosków. (...) Lekcje języka polskiego jedynie sygnalizują, gdzie to okno się znajduje”; „Nie są ‘oknem na świat’, ponieważ ich szablonowość, ciągła pogoń za realizacją materiału nie pokazują świata”. Być może dlatego maturzyści wolą „(...) lekcje z młodymi nauczycielami, którzy nie operują stereotypami, (...) inne to strata czasu”. O wiele mniej krytyczni są młodzi ludzie wobec siebie samych. Rzadko kiedy odnaleźć można wypowiedzi utrzymane w takim oto tonie: „Czy lekcje są atrakcyjne zależy od mojej kondycji fizycznej i psychicznej”.

Uczniowie skarżą się na stresujący, mało urozmaicony i odtwórczy charakter sprawdzianów, dlatego też najczęściej lekcje języka polskiego „(...) są przykre wtedy, gdy są klasówki”. Nie lubią również nauki o języku: „Przykry obowiązek – nauka gramatyki”. Lekcje języka polskiego są w decydującym stopniu oknem na świat dla maturzystów z małych miasteczek.

Mimo wszystko uczniowie jednak lubią zajęcia z literatury: „Przychodzę na polski nawet wtedy gdy nie jestem przygotowana”; „Dzięki lekcjom polskiego poznaję literaturę,

po którą normalnie prawdopodobnie bym nigdy nie sięgnął". Najbardziej interesujące są dla nich te godziny, na których pojawiają się elementy filozofii, psychologii, socjologii, historii. Są również zadowoleni, gdy mogą doświadczyć erudycji pedagogów: „Są oknem na świat wtedy, gdy pan profesor, zapominając o goniwce za materiałem, mówi, mówi i mówi, tak zajmująco, że zapomina się o całym świecie”. Dla niektórych lekcja polskiego jest wytchnieniem po stresie przeżytych na innych zajęciach: „Jest to jedyna lekcja, na którą przychodzę nie stresując się, jest to jedyny przedmiot, którego nie muszę się uczyć, gdyż wszystko niepostrzeżenie samo ‘wchodzi’ mi do głowy”. Co najważniejsze sami uczniowie widzą mimo wszystko potrzebę istnienia tego przedmiotu w ramach obowiązujących w szkole zajęć: „Uczę się na nich rozumienia i interpretowania tekstów literackich, wyrażania swoich myśli w sposób jasny i poprawny, co jest niezbędne do funkcjonowania w nowoczesnym świecie”. W ankiecie pojawiają się również głosy dotyczące potrzeby reformy struktury zajęć: „Według mnie potrzebna jest jakaś cywilizacyjna zmiana formy”; „Dzisiejszy system nauczania nie stwarza ‘okna na świat’”.

8. Wharton i Dzieci z dworca ZOO

Odpowiadając na ósme pytanie uczniowie wymienili grubo ponad sto różnych tytułów, ważnych dla ich życia pozycji wydawniczych. Autorami wybieranych książek są przede wszystkim popularni, szeroko reklamowani w witrynach księgarskich w Polsce, współcześni pisarze zagraniczni, tacy jak: J. Austin, S. de Beauvoir, U. Eco, H. Hesse, czy H. Miller. Jednak tylko ponad połowa ankietowanych dokonuje samodzielnych wyborów czytelniczych, a głosy ich są niezwykle zróżnicowane.

Jeśli już uczniowie sięgają spontanicznie po książki, to szukając w nich przede wszystkim odpowiedzi na dręczące ich pokolenie problemy. A jakie kwestie najbardziej ich poruszają? Najwięcej, bo ponad 5% ankietowanych (a co najważniejsze z różnych miejscowości i środowisk) wymieniło książkę-relację z życia niemieckiej narkomanki F. Christiane „My dzieci z dworca ZOO”. Oto jak maturzyści wyrażali się o tej pozycji: „Ta książka dużo uczy. Uczy tego aby młody

człowiek nigdy nie upadł tak nisko. Książka ta przedstawia dokładnie życie dziewczyny, która jest narkomanką i później pragnie z tego wyjść. Po przeczytaniu tej książki większość młodych ludzi nigdy nie sięgnie do używek”. Na kanwie wspomnień Christiane inna lubelska licealistka pisze: „Podziwiam postać Marka Kotańskiego i to, co on robi chciała-bym kiedyś tak jak on pomagać ludziom. Dzięki takim książkom nigdy nie sięgnę po narkotyki”. W dużej mierze maturzyści szukają w księgarniach i bibliotekach książek religijnych i religioznawczych, takich jak np. „Buddyzm w swej specyfice i odrębności wobec chrześcijaństwa” oraz „Rozważania o wierze” Dajczera; „Przekroczyć próg nadziei” Jana Pawła II; a nawet, wydawałoby się lektur zupełnie anachronicznych – „Żywoty świętych”. Co dają te pozycje młodzieży? „Z moich prywatnych lektur czerpię lekarstwo, oczyszczenie, energię, inspirację, żyję nimi” – odpowiada licealistka z Puław. Przy czym Biblię, jako książkę ważną dla swojego życia, wymieniło zaledwie 2% respondentów (badaniu poddani zostali również maturzyści liceum katolickiego). Być może uczniowie, tak jak pisze jedna z warszawskich licealistek, „wybierają lektury najbliższe swojej hierarchii wartości i sposobowi w jaki patrzą na świat”, i nie jest to już dziś religia chrześcijańska...

Bardzo dużą popularnością (aż 4%) cieszy się wśród nastolatków autor powieści „Ptasiek” oraz „Spóźnieni kochankowie” W. Wharton. Uczniowie piszą o nim m.in.: „To świetny pisarz i trudno jest mi się pogodzić z tym, że żadna z jego książek nie została włączona do kanonu lektur”; „To naprawdę świetny autor i my go czytamy bez przymusu!”. A tak w ogóle to *gros* wskazywanych tytułów stanowią książki powstałe w XX wieku. Dla kilku uczniów ważna była na przykład lektura „Malowanego ptaka” J. Kosińskiego, w której przemówił m.in. „szczegółowy dramatyzm, który sprawił, iż częściowo zrozumiałam okrutne mechanizmy tego świata”. Podobnie, swoich zwolenników znalazły powieści J. Londona, o którym licealistka z Żelechowa pisze: „dzięki niemu pokochałam północ i uwierzyłam w szlachetność socjalizmu”. Przemawiają również utwory K. Vonneguta (jr) swym „ironicznym spojrzeniem na świat, z którego wynika, iż wcale nie jesteśmy najmądrzejsi ze

zwierząt". Pojedyncze osoby wymieniły również: A. Camusa („Upadek”, „Obcy”), T.S. Elliota (Poezje), B. Hrabala („Postrzyżyny”), F. Kafkę (Proza), J. Joyce’a („Portret artysty z czasów młodości”); G. Marqueza („Sto lat samotności” i „Miłość w czasach zarazy”); O. Wilde’a („Portret Doriana Greya”) oraz wiele, wiele innych.

Spośród autorów literatury polskiej maturzyści najczęściej piszą o S. Mrożku, W. Gombrowiczu i Witkacym. Choć pojawili się również w ankiecie: K. Bratny („Kolumbowie rocznik 20”), E. Orzeszkowa („Cham”) oraz S. Żeromski („Dzieje grzechu”). Ten ostatni zachwyił uczennicę z Lublina wymienioną powieścią w której ujrzała „oblicze pisarza, jakiego nie poznaje się w szkole”.

Stosunkowo niewiele osób wskazywało na polskie teksty poetyckie, ważne dla ich życia. Wymieniono zaledwie ponad dziesięciu polskich autorów współczesnych: A. Bursę, Cz. Miłosza, W. Szymborską, I. Gałczyńskiego, R. Brandstaetera, E. Stachurę, ks. J. Twardowskiego, a z najmłodszych – M. Świetlickiego. Wśród poetów pojawili się również autorzy piosenek: A. Osiecka i J. Kaczmarski.

Pojawiło się także kilka tytułów z kręgu europejskiej literatury klasycznej ważnych dla tegorocznych maturzystów. Były to między innymi książki: z literatury francuskiej – W. Hugo „Nędznicy” (w których odnaleźć można „ideał prawdziwej, bezinteresownej miłości”); E. Zoli „Nana”; Ch. Baudelaire’a Poezje; A. Dumasa „Trzej muszkietierowie”; z literatury angielskiej – W. Szekspira „Dramaty”. E. Bronte „Wichrowe wzgórze”, która „ukazuje silną, gwałtowną i wiecznie trwającą miłość, dla której warto się poświęcić i cierpieć”; J. Conrada „Jądro ciemności”; K. Dickensa „Klub Pickwicka”, „Opowieść wigilijną”, „Olivier Twist” (podobające się, gdyż pełne są „angielskiego humoru i optymizmu; dobro zawsze zwycięża w nich zło, co daje pewną nadzieję”); z literatury rosyjskiej F. Dostojewskiego „Bracia Karamazow”, „Idiota” (4%) (!); L. Tołstoja „Wojna i pokój” i „Anna Karenina”, „w obrazie której może odnaleźć się każda kobieta”. Z literatury niemieckiej wymieniono jedynie „Czarodziejską Górę” T. Manna.

Dla kilku maturzystów przeformowe były także teksty filozofów: Platona („Uczta”), F. Nietzschego („Tako rzecze Zaratustra”); E. Fromma („Sztuka miłości” oraz „Ucieczka od

wolności”), a także J. P. Sartre’a („Mur”). Uczniowie wybierają również książki popularnonaukowe, między innymi: „Pierwsze cywilizacje” F. Blanchona, „Strategie bogów: ósmy cud świata” E. von Dänikena, „Śmiertelny pojedynek Chruszczow – Beria” B. Wołoszańskiego, czy ostatnio bijący w Polsce rekordy popularności „Świat Zofii”.

Maturzyści przypominają także ważne dla nich lektury z dzieciństwa: „Anię z Zielonego Wzgórza” L. M. Montgomery („Piękno codziennego życia, wiktoriański spokój”); książki E. Paukszta i M. Musierowicz („Wychowałam się na tych książkach”; „Podejmują problemy życia nas samych”); powieści przygodowe K. Maya („To on sprawił, że zaczęłam czytać książki.”) Pojawiają się również tytuły znane z reklamy telewizyjnej, jak chociażby szeroko popularyzowana w mediach „Saga o ludziach lodu”.

9. Do Europy z Mickiewiczem

Gdyby maturzyści-respondenci biorący udział w ankiecie „delegowali” do Brukseli polskie dzieła literackie, na europejskiej liście lektur szkolnych znalazłyby się trzy bardzo różne utwory. Choć zdania wśród ankietowanych były bardzo podzielone (61 tytułów!) to jednak zwyciężyła polska klasyka. Pierwsze miejsce zajął „Pan Tadeusz” Adama Mickiewicza (19%), którego uczniowie docenili przede wszystkim za propagowanie „pięknej idei kultury szlacheckiej”. Na drugim miejscu znalazł się cykl reportaży Zofii Nałkowskiej „Medaliony” (18%), a na trzecim „Quo vadis” Henryka Sienkiewicza (15%). Do „Medalionów” przekonał uczniów przede wszystkim ich uniwersalny, humanistyczny charakter („ukazują jaki los zgotować potrafi człowiek drugiemu człowiekowi”). Książka ta może również służyć zdaniem respondentów pojednaniu polsko-żydowskiemu: „Książkę tę powinni przeczytać wszyscy Europejczycy, po to aby ludzie zobaczyli jak naród polski i żydowski żył w czasie wojny”. „Quo vadis” zachwyca podjęciem tematyki uniwersalnej, chrześcijańskim charakterem: „Miło jest przeczytać, że żyli kiedyś na świecie prawdziwi chrześcijanie”.

Powyżej dziesięciu procent otrzymały jeszcze dwie książki: „Ferdynand” W. Gombrowicza („uniwersalizm problemu jednostki wobec świata, formy, tradycji, konwenansów”;

„zmusza do refleksji”; „dowcip”; „Europejczycy powinni wyzwolić się z formy!”) oraz „Chłopi” W.S. Reymonta („dostał Nobla!”; „skarbnica wiedzy dotycząca ludowych obrzędów, tradycji i zwyczajów”; „obraz życia na wsi polskiej”). Słabo na liście wypadli żyjący polscy nobliści i w ogóle poezja polska. Wisława Szymborska pojawiła się dopiero na dziesiątej pozycji (6,5%), Herbert piętnastej (4,5%), a Miłosz dwudziestej piątej (2,5%). Do Europy nie załapałby się ani Sienkiewicz ze swoją „Trylogią” 9,5% ani Prus z „Lalką”, ani Mickiewicz z „Dziadami”. I chociaż „Poezje” Norwida, co zresztą licealiści zauważają, pisane były w „duchu europejskim” („o człowieku a nie o Polsce”), to również ich autor do Europy by nie pojechał.

W ankiecie wystąpili zwolennicy prezentacji w europejskiej szkole „Kariery Nikodema Dyzmy” Dołęgi-Mostowicza, „Popiołu i diamentu” Andrzejewskiego, a nawet powieści młodzieżowych Muskat-Fleszerowej. Listę zamykają: Jan Paweł II „Przekroczyć próg nadziei”, J. Słowacki „Poezje” oraz S. Żeromski „Wierna rzeka”. Generalnie maturzyści dostrzegają potrzebę prezentacji w Europie „Dzieł o uniwersalnej problematyce, inteligentnych, tych na zrozumienie których nie ma wpływu narodowość”.

10. „Nie mam zielonego pojęcia, ale...”

Przy ostatnim pytaniu odpowiedzi były raczej lakoniczne i zdawkowe. Oczywiście znalazła się liczna grupa respondentów przeciwnych, lecz protest ten raczej nie wynikał z ksenofobii, lecz poczucia przeciążenia istniejącym kanonem lektur: „Lista lektur jest i tak za długa!”; „Mamy wystarczającą ilość własnych niedocenionych autorów”; „(...) i tak mam innych za dużo”; „może i tak, ale najpierw jednak należałoby zrobić selekcję wszystkich lektur szkolnych”.

Drugą najbardziej liczną grupę stanowili uczniowie, którzy z zażenowaniem mówią o swojej ignorancji, ale chcą się czegoś dowiedzieć, gdyż czują intuicyjnie, że może to być dla nich kwestia ważna i interesująca: „Nie mam zielonego pojęcia, ale powinniśmy coś wiedzieć o tych państwach, w końcu przecież są naszymi sąsiadami”. Dlatego jest to aż tak ważne: „Może pozwoliłyby one (lektury – S.J.Ż.) złamać stereotypy dotyczące naszych wschodnich sąsiadów, może

dowiemy się czegoś więcej o południowych sąsiadach, o ich kulturze, tradycji. Do tej pory wiemy tylko, że mają bardzo tanie piwo”. „A tak w ogóle – dodaje inny ankietowany maturzysta – za mało uwagi zwracamy na naszych sąsiadów”.

Pozostała, najmniej liczna grupa stanowili ci, którzy na swoich szlakach czytelniczych odkryli już polskich sąsiadów: „Kundera. Prozaicy Czeszy oraz Tomasz Mann. Więcej rosyjskich pisarzy, ale niemieckich – na pewno nie!”; „Tak. Chciałbym więcej literatury rosyjskiej, którą uważam za najlepszą na świecie”; „Warto czytać filozofów niemieckich!”. W ankiecie pojawiają się również postulaty zbliżenia z Zachodem oraz Litwą, „co jest uzasadnione historycznie”, poza tym „Polska z Litwą mają wspólną przeszłość!”.

Czytelnicy bez przesady (podsumowanie)

Na końcu warto zwrócić uwagę na kilka ważkich kwestii. Po pierwsze jasno widać, iż uczniowie dobierają swoje lektury poszukując w nich odpowiedzi na decydujące dla nich kwestie. Nie są to jednak sprawy związane z okresem dojrzewania (pierwsza miłość, utracona przyjaźń, poszukiwania ideologiczne), ale dotyczące problemów aktualnych dla ludzi z reguły już dorosłych i psychicznie dojrzałych. Równocześnie piszą o tych „dorosłych” sprawach niechętnie, ograniczając się do lakonicznych stwierdzeń i skrótów myślowych. Tylko nieliczni wypowiadają się bardziej osobiście, tak jak to czyni jeden z warszawskich maturzystów, dzieląc się przeżyciami z lektury „Cierpień młodego Wertera”: „znajdowałem się w podobnej (choć oczywiście mniej dramatycznej) sytuacji”. Znamienne jest również, że współczesna młodzież nie wydaje się generacją buntowników czy katastrofistów. Takie postacie jak Marek Hłasko, Andrzej Bursa czy Edward Stachura zajmują dalekie pozycje w rankingu ulubionych autorów lektur. Być może dzieje się tak również dlatego, jak powiedział jeden z respondentów, iż „ludzie ci gaszą optymizm życiowy”. Respondenci cenią sobie głównie takie wartości jak: przydatność, użyteczność, inteligencja, sprawność działania, pracowitość.

Niewątpliwie cieszy zainteresowanie, jakim otaczają dobrą literaturę europejską, bez uprzedzeń historycznych, o czym świadczy choćby fascynacja literaturą rosyjską. Są to

ludzie bardzo wrażliwi na teksty współczesne. Jednocześnie martwią ci, którzy z niechęcią mówią o czytaniu książek, preferując bezmyślne oglądanie telewizji.

Jest to niewątpliwie pokolenie pragmatyków, stroniące od romantycznego i pozytywistycznego idealizmu. Być może dlatego nie lubią aż tak bardzo Żeromskiego. Skarżą się na swoich nauczycieli, którzy, jak wynika z relacji, często nie potrafią im w sposób przystępny przekazywać wiedzy oraz podsunąć instrumentów niezbędnych do wejścia w skomplikowany świat Witkacego, Schulza czy Gombrowicza. Zgłaszają ciekawe postulaty w sprawie reformy oświaty. Chętnie np. czytaliby trudne teksty staropolskie czy romantyczne, ale nie w pierwszej czy drugiej klasie liceum. Jak przystało na prawdziwych inteligentów potrafią być również krytyczni wobec siebie samych. Widzą swoje lenistwo, uzależnienie od telewizji, marazm. Cenią sobie polskość i wcale nie są apatriotyczni. Sprawa obecności Polski w Unii Europejskiej jest dla nich kwestią oczywistą. Nie lubią bohaterów przerysowanych i sztucznych. Bliscy są im ludzie działający, aktywni, kreślący przed sobą jasno cele, do których dążą. Doceniają wartość książki, czytają samodzielnie, choć bez przesady. Równocześnie dostrzegają ogromną wartość kina i telewizji. Czasami wybierają oglądanie obrazów, bo po prostu na książkę brak im czasu. Jest to pokolenie otwarte na inne kultury i narody, ksenofobia stanowi wstydlivy margines w poglądach jednostek. Są bez kompleksów i mimo wszystko zaglądają do książek.

Sławomir J. ŻUREK

Archiwum polityczne

Koniec epoki Kohla

Historyczne wybory

Tegoroczne wybory do Bundestagu były ostatnimi w tym stuleciu. Były to także ostatnie wybory do parlamentu federalnego z siedzibą w Bonn. Za rok Bundestag rozpocznie swoją pracę w zmodernizowanym Reichstagu nad Szprewą. Już przed ogłoszeniem wyników wszystko wskazywało na to, że ostatni raz o fotel kanclerza ubiegać się będzie „Bismarck RFN”, Helmut Kohl. „Kanclerz Zjednoczenia” zapowiedział przed wyborami, że w roku 2002 o większość głosów w Bundestagu rządzącej od 1982 roku konserwatywno-liberalnej koalicji walczyć już będzie jego „następca tronu”, przewodniczący klubu parlamentarnego CDU, Wolfgang Schäuble. Tegoroczne wybory miały być przynajmniej zapowiedzią zmierzchu epoki Kohla, a tymczasem okazały się jej zakończeniem.

Zaskoczenie zwycięzców

Parlamentarna większość głosów dla socjaldemokratyczno-zielonej koalicji zaskoczyła samych zwycięzców. Co prawda większość sondaży od prawie roku wskazywała na podobny wynik, jednak już podczas ostatnich zwycięskich wyborów rządząca koalicja Helmuta Kohla startowała w podobnie niekorzystnej sytuacji i na kilka dni przed terminem wyborów prześcignęła opozycyjne partie.

I tym razem szanse kontrahentów wydawały się nierówne.

Rządzącą koalicję prowadził polityk, którego historycznych zasług nawet opozycja nie zamierzała kwestionować, człowiek, który po szesnastu latach rządzenia ponownie startował do wyborów dopiero w wieku 67 lat – w tym to wieku Konrad Adenauer zaczynał dopiero swoje urzędowanie jako kanclerz RFN. Po stronie opozycyjnej startowała socjaldemokracja bez przekonujących propozycji programowych. Szczególnie w dziedzinie gospodarki SPD zaprezentowała podczas swojej kampanii wyborczej sprzeczny program mieszający neo-liberalny język z tradycyjnym, domagającym się zwiększenia siły nabywczej obywateli. Co jednak ważne, SPD prowadziła wybory bez potencjalnego partnera, z którym mogłaby stworzyć rząd. Socjaldemokraci długo nie mogli liczyć na większość głosów dla czerwono-zielonego aliansu, ponieważ zieloni podczas kampanii zagrozili swojej egzystencji niebezpieczną dyskusją na temat radykalnej podwyżki cen paliw.

Dlatego strategom SPD, mimo sympatii dla modelu rządu zielono-czerwonego, raczej odpowiadała droga, którą poszedł ponad trzydzieści lat temu Willy Brandt, czyli „wielka koalicja” z CDU. Atrakcyjność tego modelu dla socjaldemokratów polegała nie tylko na tym, że cieszył się największym poparciem opinii publicznej, ale także dlatego, że zostałby zrealizowany bez Helmuta Kohla, który już wcześniej zasygnalizował, że nie jest zainteresowany takimi aliansami.

Salomonowa decyzja wyborców

W dniu wyborów niemieccy wyborcy podjęli jednak nieoczekiwaną salomonową decyzję, mianowicie wyposażyli czerwono-zielonych w wygodną większość parlamentarną, pozostawiając liberałów i postkomunistów w Bundestagu i nie dopuszczając skrajnie prawicowych partii do parlamentu federalnego. Mądrość tej decyzji – jeśli w ogóle można użyć takiego słowa w tym kontekście – polega na tym, że w przeciwieństwie do modelu „wielkiej koalicji” zapewnia wpływową opozycję. Wielką stratą dla kultury politycznej byłaby także eliminacja zasłużonej dla RFN partii liberałów, partii tak renomowanych polityków jak Walter Scheel i Hans-Dietrich Genscher. Po 29 latach stałego udziału w rządach, wynik

wyborów zmusza FDP do koniecznej odnowy także na ławach opozycji. Toteż politycy FDP szybko zaakceptowali wynik wyborów, przyznając, że ominęła ich większa katastrofa – całkowita eliminacja na szczeblu federalnym.

W ogóle trzeba przyznać, że zmiana rządu ujawniła dojrzałość demokracji niemieckiej. Helmut Kohl natychmiast po ogłoszeniu wyników suwerennie przejął całkowitą odpowiedzialność za najgorszy wynik CDU po 1949 roku. Nikt nie usłyszał z jego ust ataków na swojego następcę, Gerharda Schrödera. A lider socjaldemokratów w dniu zwycięstwa podkreślał historyczne zasługi „Kanclerza Zjednoczenia” dla Niemiec. Wydaje mi się, że nie robił tego z kurtuazji, tylko z chęci podkreślenia stabilności systemu politycznego. Zmiany rządu są naturalnym elementem demokracji. W porównaniu z Niemcami Polacy słusznie dumni są ze swoich tradycji demokratycznych, niemniej jednak polskim politykom przydałoby się poznać styl zmiany rządu nad Renem.

Wybory do Bundestagu przyniosły Niemcom nie tylko pierwszą koalicję SDP z Zielonymi na szczeblu federalnym, ale także zapewniły postkomunistycznej PDS stały udział w systemie politycznym zjednoczonych Niemiec. Przekroczenie pięcioprocentowego progu przez postkomunistów nie wywołało na Zachodzie większego szoku, ponieważ już przedtem zachodnioniemiecka opinia publiczna zmieniła swój stosunek do PDS, akceptując postkomunistów jako stały element pejzażu politycznego landów wschodnich, gdzie co piąty obywatel oddał swój głos na następców partii Honeckera. Niespełna rok temu dyskusje na temat zmiany stosunku do postkomunistów rozpoczął były prezydent RFN, Richard von Weizsäcker, oświadczając, że jeśli PDS bezwarunkowo zaakceptuje konstytucję Republiki, większość elit politycznych powinna pogodzić się z istnieniem tej partii. Podobnie mówił socjaldemokratyczny premier Saksonii – Anhalt Reinhard Hoepfner, który w Magdeburgu od kilku lat prowadzi mniejszościowy rząd wspierany przez postkomunistów.

W dniu wyborów przewodniczący SPD, Oskar Lafontaine, otworzył postkomunistom drogę do udziału we władzy na szczeblu landów, oświadczając, że nie będzie przeciwstawiał się współpracy socjaldemokratów z PDS na Wschodzie.

Do realistycznego podejścia do postkomunistów dołączył się dwa tygodnie później szef klubu parlamentarnego CDU, Wolfgang Schäuble, rozważając przyjęcie byłych członków reżymowej SED do partii Kohla.

Nie tylko kwestia obecności PDS w Bundestagu oraz w rządach wschodnich landów ujawnia, że zmienia się powojenny pejzaż polityczny RFN. Współtworząc gabinet kanclerza Schrödera Zieloni mają szansę udowodnienia swej dojrzałości politycznej, co w przyszłości może oznaczać, że staną się atrakcyjnym partnerem politycznym dla liberalnych kręgów CDU i mogą przejąć rolę, którą odegrali w przeszłości liberałowie. Na razie jednak CDU i Zielonych dzieli w takich sprawach jak integracja obcokrajowców czy polityka ekologiczna – przepaść. Niemniej w polityce zagranicznej widać jak bardzo Zieloni odrzucili dogmaty. Wydaje mi się, że w Niemczech następuje zanik konfrontacji ideologicznych. Nie neguję oczywiście, że istnieją poważne różnice programowe między partiami, jednak nie myliłbym konkurencji pomiędzy jednym zielono-czerwonym blokiem politycznym a liberalno-chadeckim z walką pomiędzy różnymi systemami politycznymi i gospodarczymi. Błędem strategów CDU było, iż próbowali podczas kampanii wyborczej polaryzować, z nadzieją że uda im się zmobilizować konserwatywnych wyborców. Jednak wielu wyborców raczej odebrało konkurencję pomiędzy rządem a opozycją jako antagonizm nieideologiczny, co przyczyniło się do, jak na warunki niemieckie, odważnej zmiany rządu.

Ciekawe, że tendencję zaniku konfrontacji ideologicznych można zaobserwować także w innych dojrzałych demokracjach. Zmiany te określił krakowski filozof Ryszard Legutko następującymi słowami: „Żyjemy w czasach, kiedy – w przeciwieństwie do rozszalałych fantazji ideologicznych w dziedzinie szeroko rozumianej kultury – rzeczywiście programy gospodarcze i polityczne partii sprawujących władzę niewiele się różnią, mimo konfrontacyjnej retoryki używanej w kampaniach politycznych. Wybór między tymi partiami w nikłym stopniu polega na opowiedzeniu się po jakiejś stronie wyraźnej programowej alternatywy, a raczej na sentymentach, emocjach, przyzwyczajeniach, historycznych lojalnościach”¹.

1. „Tolerancja niczego nie rozwiązuje”, rozmowa z Ryszardem Legutko, *Przegląd Polityczny*, nr 36, 1998.

Jakie są przyczyny tych zmian? Dla Legutki, i tu widzę porównywalny rozwój w Niemczech, wyborcy w większości zrozumieli, iż skala możliwości w polityce jest ograniczona: „Ludzie zmyślili na tyle, że nie chcą słuchać o cudownych pomysłach i oryginalnych programach, więc politycy przestali je głosić”.

Mimo tej oczywistej etnideologizacji większości wyborców, w Niemczech istnieje obawa, że przy stabilności politycznego centrum może się zradykalizować prawicowe skrzydło. Z dużą ulgą przyjęto więc nieobecność neonazistów w nowym Bundestagu. Wydaje mi się, że rzeczywiście w Niemczech nie powstanie w najbliższym czasie tak wpływowy ruch skrajnie prawicowy, jak we Francji czy we Włoszech. Przywódcy oraz retoryka niemieckich neofaszystów są mało ciekawe dla niemieckich wyborców o podobnym światopoglądzie. Prawdopodobnie potencjał wyborczy dla tego skrzydła politycznego nie różni się od porównywalnego w innych krajach i sięga dziesięciu do piętnastu procent. Na razie chadeckie CDU i CSU skutecznie wiązały większość tego elektoratu, co z pozycji opozycyjnej w ciągu następnych czterech lat znowu powinno się udać. Większym zagrożeniem dla demokracji niemieckiej wydaje mi się rosnąca gotowość skrajnych nacjonalistów do aktów przemocy, co może nawet zrodzić prawicowy terroryzm. Frakcja Czerwonej Armii w latach siedemdziesiątych składała się z małej grupy terrorystów oraz tysięcy aktywnych sympatyków, którzy potrafili sparaliżować cały kraj. Potencjał neonazistów gotowych do aktów przemocy już dzisiaj jest porównywalny do potencjału czerwonych terrorystów.

Porażka „Kanclerza Zjednoczenia”

Jako główny powód porażki Kohla komentatorzy podawali ogólną chęć zmiany twarzy kojarzących się z rządem. Gerhard Schröder odniósł sukces także dlatego, że „Kanclerz Zjednoczenia” rozczarował wschodnich Niemców nie spełniając swych obietnic i nie rozwiązując problemu bezrobocia. Zamiast przedstawić Niemcom szczerą wizję transformacji Helmut Kohl obiecał na zachodzie, że zjednoczenie obejmie

się bez obciążeń finansowych a wszystkim byłym obywatelom NRD przyniesie same korzyści. Rozczarowanie oczywiście nastąpiło szybko i odwróciło uwagę od pozytywnych wyników transformacji w landach wschodnich.

Inną niespełnioną obietnicą Kohla była zapowiedziana w połowie lat dziewięćdziesiątych redukcja bezrobocia o połowę. Od momentu ogłoszenia obietnicy bezrobocie mimo dobrego stanu niemieckiej gospodarki systematycznie rosło, osiągając w ubiegłym roku najwyższą kwotę w historii powojennych Niemiec.

Stale rosnące bezrobocie przy znakomitej sytuacji giełd oraz innych wskaźników gospodarczych uświadomiło wyborcom, że tak modny w latach osiemdziesiątych postulat wolności rynku bez ograniczania ich wzrostu nie rozwiązuje problemów gospodarczych. Ta świadomość panuje także w sąsiednich krajach, co w dużej mierze tłumaczy sukces partii socjaldemokratycznych w państwach Unii Europejskiej w ciągu ostatnich lat.

Socjaldemokraci nie kwestionują dziś przewagi systemu kapitalistycznego. Rynek nie jest przez nich oceniany jako konieczne zło, tylko jako system sprzyjający sensownemu podziałowi zasobów oraz technologicznej innowacji. Jednak wzrost bezrobocia oraz nieobliczalność światowego rynku kapitałowego przyczyniły się do wzrostu świadomości, iż jedynie polityka, a co za tym idzie państwo, może wpłynąć w taki sposób na kształt wolnego rynku, że ograniczy jego negatywne skutki.

Helmut Kohl, światowy mąż stanu, architekt Unii Europejskiej oraz Unii Walutowej, większości niemieckich wyborców kojarzył się z pozytywnym nastawieniem do postępującej globalizacji, mimo że nigdy nie należał do neoliberalnych fanatyków. Żadna ze znaczących partii politycznych Niemiec świadomie nie starała się wykorzystać obaw Niemców przed wprowadzeniem Unii Walutowej, zdając sobie sprawę, że z rezygnacji ze stabilnej marki może w przyszłości skorzystać niemiecki przemysł. Jednak brak entuzjazmu dla euro musiał wpłynąć negatywnie na szanse reelekcji Kohla, ponieważ powstanie Unii Walutowej to jego jedyny spektakularny sukces ubiegłej kadencji.

Na ile stabilny jest rząd Schrödera?

Może jeszcze za wcześnie na takie rozważania, jednak pozwolę sobie na spekulacje na temat stabilności rządu Schrödera, która w dużej mierze zależeć będzie od jego współpracy z Zielonymi i przewodniczącym SPD, ambitnym politykiem Oskarem Lafontainem. Lafontaine jako minister finansów przejął kluczową rolę w nowym czerwono-zielonym gabinecie i będzie wyznaczał kierunek w polityce gospodarczej rządu.

Na szczęblu landów czerwono-zielone koalicje nierzadko były wyjątkowo trudne. Wynikało to często z tego, że Zieloni dążyli do szybkiej realizacji spornych projektów ekologicznych. Większość obserwatorów politycznych jest przekonana, że Zieloni zrozumieli, jaką wyjątkową szansą jest udział w rządzie Schrödera. Nie są zainteresowani powrotem do szarych prac opozycji parlamentarnej i konsekwentnie będą się starać o to, aby nowy rząd zachował polityczną stabilność. Postawę tę ujawniły rozmowy koalicyjne, które zakończono w rekordowym tempie trzech tygodni. W podobnej sytuacji znajduje się SPD, która nastawiona jest na długą epokę rządów kanclerza Schrödera. Oskar Lafontaine zdaje sobie sprawę, jakie znaczenie miał Schröder dla jego partii. Tylko stabilność rządu Schrödera gwarantuje Lafontainowi rzeczywisty wpływ na politykę rządu niemieckiego. A Schröder zdaje sobie sprawę, że potrzebuje poparcia partii, które uzyska tylko poprzez dobre stosunki z Lafontainem. Niemniej pozostanie pytanie, czy w przyszłości, gdy Schröder okaże się skutecznym kanclerzem, nie odejdzie od Lafointaina.

Na razie jednak ważniejsze jest inne pytanie: czy w ciągu następnych czterech lat pierwszemu czerwono-zielonemu rządowi uda się spełnić kluczową obietnicę, tj. obniżenie stopy bezrobocia? Sytuacja gospodarcza na świecie, kryzys w Azji oraz w Rosji, może w najbliższym czasie zdecydowanie utrudnić realizację tego celu. Już teraz eksperci oczekują obniżenia wzrostu gospodarczego w przyszłym roku na skutek turbulencji na rynku światowym. Na razie rząd Schrödera oprócz chęci pertraktowania ze związkami zawodowymi i przedsiębiorcami nie przedstawił żadnych nowatorskich projektów zwalczania bezrobocia. Przedstawiona reforma

systemu podatkowego na razie nikogo nie przekonuje. Co prawda, prowadzić będzie to do obniżenia stopy podatkowej średnich warstw społeczeństwa, ale podwyżka podatków na paliwa generalnie ani nie przyczyni się do oczekiwanego wzrostu popytu, ani do odciążenia przedsiębiorców.

Najdalej idącą reformą jest szybka integracja drugiego i trzeciego, już w Niemczech urodzonego pokolenia obco-krajowców, przyznanie im niemieckiego obywatelstwa oraz akceptacja podwójnych paszportów. Równouprawnienie setki tysięcy żyjących w Niemczech od dziesiątek lat imigrantów może mieć daleko idący wpływ na kształt krajobrazu politycznego Niemiec, ponieważ większość z nich popiera SPD i Zielonych, co przyczynić się może do stabilności czerwono-zielonej koalicji. Jednocześnie obywatele niemieccy innej narodowości staną się liczącym się czynnikiem politycznym w Republice Berlińskiej.

Kontynuacja polityki zagranicznej

Kiedy ponad trzydzieści lat temu SPD Willy Brandta sięgała do władzy w Bonn, głównym tematem kampanii wyborczej była przyszłość polityki zagranicznej RFN, a ściślej stosunek Bonn do krajów bloku sowieckiego. W tegorocznych wyborach CDU i SPD podkreślały zgodność w głównych kwestiach polityki zagranicznej. Mimo to, szczególnie polskie media interpretowały zwycięstwo SPD i Zielonych jako niekorzystne dla Polski. Każdy, kto zna historię stosunków polsko-niemieckich lat osiemdziesiątych, szczególnie krytyczny stosunek czołowych niemieckich socjaldemokratów do opozycji solidarnościowej, rozumie skąd się takie uprzedzenia biorą. Równocześnie pozytywna ocena Helmuta Kohla w porównaniu z Gerhardem Schröderem zadziwia szczególnie na tle dwuznacznych wypowiedzi członków CDU na temat polskich ziem zachodnich oraz irytującej inicjatywy parlamentarnej konserwatystów w kwestii wypędzonych. Kiedy w 1982 roku Helmut Kohl przejmował władzę, organizacje wypędzonych otrzymywały około czterech milionów marek z budżetu federalnego. Według przewodniczącej Związku Wypędzonych, pani Eriki Steinbach, podczas ostatnich

szesnastu lat panowania Kohla kwota ta wzrosła dziesięciokrotnie. Część tych środków idzie bezpośrednio na instytucjonalne wsparcie organizacji wypędzonych. Oznacza to, że dla niektórych polityków pokolenia powojennego organizacje te otwierały drogę do zabezpieczonej egzystencji politycznej jako funkcjonariusze Związku Wypędzonych. Mimo upływu ponad pięćdziesięciu lat od zakończenia wojny, żądania wypędzonych pozostały widoczne na arenie politycznej Niemiec i mogły regularnie wpływać na stosunki pomiędzy Warszawą i Bonn. Warto jednak przy tej okazji ostrzec przed powierzchownym oskarżeniem wszystkich wypędzonych o rewizjonizm. Środowisko wypędzonych jest bardzo zróżnicowane. Setki tysięcy Niemców z byłych wschodnich terenów Rzeszy nie identyfikuje się z polityką Eriki Steinbach. Takie organizacje jak zrzeszenie gdańskich katolików „Adalbertus-Werk” w Düsseldorfie czy Ziomkostwo Pomorzan (Landsmannschaft Pommern) od wielu lat działają na rzecz pojednania i przeciwstawiają się różnym podziałom. Ważną rolę odegrali wypędzeni we współtworzeniu towarzystw niemiecko-polskich w RFN. Tak więc proponowany przez redakcję *Kultury* dialog pomiędzy niemieckimi wypędzonymi a Polakami już od wielu lat istnieje. Niestety, część funkcjonariuszy organizacji ziomkowskich jest nadal zainteresowana pielęgnowaniem antagonizmów.

Z polskiego punktu widzenia koniec epoki Kohla nie jest powodem ani do pesymizmu, ani do nadmiernego optymizmu. W nowych klubach parlamentarnych SPD i Zielonych eksperci od spraw polityki zagranicznej nie należą do najbardziej wpływowych posłów, nie brakuje jednak zaangażowanych adwokatów spraw polskich. W SPD taką rolę pełni nowy wiceminister spraw zagranicznych Günter Verheugen. A obok niego posłowie Christoph Zöpel, Gerd Weißkirchen czy przewodniczący niemiecko-polskiej grupy parlamentarnej Markus Meckel. W szeregach Zielonych napotkać można posła Helmuta Lippelta, który już w latach osiemdziesiątych jako parlamentarzysta nawiązał kontakt z antykomunistyczną opozycją w Polsce. Wiceprezydent Bundestagu, Antje Vollmer, należy do wpływowych polityków wśród Zielonych, którzy interesują się obszarem Europy Środkowej. Czołowego lidera partii Zielonych i nowego ministra spraw zagranicznych Joschke

Fischera łączą nawet więzi rodzinne z Europą Środkową. Fischer pochodzi z niemieckiej rodziny, która dopiero w 1946 roku wyprowadziła się z Węgier. Zatem jego zainteresowanie losami Europy Środkowej jest jak najbardziej wiarygodne, czemu dał wyraz podczas dyskusji wśród Zielonych na temat poszerzenia NATO na wschód od Odry. W swoich rozważaniach na temat przyszłej polityki bezpieczeństwa w Europie starał się nie zapominać o interesach wschodnich sąsiadów Niemiec. Otwarcie przyznał się, co jest rzadkie wśród polityków Zielonych, że polskie obawy przed Rosją trzeba brać na poważnie i że są wystarczającym argumentem aby przyjąć Polskę do NATO. W swoim wygłoszonym 8 czerwca bieżącego roku przed Niemieckim Towarzystwem Polityki Zagranicznej programowym przemówieniem, Fischer ujawnił wolę kontynuowania prowadzonej przez ostatnie dekady polityki zagranicznej Republiki Bońskiej, której najważniejszym elementem była wola samoograniczenia. Polityka zagraniczna Niemiec dążyła do konsekwentnego wyciągania wniosków z doświadczeń ekspansywnej polityki narodowej Niemiec, która bezpośrednio realizowała interesy państwa narodowego. Polityka Republiki Bońskiej według Fischera dążyła do samoograniczenia, była negacją klasycznej polityki mocarstwowej. Wychodziła z założenia że samoograniczenie, to znaczy integracja w struktury międzypaństwowe, delegowanie części kompetencji narodowych strukturom międzynarodowym, może przynieść Niemcom większe korzyści, niż bezpośrednia walka o swoje interesy narodowe, która prowadziłyby do izolacji Niemiec na arenie światowej. Według Fischera każdy rząd Niemiec, nawet pół wieku po zakończeniu drugiej wojny powinien pamiętać o skutkach polityki mocarstwowej, w naszym wieku powinien znać historię Europy i za wszelką cenę dążyć do pogłębienia integracji europejskiej, która według Fischera zmusza państwa narodowe do dyscypliny i konsensusu².

Nie mam wątpliwości, że nowy rząd Schrödera będzie kontynuował politykę ostatnich lat w stosunku do Polski i

2. Joseph Fischer, „Die Selbstbeschränkung der Macht muß fortbestehen. Deutschlands Rolle und Aufgabe in der globalisierten Welt des 21. Jahrhunderts”, w książce: Karl Kaiser, „Zur Zukunft der deutschen Außenpolitik. Reden zur Außenpolitik der Berliner Republik”, Bonn: Europa Union Verlag 1998.

będzie adwokatem Polski w procesie przystąpienia do Unii Europejskiej i NATO. Niemniej jednak trzeba podkreślić, że dla rządu Schrödera (tak jak i dla rządu Kohla) kluczowymi sojusznikami pozostaną Paryż, Waszyngton i Londyn, co często prowadzi do frustracji wśród polskich polityków. Dochodzi do tego fakt, iż liderzy socjaldemokratów Schröder i Lafontaine są jak większość elit politycznych Niemiec zakorzenieni w Europie Zachodniej. Mimo wszelkich deklaracji i dobrej woli, z punktu widzenia kulturowego Europa Środkowa leży poza ich horyzontem. Nie musi to znaczyć, że nie dostrzegają znaczenia Polski jako ważnego partnera politycznego oraz gospodarczego we wschodniej części kontynentu.

Nowa faza polsko-niemieckich stosunków

Mimo, że Polska i Niemcy będą kontynuować politykę dobrego sąsiedztwa ostatnich lat, wydaje mi się, że obydwa narody wkraczą w nową fazę bilateralnych stosunków. Na początku lat dziewięćdziesiątych odkrywano „polsko-niemiecką wspólnotę interesów”. Teraz, po stabilizacji tej wspólnoty, zaczynamy zauważać w wielu dziedzinach polityki rozbieżność interesów. Jest to proces normalny, który także można zaobserwować pomiędzy Niemcami a Francuzami i nie musi oznaczać, iż nadchodzą poważne zagrożenia. Niemniej jednak negocjacje w sprawie poszerzenia Unii Europejskiej coraz bardziej będą ujawniać rozbieżność wyobrażeń w niektórych dziedzinach polityki. Albo inaczej mówiąc: wszystkie partie Bundestagu popierają polskie ambicje przystąpienia do Unii. Tylko czy pod każdym warunkiem? Wiadomo, że w poszczególnych zagadnieniach integracji, wiele problemów czeka na rozwiązanie. Mam tutaj na myśli na przykład problem otwarcia niemieckiego rynku pracy dla Polaków. Przy istniejącym systemie dotacji dla Brukseli nie do podźwignięcia będzie nagła integracja polskiego rolnictwa do Unii. Także Polacy przeciwstawiają się nagłej liberalizacji w wielu dziedzinach, jak na przykład na rynku nieruchomości. Dochodzą do tego także inne kwestie nierozwiązane, które może nie należą bezpośrednio do

problematyki integracyjnej, jak problem odszkodowania polskich ofiar Trzeciej Rzeszy czy problem wymiany byłych polskich i niemieckich dóbr kultury.

Gerhard Schröder podczas swojej wizyty w Warszawie 5 listopada obiecał Polsce przyspieszenie procesu przystąpienia Polski do Unii Europejskiej. Aby ta obietnica się sprawdziła Polacy i Niemcy będą musieli wykazać dużo politycznej wyobraźni. Krótko mówiąc, trzeba będzie rozwiązać następujący kluczowy dylemat: z punktu widzenia politycznego poszerzenie Unii powinno nastąpić jak najszybciej, jednak z perspektywy ekonomicznej, przy aktualnych wymaganiach Unii wobec nowych członków oraz przy asymetrii rozwoju gospodarczego Polski i Niemiec, proces ten nastąpić może tylko powoli i stopniowo. Proces zbliżenia Polski do Unii Europejskiej dla obu stron nie jest zatem procesem prostym i bezbolesnym. Przeszkody na drodze do przystąpienia Polski do Unii kryją niejedną próbę ogniową dla „polsko-niemieckiej wspólnoty interesów”, niezależnie od tego, czy rządzić będą w Niemczech socjaldemokraci czy chadecy.

Berlin, 6 listopada 1998 r.

Basil KERSKI

Dylemat Unii: bezrobocie contra rozszerzenie

Gdy na ministerialnym spotkaniu w Luksemburgu latem roku 1997 francuscy socjaliści, w osobie Dominique Strauss-Kahn, sugerowali nieśmiało, iż walce z europejskim bezrobociem należy nadać taką samą wagę, co zwalczaniu inflacji, uznano to za wyjątkowy nietakt. Gdy na spotkaniu ministrów finansów w Brukseli dn. 23 listopada 1998 Oskar Lafontaine powiedział, że obniżeniu europejskiego bezrobocia należy w

działaniach Unii nadać priorytet, nikomu nawet powieka nie drgnęła. Ci sami polityczni komentatorzy wpływowych gazet, którzy francuską propozycją z lata 1997 byli zaszokowani, uznali teraz pomysł Lafontaine'a za świetny i nikomu również nie przeszkadzało, iż niemiecki minister wspomniał także o konieczności pewnej harmonizacji obciążeń podatkowych i polityki płac w całej Unii. Tak różna reakcja na identyczną właściwie propozycję jest jednak dość zrozumiała. W roku 1997 Helmut Kohl i Theo Weigel jeszcze walczyli o euro, a więc każdy głos podważający aksjomatyczną wręcz wartość nadrzędną warunków konwergencji, a zwłaszcza niskiej inflacji i zdrowego budżetu, musiał być zagłuszony przez Niemcy, dominujące państwo w Unii (wszak według popularnego powiedzenia, to właśnie Niemcy trzymają kasę całego brukselskiego klubu). W listopadzie 1998 sytuacja jest już inna. Dnia 1 stycznia 1999 EMU stanie się rzeczywistością dla 11 państw Unii. Nawet w Wielkiej Brytanii i Szwecji – a więc w państwach, które chwilowo pozostają poza unią monetarną (głównie na skutek ksenofobii, izolacjonizmu i przesadnej wiary w apokaliptyczne prognozy ekonomistów amerykańskich, bardzo EMU niechętnych) – zwykli obywatele nagle zainteresowali się możliwością lokowania swych oszczędności i składek emerytalnych w euro. Nie ulega dziś wątpliwości, że Wielka Brytania, Szwecja i Dania też do EMU dołączą i to w przyszłości raczej bliższej niż dalszej. Kanclerz Schröder i minister Lafontaine nie muszą już walczyć o euro, a inna jest też polityczna sytuacja w „Czerwonej Europie”: w państwach piętnastki socjaldemokraci pozostają poza rządami tylko dwóch krajów: Hiszpanii i Irlandii, a odnowiona personalnie i zmodernizowana ideologicznie lewica europejska już dawno nie była tak silna i ofensywna.

Wypowiedź Lafontaine'a o priorytecie walki z bezrobociem nad innymi zadaniami ważna jest nie tylko dlatego, że padła z ust ministra najpotężniejszego państwa Unii. Przypomnijmy, że gdy komunizm zawałił się razem z murem berlińskim, to Helmut Kohl obiecywał we wschodnich landach kwitnące krajobrazy, a Oskar Lafontaine przestrzegał przed ekonomicznymi kosztami pośpiesznego zjednoczenia Niemiec. Helmut Kohl mówił to, co ludzie

chcieli usłyszeć i miał rację polityczną (ze względów psychologicznych zjednoczenia nie można było odkładać); Oskar Lafontaine odmalowywał stan faktyczny i miał rację ekonomiczną, gdyż koszty zjednoczenia przekroczyły najbardziej pesymistyczne przewidywania i szacunki oraz poważnie osłabiły gospodarczą kondycję państwa. Dziś nikt już nie pamięta politycznej racji Kohla, a na terenach, które nie zakwitły CDU straciła 11,5% głosów, także na rzecz postkomunistów z PDS. Wszyscy natomiast pamiętają ekonomiczną rację Lafontaine'a. O ile jednak Niemcy z zachodnich landów byli skłonni godzić się na pomoc dla nieszczęśników z dawnej DDR, o tyle jest wykluczone, aby akceptowali dalsze uszczuplenie swoich portfeli z powodu Polaków, Czechów czy Estończyków. Dotyczy to szczególnie tych Niemców, którzy prawdziwej pracy nie mają lub boją się jej utraty; skądinąd to właśnie Oskar Lafontaine kilkakrotnie wspominał o problemach, jakie na niemieckim rynku pracy wywołałby napływ siły roboczej ze Wschodu.

Każdy polityk tylko do pewnego stopnia może iść pod prąd opinii swoich wyborców. Mógł to robić kanclerz o autorytecie Kohla, ale tylko do czasu; nie bardzo może sobie na to pozwolić Gerhard Schröder, który jest kanclerzem świeżym i musi dopiero się wykazać. Dlatego kanclerz Schröder podkreślał, że głównym testem dla jego rządu będzie zmiana negatywnych tendencji na rynku pracy; dlatego mówił już w austriackim Pörtlach, że negocjacje o przyjęcie nowych członków należy prowadzić z umiarem i unikać rozbudzania fałszywych iluzji wśród krajów-kandydatów, gdyż nie można zbyt wiele wymagać od Unii Europejskiej i jej obywateli.

Naturalnie Niemcy nie są jedynym społeczeństwem bojącym się państw Europy Wschodniej w Unii Europejskiej. Gdy niedawno przeprowadzono stosowne badania opinii w Finlandii, okazało się – ku zaskożeniu polityków – że zaledwie 4% Finów jest zwolennikami rozszerzenia Unii na Wschód (*DI*, 28 XI 1998). W komentarzu do tego dość szokującego wyniku Jaakko Iloniemi z centrum studyjnego fińskiego biznesu zauważył, iż niechęć Finów nie tyle wypływa z perspektywy nieuchronnego zmniejszenia unijnych

dotacji, ile ze strachu przed zwiększeniem bezrobocia. Zażenowanie fińskich polityków łatwo zrozumieć, gdy się wie, że Finlandia obejmuje w Unii 1 lipca 1999 rotacyjne, półroczne przewodnictwo, a premier Paavo Lipponen uważa rozszerzenie za drugie pod względem ważności zagadnienie (pierwszym jest uwidocznienie znaczenia dla Unii nordyckiej współpracy i objęcie nią w wybranych dziedzinach Rosji). Premier Lipponen podkreślił, że europejskie priorytety jego rządu pozostają niezmienione, ale przyznał, iż oporu społeczeństwa przeciwko rozszerzeniu Unii na Wschód nie można ignorować.

W Austrii panuje wręcz panika odnośnie możliwości napływu siły roboczej z Europy Wschodniej. Herbert Tumpel z *Arbeiterkammer* zakłada, że do małej Austrii – gdzie już nielegalnie pracuje kilkadziesiąt tysięcy wschodnich Europejczyków – napłyne w poszukiwaniu pracy 200 tysięcy osób; przewiduje się, że bez wprowadzenia restrykcji w wolnym ruchu siły roboczej bezrobocie w samym Wiedniu wzrośnie o jakieś 4-5% i nikt woli nie myśleć, ile procent głosów zyskałby na tym Jörg Haider.

W Szwecji poprawność polityczna każe politykom werbalnie popierać przyjęcie nowych członków (aczkolwiek głównie ma się tu na myśli Balticum, a zwłaszcza Estonię, traktowaną trochę jak szwedzko-fińską kolonię i nazywaną bałtyckim Singapurem). Natomiast szwedzkich robotników straszy widmo takiego, opisanego przez *Svenska Dagbladet* (7 XI 98), 23-letniego Piotra z Lublina, który do dwóch plastikowych reklamówek wrzuca trochę bielizny, paczkę chrupkiego chleba oraz kilka puszek, wyjeżdża na Zachód w poszukiwaniu pracy i w dodatku zaraz ją znajduje, gdyż zgadza się na mniej niż 50% stawki zachodniego robotnika. Zresztą także szwedzcy ekonomiści czy działacze związków zawodowych zastanawiają się, ilu takich Piotrów przyjedzie z 39-milionowej Polski do ich kraju, gdy już będą w nim mogli pracować legalnie. W dodatku badania nad migracjami ekonomicznymi wykazują, że zarobkową emigracją zainteresowani są zawsze nie tylko bezrobotni, ale w większym nawet stopniu mający pracę, źle wynagradzani w swojej ojczyźnie. Trudno rzeczywiście powiedzieć, dlaczego młody, początkujący nauczyciel polski, u siebie zarabiający

równoważność 1600 SEK, miałyby się męczyć w polskiej szkole, skoro zatrudniony legalnie w Szwecji jako robotnik budowlany otrzymałby netto 14 tysięcy SEK, a jako doker – 13 tysięcy SEK plus bonus (pod warunkiem że umiałby czytać certyfikaty i specyfikacje po angielsku oraz posługiwać się komputerem, gdyż takich umiejętności wymaga się dziś od dokera). Niektórych czytelników *Kultury* zdziwi być może informacja, że także ekonomiści o poglądach prawicowych – którzy rozwiązanie problemu bezrobocia widzą przede wszystkim w deregulacji europejskiego rynku pracy – twierdzą, iż nie jest ona do pogodzenia z rozszerzeniem Unii na Wschód. Ich zdaniem, przyjęcie nowych członków pociągnie za sobą jeszcze większą petryfikację unijnego rynku pracy oraz rozciągnięcie umów zbiorowych i innych regulacji na te obszary rynku, które dziś nie są nimi objęte. Zastanówmy się, czy prognoza ta i inne lęki oparte są na jakichś solidnych podstawach¹.

Przede wszystkim nasuwa się tu pytanie, czy zarobkowa imigracja jest rzeczywiście prawdopodobna. Przyjęcie do Unii pociąga za sobą tzw. cztery wolności ruchu (kapitału, towarów, usług i siły roboczej), ale jest wysoce prawdopodobne, że będą one nowym członkom przyznawane stopniowo, przy czym wolność siły roboczej uzyskają oni w ostatniej kolejności, podobnie jak to miało miejsce w wypadku integracji Hiszpanii, Portugalii i Grecji. Wiele wskazuje też na to, że z wytypowanych do rokowań szóstki kandydatów przyjęte będą wprawdzie – zgodnie z dotychczasową tradycją – tylko trzy państwa. Nie zmienia to jednak faktu, że z czasem szóstkę, czy nawet całą jedenastkę, obejmie także wolność siły roboczej i że wtedy jednak trzeba będzie się liczyć z poważną imigracją z państw blisko położonych. Gdy w roku 1954 wolność ruchu pracobiorców objęła cały obszar pięciu państw nordyckich, poważnie nasiliła się zarobkowa emigracja z Finlandii do Szwecji. Swoje apogeum osiągnęła ona

1. W rozważaniach nad prawdopodobieństwem zarobkowej migracji z krajów kandydackich i jej wpływu na petryfikację rynku pracy Unii wykorzystano obszerny artykuł, jaki szwedzki badacz tej problematyki, Per Lundborg ogłosił w nr 7/98 periodyku *Ekonomisk Debatt*, wydawanego przez Swedish Economic Association.

wówczas, gdy PKB/capita Finlandii wynosił 75-80% analogicznego wskaźnika szwedzkiego; z Finlandii, kraju pod względem ludnościowym wręcz lilipuciego, przybywało wówczas do Szwecji 20 tysięcy osób rocznie. Wtedy też legalnie powstały w Szwecji całkowicie fińskie firmy, w których tylko część kadry menagerskiej potrafiła się porozumiewać w języku szwedzkim; niektóre branże (np. spawalnictwo) zostały całkowicie opanowane przez Finów. Dopiero gdy fiński PKB/capita osiągnął 90% szwedzkiego, ustał napływ fińskich pracobiorców. Trzeba tu zaznaczyć, że w momencie szczególnie wysokiej emigracji zarobkowej z Finlandii bezrobotni tego kraju byli już objęci normalnym, zachodnioeuropejskim systemem zabezpieczeń. Polski PKB/capita wynosi 40% analogicznej wartości średniej w krajach Unii, systemu zabezpieczeń w rozumieniu zachodniego *welfare state*'u w Polsce nie ma, a w niektórych grupach ludnościowych czy regionach kraju panuje prawdziwa, autentyczna bieda. Przynajmniej w początkowym okresie członkostwa trzeba się więc liczyć z faktem dużej emigracji zarobkowej z Polski zwłaszcza do Niemiec, Szwecji, Austrii, do których to krajów już dziś – choć jeszcze nielegalnie – przyjeżdża pracować wielu Polaków, a więc istnieją przetarte ścieżki.

Teraz należy zadać pytanie, czy owa wysoce prawdopodobna imigracja zarobkowa do Szwecji może zablokować plany ewentualnej (i pożądanej!) deregulacji szwedzkiego rynku pracy. I na to pytanie należy odpowiedzieć twierdząco. Mówiąc brutalnie, żadna szwedzka firma nie zatrudni legalnie Polaka, o ile może zatrudnić Szweda. Potencjalni imigranci z Polski mogliby jednak konkurować ceną swojej pracy. Jest faktem dobrze znanym, że ksenofobia pracodawców – elegancko nazywana koniecznością uwzględniania kompetencji socjalnych siły roboczej – znika jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, gdy tylko w grę wchodzi pieniądze. Oczywiście jest więc, że potężne związki zawodowe broniłyby swoich członków przysłowiowymi zębami i pazurami przed konkurencją cenami pracy. Zwłaszcza w sytuacji słabszej koniunktury prowadziłyby to do większej petryfikacji rynku pracy, sztywnego respektowania umów zbiorowych, stawki minimalnej płacy, przewidzianych w umowach dodat-

ków i dopuszczalnej ilości nadgodzin, niezbędnej ilości wolnych dni etc.

Twierdzi się czasami, że czysto zarobkowa imigracja z Europy Wschodniej dawałaby krajowi-gospodarzowi także korzyści. Jest to niewątpliwie twierdzenie prawdziwe. Już dziś w slangu sztokholmskim słowo Polka oznacza po prostu sprzątaczkę (chwilowo naturalnie pracującą nielegalnie). W wypadku możliwości legalnego zakładania czysto polskich, estońskich etc. firm, mieszkańcy Szwecji znacznie taniej mogliby kupować usługi remontowo-budowlane, naprawcze, ogrodnicze etc. Tyle tylko, że akceptacja takiej imigracji nie jest możliwa w wypadku dużego bezrobocia, szczególnie wysokiego wśród szwedzkiej młodzieży i bardzo dla niej dotkliwego (kto nigdy nie pracował, a młodzież najczęściej jest w takiej sytuacji, nie ma w Szwecji prawa do zasiłków z kasy bezrobocia i skazany jest na coraz skąpiej wydzielaną pomoc społeczną). Wśród szwedzkiej młodzieży do 27 roku życia otwarte bezrobocie jest czterokrotnie wyższe niż wśród dorosłej części populacji; w rzeczywistości jest ono jeszcze wyższe, gdyż to szczególnie młodzież objęta jest różnorodnymi działaniami interwencyjnymi (kursy, przeróżne szkolenia i dość fikcyjne roboty publiczne), których uczestnicy nie są oczywiście wliczani w pulę otwartego bezrobocia. Otwarcie mówi się, że duża część młodej generacji została przez system zmarginalizowana i skazana na los lumpenproletariatu. Szwecja nie jest tu zresztą żadnym wyjątkiem, gdyż sytuacja młodzieży, często o wcale wysokich kwalifikacjach, jest na rynku pracy trudna w całej Unii. Niewątpliwie sytuacja byłaby lepsza, gdyby młodzież mogła konkurować z dorosłymi przejściowo niższą płacą, ale – jak pokazaliśmy powyżej – częściowa nawet deregulacja rynku pracy jest sprzeczna z postulatem rozszerzenia Unii. Czy można się później dziwić, że sprzeciw przeciwko temu rozszerzeniu jest szczególnie silny właśnie wśród młodzieży?

Skoro istnieje silna sprzeczność między zmniejszaniem bezrobocia a planami rozszerzenia Unii i skoro rozszerzenie to jest jednak wstępnie planowane w granicach lat 2005/6, to nasuwa się kolejne pytanie tego tekstu, mianowicie, czy Unia czyni cokolwiek, aby zmniejszyć bezrobocie na swoim

obszarze. Trzeba stwierdzić, że Bruksela czyni bardzo wiele, co jednak nie znaczy, że efektywnie.

Posłużmy się znowu przykładem Szwecji. W okresie od lipca 1995 do września 1998 uruchomiono w Szwecji 1500 projektów, współfinansowanych z unijnego funduszu ESF, a mających wprowadzić obecnych bezrobotnych na rynek pracy. Projekty te, którymi objęto w całym kraju 124 405 osób kosztowały bardzo dużo, bo aż 6,6 miliardów SEK – zgodnie z unijnymi zasadami 45% tej sumy pochodziło z Brukseli, pozostałe 55% zapewniły władze szwedzkie. Przewidywano, że co drugi z uczestników projektów – mających postać 14-18 miesięcznych kursów zawodowych i praktyk stażowych – otrzyma normalną pracę; w rzeczywistości otrzymało ją zaledwie 20%. Zauważono złośliwie, że gdyby tylko połowę z owych miliardów przeznaczyć na łapówki dla szefów działów personalnych w różnych szwedzkich firmach, to osiągnięty wynik byłby prawdopodobnie lepszy bez żadnych kursów i praktyk zawodowych. Ta złośliwa konstatacja nie jest jednak zupełnie absurda; w Sztokholmie, mieście szczególnie uprzywilejowanym na szwedzkim rynku pracy, w pewnych branżach odczuwa się już brak siły roboczej, a mimo to firmy z najwyższą niechęcią zatrudniają bezrobotnych (często wolą nawet podkupić potrzebnego pracownika z innej firmy niż zatrudnić bezrobotnego, choćby nawet młodsze i posiadające wyższe kwalifikacje). Podobnie wygląda to w innych krajach, np. Hiszpania otrzymała na zwalczanie bezrobocia aż 10 miliardów dolarów w ciągu 5 lat, a wyniki osiągnęła niewiele lepsze od Szwecji. Mówiąc krótko, na walkę z plagą bezrobocia Unii nie brak pieniędzy, brak koncepcji.

Zdaniem piszącego te słowa, interesującą koncepcję wysunął Pehr Gustaf Gyllenhammar – były wieloletni szef koncernu Volvo i współzałożyciel przemysłowego trustu mózgow European Roundtable (którego był też przewodniczącym w latach 1983-88). Dziś P.G. Gyllenhammar jest prezesem rady dyrektorów brytyjskiego koncernu finansowego CGU, a równocześnie przewodniczącym zespołu ekspertów, którzy na zlecenie unijnej Rady Ministrów przygotowują raport o przemysłowych zmianach, jakie nastąpią w Europie, zwłaszcza w związku z robotyzacją. Gyllenhammar – sam

praktyk-przemysłowiec i praktyk-finansista – uważa, iż od firm nie należy oczekiwać przyzwoitego zachowania; firmy należy do tego zmusić. Ale jak? W jednym z wywiadów Gyllenhammar ujawnił, iż pomysł jego zrodził się w związku z niezwykle szerokimi reperkusjami społecznymi, jakie miała afera z masowym wykorzystywaniem pracy dzieci. Jak wiadomo, oburzenie – przełożone na bojkot kupna towarów produkowanych przez dzieci – było na Zachodzie tak wielkie, iż firmy typu Nike, IKEA, Levis Strauss & Co same dziś proszą różne organizacje o przysyłanie kontroli i sprawdzanie, że dzieci już na pewno nie pracują w ich fabrykach. Gyllenhammar uważa, iż rządy europejskie powinny opracowywać i szeroko publikować rankingi firm zachowujących się wobec swoich zatrudnionych wzorowo, przyzwoicie, nieprzyzwoicie czy wręcz łajdacko; rankingi te – oprócz odwoływania się do największej dziś potęgi: opinii konsumentów – powinny także stanowić ważne kryterium przy przetargach i zleceniach wszelkich inwestycji oraz usług publicznych. Gyllenhammar twierdzi stanowczo, że żaden rząd, niezależnie od liczby zatrudnionych przez siebie urzędników i profesorów, nie jest w stanie przewidzieć zmian w produkcji i na rynku w bliskiej nawet przyszłości. Dla przewidywań tego typu zdolny jest wielki business, natomiast rządy powinny na firmach wymusić takie przygotowanie się do nadchodzących zmian, które nie ogranicza się tylko do wyrzucania ludzi na bruk czy do podkupywania sobie kadry. Obowiązek kształcenia siły roboczej do przyszłych zadań należy przede wszystkim przerzucić na same firmy, współdziałające ze sobą w organizacjach pracodawców, gdyż to nie ministrowie rządu, ale dyrektorzy firm najlepiej wiedzą, jakie zmiany u nich nastąpią i jakich pracowników będą potrzebować w najbliższej przyszłości. Unia może firmom, zwłaszcza mniejszym, udzielać tylko pewnej pomocy finansowej w tym kształceniu pracowników dla przyszłych prac. To pracodawcy i ich rozbudowane organizacje wiedzą nie tylko, kogo w przyszłości będą zwalniać, ale też jakie kwalifikacje i umiejętności będą najbardziej na rynku potrzebne. Nie ma na świecie takiej firmy, twierdzi Gyllenhammar, nawet takiej transnarodowej korporacji, która chciałaby wejść w otwarty konflikt z Unią jako organizmem politycznym oraz

potężnym rynkiem jej konsumentów. Nie jest prawdą, że rządy muszą kapitulować przed wszechmocnym Rynkiem, gdyż Unia jest największym zbiorem silnych pieniądze konsumentów na świecie. Pomysły mogą być tu różne. W pierwszej kolejności należy skłonić każdą firmę i każdą filię, mającą ponad 1000-1500 zatrudnionych (liczba jest do przedyskutowania) do sporządzenia przyszłościowego raportu, uwzględniającego następujące dane: 1) jakie zmiany nastąpią w najbliższym czasie; 2) jak szkoleni i przygotowywani są do nich obecni zatrudnieni; 3) co planuje się – przy ewentualnej konsultacji z organizacją pracodawców – dla tych, których być może trzeba jednak będzie zwolnić. Kontrola praktycznej realizacji zobowiązań takiego raportu powinna być podstawą do rankingowego miejsca firmy w swojej branży, a okresowe rankingi powinny być publikowane w mediach i stanowić ważny czynnik przy wszelkich publicznych zamówieniach. Ranking powinien również uwzględniać politykę personalną firmy, np. firma, która z zasady i bez względu na kwalifikacje nie zatrudnia obecnych bezrobotnych czy kobiet lub imigrantów powinna otrzymywać ujemne punkty karne. Zadaniem rządów nie powinno być tworzenie tysięcy kursów i projektów adaptacyjnych, ale przede wszystkim ułatwianie mobilności siły roboczej. Dziś często się zdarza, iż bezrobotny nie może podjąć pracy w innej miejscowości ze względów mieszkaniowych (np. w swoim obecnym miejscu pobytu splota domek, którego nikt od niego nie kupi) czy w obawie, że nowego zatrudnienia nie dostanie jego żona, obecnie pracująca etc. etc. Dodatkowym zadaniem rządów powinno być maksymalne uelastycznienie przepisów, umożliwiających łączenie pracy w częściowym wymiarze godzin z kursami podnoszącymi kwalifikacje lub przygotowującymi do nowego zawodu. Oczywiście pracobiorcy powinni być również zobligowani – i to pod groźbą sankcji finansowych – do podnoszenia lub zmiany swoich kwalifikacji. Dziś bardzo różnie z tym bywa, bo choć niby hasłem dnia jest *job hopping* – zmiana miejsca pracy, a także zawodu kilka razy w ciągu życia, w praktyce ludzie bardzo niechętnie rozstają się z wyuczoną profesją. Dotyczy to nie tylko robotników, ale przynajmniej w równym stopniu średniej kadry menadżerskiej, której po prostu jest za

dużo², a którą szef szwedzkiego holdingu finansowego Trygg/SEBanken, Lars Thunell nazwał z irytacją wieczną zmarzliną.

Pomysły Gyllenhammara są tylko jednymi z wielu i dotyczą z natury rzeczy firm większych; przypomnę, że w Unii jednak 45% siły roboczej pracuje w firmach małych, zatrudniających od 10 do 250 osób. Zwalczanie bezrobocia musi mieć charakter kompleksowy i obejmować wiele różnych posunięć. Niektórzy ekonomiści (w tym laureaci Nagrody Nobla: Franco Modigliani, Robert Solow) postulują, iż inwestycje sektora publicznego nie powinny obciążać budżetu poszczególnych państw, ale być finansowane z funduszu Unii. Wszystko wskazuje też na to, że trzeba będzie zaakceptować postulat ruchów ekologicznych, które przynajmniej od dwudziestu lat twierdzą, że zbyt wysokim podatkiem obłożona jest praca, a zbyt niskim – energia i emisje gazów spalinowych. Jeszcze inni uważają, iż należy w skali Unii przyjąć fiński model tzw. funduszu buforowego; mówiąc w uproszczeniu polega on na tym, iż w okresie wysokiej koniunktury pracodawcy wpłacają część opłat na specjalny fundusz (właśnie buforowy), którego istnienie pozwala wydatnie obniżyć te opłaty w czasie niskiej koniunktury. Pomysłów jest zresztą wiele.

Niniejszy tekst rozpoczęliśmy od bardzo znamiennej wypowiedzi ministra Lafontaine'a. W końcu listopada Europa polityków zatrzęsła się od pogłosek, gdy *Die Zeit* podała jako pierwsza, że Oskar Lafontaine mógłby wchodzić w grę jako następny przewodniczący Komisji Europejskiej. Nie można wykluczyć, że rozwiązanie takie bardzo satysfakcjonowałoby kanclerza Schrödera, gdyż to „Czerwony Napoleon z Saarlandu”, jak trochę złośliwie nazywa się sfrancuziałego Lafontaine'a, jest głównym strategiem SPD i czołową postacią tej partii. Sensacyjność doniesienia *Die Zeit* polega przede wszystkim na tym, iż dla generacji Kohla wykluczona była

2. O nadmiarze kadr kierowniczych w każdej, nawet zachodniej firmie może najlepiej świadczyć następujący przykład. Gdy Jack Welch został szefem amerykańskiego koncernu General Electric, w firmie tej było 9 stopni kierowniczych i 25 tysięcy osób mających słowo *manager* na swojej wizytówce. Dziś w strukturze całego koncernu uznawanego za jedną z najefektywniejszych firm na świecie, są tylko 4 stopnie kierownicze i 12 tysięcy *managers*.

myśl, iż Niemiec mógłby stać na czele Unii. Dla ludzi pokolenia Schrödera i Lafontaine'a jest to myśl wcale logiczna, zgodna w dodatku z opinią młodych Niemców, którzy coraz częściej pytają z rozdrażnieniem, jak długo można przepraszać za dziadków, a o Unii coraz częściej mówią: – „Skoro to głównie my ten klub utrzymujemy, to miejmy w nim też coś do powiedzenia”. Dla Schrödera, Lafontaine'a czy Fischera (nie mówiąc już o młodszych generacjach) przyszłość Europy jest na pewno ważniejsza od przeszłości, włącznie z okresem lat 1933–45, a państwa aspirujące do członkostwa nie mogą już liczyć na żaden rabat niemieckiego poczucia winy. Niezależnie jednak od tego, czy Oskar Lafontaine przejmie na szczycie w Kolonii w czerwcu 1999 przewodnictwo Unii, czy też będzie wolał pozostać w Niemczech i pilnować partii (oraz kanclerza!), wszystko wskazuje na to, że kolejny przewodniczący Komisji Europejskiej będzie socjalistą. Takie jest życzenie szefów rządów kilku państw europejskich (Lionel Jospin wyartykułował je nawet publicznie w październiku 1998); zresztą obecny, chadecki przewodniczący Jacques Santer od początku był kompromisowym kandydatem przejściowym, a swój wybór zawdzięcza tylko sprzeciwowi ówczesnego premiera Majora wobec innej kandydatury. Socjalistyczny przewodniczący oznacza, że Unia stanie się jeszcze bardziej „czerwona”, nie tylko w Radzie Ministrów (co już dziś ma miejsce) i w Parlamencie Europejskim (co najprawdopodobniej nastąpi), ale także w Komisji, gdyż przypomnijmy, że przewodniczący ma duży wpływ na kandydatury komisarzy z poszczególnych państw. W tak dalece „Czerwonej Europie” sprawy bezrobocia w Unii na pewną będą ważniejsze od jej rozszerzenia. Miejmy nadzieję, że prawda ta dotrze do obecnego polskiego rządu, gdyż – wbrew temu, co uporczywie twierdzi większość polskich gazet – *Polonia divina* nie musi być przez pogańską Europę przyjęta w pierwszym rzucie około roku 2005. Polska, w której setki tysięcy ludzi jedyną szansę swojego życia widzą w wyjeździe na saksy i w której siła robocza pozbawiona jest wszelkiej mobilności, gdyż program budowy tanich mieszkań komunalnych blokowany jest ze względów ideologicznych, jest przez większość obywateli Unii traktowana głównie jako zagrożenie. A ponadto Polska – ze swoją egzotyką ministrów

typu Kapery, wojującym klerykalizmem i dygnitarzami, którzy chcą wprowadzić nasz kraj nie tyle do Unii, co do nie istniejącej Europy chrześcijańskich ojczyzn – nie może liczyć nawet na sympatię, a tylko na swoje osiągnięcia.

Pisano 1 grudnia 1998

Stefan ABNER

Kryzys w Azji

Kraje Azji, Pacyfiku, jeszcze do niedawna uważane za modele rozwoju wolnorynkowego, znajdują się dziś w szponach głębokiego kryzysu gospodarczego. Na pewno się z niego wydostaną, chociaż trudno ustalić, kiedy to nastąpi. Już początkiem ub.r. co bardziej przezorni obserwatorzy zaczęli ostrzegać, iż azjatycki „cud gospodarczy” znajduje się w kłopotcie. Wydarzenia potwierdziły ich najgorsze przewidywania, gdy latem 1997 r. najpierw Tajlandia, a następnie Indonezja i Południowa Korea, zmuszone były szukać wielomiliardowych pożyczek MFW i Banku Świata, dla zapobieżenia krachu gospodarczego. Od końca ub.r. na drogę przewlekłego kryzysu weszła Japonia, chociaż natura i zakres kryzysu japońskiego w istotny sposób różni się od kryzysu reszty państw Azji.

Dzisiejszy kryzys w Azji, który po długim okresie wzrostu gospodarczego spadł na kraje tego regionu jak przysłowiowy „piorun z nieba”, bynajmniej nie oznacza końca ich wzrostu gospodarczego. Oznacza tylko koniec jednego etapu rozwojowego, a przede wszystkim koniec neoliberalnego mitu, iż niczym nieskrępowany leseferyzm wolnorynkowy sam przez się zapewni stabilny rozwój polityczno-gospodarczy. Mitu, który w rękach strategów amerykańskich urosł do rangi systematycznie stosowanej koncepcji i strategii politycznej wobec regionu.

Korzenie dzisiejszego kryzysu w Azji tkwią głównie w

błędach gospodarki, a przedmiotem debat pozostaje prawidłowe określenie tych błędów. Kryzys ten ma również niewątpliwe tło polityczne i społeczne, bardziej złożone i zawile do wytłumaczenia od przyczyn gospodarczych. Niemniej od prawidłowego zrozumienia tego, co dzieje się dziś w Azji, zależy przyszłość stosunków świata zachodniego z tym rejonem. Kryzys ten ma więc również ważne implikacje strategiczne.

Gospodarczo-polityczne tło kryzysu

Przeszło 20 lat nieprzerwanego wzrostu gospodarczego doprowadziło do powstania swoistego mitu azjatyckiego „modelu gospodarczego”. Z kolei szybkość, z jaką „modelowe” kraje Azji zaczęły pogrążyć się w coraz większych trudnościach gospodarczych spowodowała, iż nawet dla najbardziej obiektywnych obserwatorów trudno oddzielić przyczyny czysto gospodarcze od nie tyle przyczyn, co raczej uwarunkowań politycznych kryzysu. Najczęściej wysuwanym zarzutem jest tu rzekoma niezdolność, polityczna niechęć rządów do przeprowadzenia odpowiednich reform gospodarczo-finansowych, niezbędnych dla skutecznej regulacji i kontroli przyływu kapitału zagranicznego. Gdyby takie reformy zaczęto na czas wprowadzać w życie, dobrowolnie, nie pod presją kryzysu i czynników zewnętrznych, kryzys nie przybrałby takich katastrofalnych rozmiarów. Tego rodzaju „polityczne argumentacje” sprowadzają się zasadniczo do krytyki złej polityki gospodarczej rządów. Mają pewne uzasadnienie, lecz nieistotne znaczenie w poszukiwaniu autentycznych źródeł kryzysu.

Eksperci na ogół zgadzają się co do tego, iż kluczowym błędem było dopuszczenie do nadmiernego przyływu, zalewu inwestycji zagranicznych, jakich kraje te nie były w stanie strawić. Chodzi tu głównie o inwestycje w formie krótkoterminowych kredytów. Już w czerwcu 1997 r. z ogólnej sumy 320 mln \$ kredytów bankowych w rejonie Azji, prawie 250 mln było krótkoterminowych, z najwyższą jednorocznym terminem dojrzenia (*maturity*). W Tajlandii wysokość tego rodzaju kredytów urosła do 8% produktu narodowego (GDP). Gwałtowny, lecz napędzany głównie

eksportami, wzrost gospodarczy krajów Azji stanowił wielką pokusę dla kapitału zagranicznego, nie bacząc na ryzyka. Gigantycznych nadwyżek takiego kapitału kraje te nie były w stanie racjonalnie zużytkować, nawet zakładając istnienie lepszej infrastruktury finansowej. Dlatego zwalanie kryzysu na nieudolność systemową „modelu azjatyckiego” jest raczej powierzchownym szukaniem kozła ofiarnego, a nie merytorycznych przyczyn. Nadwyżka kapitału zagranicznego nie tylko stworzyła nieuchronny nawis krótkoterminowego długu, lecz również doprowadziła do wygórowanych cen na rynkach nieruchomości i giełdach, a w efekcie do stałego obniżania zdolności konkurencyjnej i wartości walut. W momencie gdy rynki zaczęły dokonywać łącznej oceny wszystkich tych czynników, presja na waluty stała się nie do wytrzymania. Chodzi więc o kombinacje przyczyn, mających mało co wspólnego ze specyfiką systemowo-modelową krajów Azji. Natomiast pouczający w dzisiejszym kryzysie Azji jest stopień, w jakim zachwianie sentymentu inwestycyjnego doprowadziło do łańcuchowej reakcji kryzysowej. Osobnym zagadnieniem pozostaje również to, dlaczego zwykle sprawnie działające polityki gospodarcze rządów tych krajów dopuściły do kryzysu na taką skalę. Czy działały tu tylko motywy zwykłej krótkowzroczności, chciwości i zysku, które przesłoniły z pola widzenia pułapki i zagrożenia takich poczyni?

Najbardziej jaskrawym przykładem błędnego pokierowania gospodarką jest, jak na ironię, przypadek Korei Południowej, kraju uważanego za najbardziej „modelowy”. Przez ostatnie 6-7 lat polityka gospodarcza Korei wspierała pewne tylko sektory przemysłowe, bez uwzględniania poziomu zysków korporacyjnych w tych sektorach. Banki koreańskie przydzielały alokacje kapitału wyłącznie na bazie preferencji rządowych, a nie merytorycznych przesłanek. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego do grona takich wierzycieli dołączyły również banki zachodnie.

1. Trudno powiedzieć, skąd się wziął modny od lat termin „wartości azjatyckich”, gdyż jednolity system takich wartości, w sensie ideologiczno-etycznym, nie istnieje. Bliższe omówienie tego zagadnienia znajdzie zainteresowany czytelnik w art. D.K. Mauzy: „The human rights and ‘Asian values’ debate in Southeast Asia”, *The Pacific Review*, Vol. 10, No 2, 1997.

Powyższe uwagi wprowadzają nas zatem na płaszczyznę uwarunkowań politycznych kryzysu azjatyckiego. Za błędy polityki gospodarczej ponoszą odpowiedzialność, a ewentualnie zapłacą cenę rządy krajów nie tylko Azji. Kraje Azji wyróżnia to, iż utrzymywanie stosunkowo wysokich standardów życiowych było głównym filarem trzymania się u władzy większości rządów tego rejonu. Dotyczy to głównie krajów południowo-wschodniej Azji, gdzie stabilny wzrost gospodarczy był prawie równoznaczny z utrzymywaniem stabilności politycznej. Typowym przykładem jest tu Indonezja, gdzie krach gospodarczy, spotęgowany na dodatek fatalnymi w skutkach radami i presjami MFW, doprowadził do głębokiego kryzysu politycznego, który jeszcze nie wiadomo jak się skończy. Oczywiście nie wszystkie kraje Azji są w jednakowym stopniu zagrożone, bo i systemy sprawowania władzy, jak również poziomy życia ludności są w nich wysoko zróżnicowane. Nie w tym też tkwi główny wymiar zagrożenia politycznego, wypływającego z dzisiejszego kryzysu w Azji, a gdzie indziej.

Zagrożenia „triumfalizmu” zachodniego

Zwrócenie uwagi na niektóre wybitnie szkodliwe aspekty autokratycznego sprawowania władzy, na brak sprzyjającej korupcji przejrzystości w sektorach finansowych, jest niewątpliwie pożytecznym produktem ubocznym kryzysu gospodarczego w Azji. Gdzie tylko to będzie możliwe, odpowiednie reformy systemowe z pewnością będą podejmowane. Natomiast nierealne są wyobrażenia o kompletnej reformowalności politycznej krajów tego rejonu, na wzór liberalnych demokracji zachodnich. Są to koncepcje nie tylko złudne, lecz i niebezpieczne, bo grożące alienacją wpływów, rozłamem i konfliktem między Zachodem a Azją. Zachodni, a raczej anglosascy promotorzy tych koncepcji wychodzą z prostego założenia, iż dzisiejsze problemy Azji Zachód powinien wykorzystać do westernizacji tego rejonu, do ostatecznego rozliczenia się z tzw. „modelem”, czy też systemem „wartości” azjatyckich¹. Po przeszło dwu dekadach triumfalnego marszu gospodarczego Azji, nadszedł czas by zmusić kraje Azji, z

Japonią na czele, do uznania nadrzędności neoliberalnego systemu gospodarczego Ameryki². Obserwując dotychczasowe „akcje ratunkowe” MFW-u, wszystko wskazuje na to, iż zwolennicy takiej koncepcji zaczynają być górą w Waszyngtonie. Zamiast traktować problemy tych krajów jako krótkoterminowe kryzysy niewypłacalności, jakimi naprawdę są, Fundusz przystąpił do zlecenia siłą szeroko zakrojonych reform systemowych, wychodzących poza merytoryczne ramy gospodarczych przyczyn kryzysu. Postrzegane jako wypowiedzenie walki określonemu „modelowi gospodarczemu” są to koncepcje na wskroś nieprzydatne, w praktyce niewykonalne. Przeciwnicy takiej polityki „triumfalizmu” zaczynają krytykować taktykę MFW wobec najbardziej kryzysem dotkniętych krajów Azji, uważając próby narzucenia im siłą systemu amerykańskiego za uchybione. Winę za dzisiejszy kryzys, którego korzenie są wybitnie gospodarcze, ponoszą w równej mierze błędy polityki rządowej, co nieprzemysłana, chciwa szybkich zysków polityka inwestycyjna kapitału zachodniego. To jest najważniejsza, bodajże jedyna lekcja „polityczna” dzisiejszego kryzysu, którego nie można leczyć przeprowadzając bolesne operacje całego systemu. Operacje mogące zniszczyć nie tylko istniejące struktury gospodarcze, lecz przy okazji całą tkankę kulturowo-społeczną tych krajów. Dlaczego? Jeżeli między kulturowo tak odmiennymi krajami jak USA i Japonia, zachodzą znaczne podobieństwa w strukturach biznesu, to dlaczego nie narzucić modelu amerykańskiego również reszcie Azji?

Odpowiedź, oraz wytłumaczenie ciekawych powiązań między strukturami przemysłowymi a obyczajowością kulturową w różnych rejonach globu, znajdziemy w interesującej książce Francis Fukuyamy pt. „Trust”. Naświetla w niej, w jakim stopniu zdolność poszczególnych kultur do spontanicz-

2. W najbardziej sugestywny sposób postulaty proponentów takich koncepcji przedstawił szef brytyjskiego tygodnika *The Economist* Sebastian Mallaby w art. „In Asia's Mirror – from Commodore Perry to the IMF”, w kwartalniku *The National Interest*, No 52, summer 1998. Odpowiedzieli mu na tychże łamach przeciwnicy takiej polityki wobec Azji, łącznie Francis Fukuyama, który kategorycznie zaprzeczył, jakoby pochwała liberalizmu w jego głośnej książce „Koniec Historii”, miałyby oznaczać zachętę do jego sztucznego przeszczepiania na niepodatne grunty.

nego tworzenia asocjacji, zrzeszeń itp. w oparciu o czynnik „zaufania” (ang. *trust*), może wpłynąć na ukształtowanie się takich czy innych struktur przemysłowych, klimatu dla rozwoju gospodarczego. Rozróżnia on trzy podstawowe kategorie „przynależności”: „rodziny” jako bazy oddolnej, instytucji „państwa” na górze, oraz przestrzeni w „środku”, wypełnionej w zależności od stopnia „zaufania” różnymi zrzeszeniami społeczności obywatelskiej. Dochodzi on do zaskakujących wniosków, wykazując, iż im większy stopień tradycji przywiązania rodzinnego, tym mniejszy stopień „zaufania”, a więc aktywności na płaszczyźnie obywatelskiej. Do kategorii kultur „wysokiego zaufania” należy większość krajów cywilizacji zachodniej, lecz nie kraje z obrębu tradycji katolickiej (Włochy, Francja itd. w Europie, kraje Ameryki Łacińskiej). W kategorii krajów „niskiego zaufania”, obok krajów katolickich, znalazła się również większość krajów w Azji, z obrębu tradycji konfucjuszowsko-rodzinnej, z Chinami na czele. Nie należy jednak do tego grona Japonia, w której konfucjuszowski wątek lojalności wyszedł spoza wąskiego kręgu „rodziny”, na szerszą płaszczyznę interakcji społecznej. Wysoki stopień „zaufania” w obu krajach tłumaczy też, dlaczego między „grupowo” myślącą Japonią a „indywidualistyczną” Ameryką zachodzi tyle podobieństw w strukturach gospodarczych, np. w formie wielkiej ilości gigantycznych korporacji. Jest prawdą, że rola państwa w gospodarce Japonii jest dużo większa niż w USA, lecz dużo mniejsza niż w większości krajów Europy Zachodniej. Z kolei niechęci wobec interwencji państwowej do gospodarki w Ameryce nie należy rozciągać na płaszczyznę społeczno-komunalną, gdzie skłonność i gotowość do odruchowego tworzenia zrzeszeń i asocjacji ma długą tradycję w demokracji amerykańskiej. Właśnie ta zdolność do spontanicznego zrzeszania się w Ameryce i Japonii jest u podłoża takiej ilości olbrzymich, sprawnie działających i dynamicznych struktur korporacyjnych w obu krajach, podobnie zresztą jak w Niemczech, również kraju o wysokim stopniu fukuyamowskiego „trustu”³.

3. Francis Fukuyama: „Trust-The social virtues and the creation of prosperity”, wyd. Free Press, USA, 1995.

Wracając do naszego pierwotnego zagadnienia, a więc reszty krajów Azji, nietrudno dostrzec, iż głównym problemem jest tu wypełnienie magicznego „środką”, przestrzeni między bazą „rodziny” na dole, a „państwem” na górze. Swoistej próżni w tkance interakcji społecznej, bez wypełnienia której wszelkie reformy systemowe mają nie tylko znikome szanse powodzenia, lecz mogą jeszcze bardziej zaszkodzić. Dla większości krajów Azji model amerykański jest absolutnie nieprzydatny, a z japońskim trzeba postępować bardzo ostrożnie. Przykładem jest tu znów Korea Południowa, gdzie liczne, wielkie korporacje przemysłowe (czebol) powstały nie spontanicznie, na pożywcze domowej gleby, lecz w wyniku odgórznej, naśladującej model japoński stymulacji rządowej. Pewne sukcesy osiągnięto, lecz są również problemy, a dopiero większy upływ czasu wykaże przydatność takiego modelowania dla innych krajów Azji. Co wcale nie oznacza, że naśladownictwo takie jest konieczne, że nie wrócą na drogę normalnego wzrostu gospodarczego, wg własnej recepty. Największym dla nich zagrożeniem są dziś nie problemy wewnątrzsystemowe, jakie niewątpliwie istnieją, lecz wpływające z aroganckiej postawy Zachodu próby ich westernizacji.

Strategiczne implikacje kryzysu

Naświetlone tutaj zagrożenia ze strony triumfalizmu zachodniego przedstawiają, jak już o tym wspominałem, najbardziej oczywiste, strategiczne ryzyko przewlekłego kryzysu w Azji, w sensie alienacji wpływów zachodnich w tym rejonie. Kryzys ten ma cały szereg innych, bardziej konkretnych implikacji, których pełnego zakresu nie sposób tutaj wyliczyć⁴.

Kryzys ten na pewno zachwieje, w stopniu jeszcze trudnym do przewidzenia, obecnym układem sił w tym rejonie, szczególnie Północno-Wschodniej Azji. Dla Chin, niezdolnych do zajęcia wyraźnej postawy, politycznej czy gospo-

4. Szczegółowe omówienie implikacji strategicznych kryzysu azjatyckiego w art. P. Dibb, D. Hale, P. Prince: „The strategic implications of Asia's economic crisis”, w rozdz. *Asia after the Crash*, IISS/Survival, Vol.40/No 2, Summer 1998.

darczej, kryzys w Azji okazał się trudniejszym wyzwaniem, niż wszystkie uprzednie problemy z ZSSR. Również Korea Południowa, gospodarczo najbardziej dotknięta, wyjdzie z kryzysu strategicznie mocno okaleczona, zmuszona do znacznych cięć w budżecie zbrojeniowym. Polityczne ambicje zjednoczenia Korei pod patronatem Seulu stają się, przynajmniej do czasu, nierealne. Osobnym zagadnieniem, równie ważnym co i złożonym, jest odbicie się kryzysu azjatyckiego na stosunkach z Australią, tak politycznych jak gospodarczych, szczególnie z punktu widzenia i ewentualnych zmian polityki australijskiej wobec kontynentu Azji⁵.

Jednakowoż najważniejszym – wychodzącym poza ramy regionalne zagadnieniem – jest sprawa potencjalnie negatywnych skutków kryzysu na przyszłość sojuszu strategicznego USA – Japonia. Dla Japonii, zmagającej się z własnymi trudnościami, ambiwalentna postawa Ameryki wobec kryzysu w Azji jest coraz bardziej niezrozumiała, irytująca. Przebiegająca od końca ub. roku rewizja Układu Strategicznego USA-Japonia została, na skutek przewlekłego kryzysu, czasowo odsunięta na tor boczny. Nie pomagają również naciski na Tokio dla przeprowadzenia japońskiej reformy bankowej po myśli Waszyngtonu, jak również w sprawach związanych z pomocą gospodarczą dla krajów Azji. Jest ona już dziś nieporównywalnie większa od pomocy USA. Oprócz przyznanej już pomocy na sumę \$ 43 mln, przez kanały MFW, rząd japoński w październiku przyznał kolejny, 100-miliardowy pakiet, tym razem w ramach własnej kompetencji, poza Funduszem. Powodem jest rozczarowanie Tokio dotychczasową polityką Funduszu wobec dotkniętych kryzysem krajów, ignorującej ich uwarunkowania polityczno-społeczne. Podobnie jak w wypadku Rosji, narzucone przez Fundusz warunki pomocy mogą doprowadzić do jeszcze większego spotęgowania kryzysu. Na tle sporu o rewizję polityki kredytowej Funduszu, dziś wyłącznie kierowanej z Waszyngtonu, zarysowuje się nowy, ostry konflikt, mogący poważnie zagrozić strategicznemu sojuszowi między obu krajami.

5. Specyficzne australijskie implikacje kryzysu w Azji są omówione w art. Erica Jonesa: „Australia and the Asian crisis”, *The National Interest*, No 52/1998.

Na razie jednak, w najbliższej przyszłości, Ameryka i Japonia są wzajemnie na siebie „skazane”. Należy pamiętać iż Japonia, pomimo trudności wewnętrznych, pozostaje w dalszym ciągu największym wierzycielem długoterminowego kapitału w świecie, a USA największym dłużnikiem. W pewnym sensie rosnące zadłużenie USA jest fundowane z oszczędności japońskiego podatnika. Oszczędności, które dziś bardziej przydałyby się w domu, w Azji. Rzecz w tym, iż drastyczna redukcja kapitału japońskiego w USA odbiłaby się, niczym bumerang, na gospodarce Japonii, redukując drastycznie jej potencjał eksportowy. Tokio poszukuje dróg, jak wy dostać się z takiego objęcia, na razie bezskutecznie.

Dzisiejszy kryzys w Azji jest więc w pierwszym rzędzie kryzysem bilansów płatniczych (ang. *liquidity crisis*), w jak najszerszym kontekście globalizacji rynkowej. Kryzysem w podobny sposób niszczącym Rosję, niektóre kraje Ameryki Łacińskiej, a mogącym uderzyć w każdą część globu, łącznie z Europą. Pod tym względem powinien on dać dużo do myślenia, w sensie przestrogi, postkomunistycznym krajom Europy Wschodniej, uważających się poza zasięgiem pułapek globalizacji kapitałowej. Kraje Azji, przy pomocy „lokomotywy” japońskiej, na pewno wrócą na drogę restauracji gospodarczej, lecz nie ślepego, eksportami napędzanego wzrostu. Autentyczne wyjście z kryzysu musi opierać się o ożywienie rynków domowych, rozwój szkolnictwa, służb zdrowia i innych, katastrofalnie zaniedbywanych sektorów infrastruktury społecznej w najszerszym tego słowa znaczeniu. Wszystko inne byłoby tylko powrotem do kwadratury koła, drogi bez wyjścia.

Janusz MONDRY

Wywiady „Kultury”

Widziane z Brukseli i Warszawy

KWESTIA KATA

Leopold UNGER: – „Nie karać kata”. Tak Pan zatytułował swój wstępniak w Gazecie z 19 października 1998, nazajutrz po wyroku Lordów, którzy uznali, że katowanie ludzi nie należy do obowiązków szefów państw i że generał Pinochet nie może, z racji swych byłych obowiązków szefa państwa chilijskiego, korzystać z prezydenckiego immunitetu, inaczej mówiąc bezkarności. Jako długoletni więzień innego generała (choć nie tylko dlatego), Pan naturalnie to świetnie rozumie. Ja wiem, że Pan lubi prowokacje. Czy o to właśnie Panu chodzi?

Adam MICHNIK: – Nie, to nie prowokacja, to jest ostrzeżenie. Że nigdy nie kochałem żadnej dyktatury, a szczególnie generała Pinocheta, nie muszę chyba czytelników *Kultury* długo przekonywać...

L.U.: – ...a dyktaturę generała Jaruzelskiego?

A.M.: – Także nie. Zawsze widziałem w każdej dyktaturze, faszystowskiej czy komunistycznej, najgorszy przejaw łamania wolności, prawdy i godności ludzkiej. I chociaż zapłaciłem za to więzieniem, nigdy nie przestałem tego głosić. To właśnie z więzienia w Warszawie wysłałem, nie jeden zresztą, mesaż solidarności z demokratami chilijskimi.

L.U.: – *Dlaczego więc namawia Pan do niekarania kata kiedy nareszcie znalazł się w naszych rękach?*

A.M.: – Bo sytuacja się zmieniła. Koniec tego okropnego XX wieku zrodził nowu gatunek dyktatora...

L.U.: – *Kata?*

A.M.: – Niech będzie. Pojawiło się coś zasadniczo nowego, coś co nazwać można „aksamitną transformacją”. Polega ona na procedurze, na zasadzie, której w określonym momencie historycznym, dyktator nie tylko nie sprzeciwia się demokratyzacji swego reżymu, ale lojalnie, na mocy naturalnie ustalonych drogą negocjacji w miarę dokładnych warunków, pomaga w przekazaniu władzy z rąk dyktatury w ręce demokracji. Do niedawna (to jeszcze na pewno nie koniec) dyktatury umierały w warunkach gwałtu i poprzez gwałt. Czy trzeba przypominać widok Mussoliniego zwisającego z drzewa głową w dół, komunistycznych przywódców w Afganistanie powieszonych na ulicy Kabulu przez talibów (demokraci ich nie zastąpili, ale to inna historia), lub okropną egzekucję obojga Ceausescu w Rumunii. Taki był, można powiedzieć, klasyczny koniec dyktatury...

L.U.: – *Nieklasyczny koniec, to – według Pana – model hiszpański. Koniec frankizmu to „matka” wszystkich aksamitnych transformacji...*

A.M.: – Na pewno...

L.U.: – *A przecież Hiszpania nie powinna być dla Pana idealnym odniesieniem. To nie „matka” a, w najlepszym razie, macocha. Transformacja hiszpańska zaczęła się przecież nie przed, a po śmierci Franco. Nieboszyk nie może być aksamitny, Franco zresztą nigdy nie był. Pinochet natomiast żyje i jest, jakby to powiedzieć, do naszej dyspozycji.*

A.M.: – Nie ma zgody. Po pierwsze, Franco nie żyje, ale Franco nie był sam, jego najbliżsi współpracownicy współ-

odpowiedzialni za rządy dyktatora „byli do naszej dyspozycji”. I właśnie oni wnieśli „aksamit” do losów Hiszpanii. Ale, po drugie, ważny jest wynik. Hiszpanie nam pokazali jak można, przy użyciu wszystkich niegwałtownych środków, wykorzystać wszystkie luki i słabości dyktatury.

L.U.: – *Sformułujmy pytanie inaczej: gdyby Franco dziś żył i gdyby on włożył aksamitne rękawiczki i pomagał w transformacji, czy także uznałby Pan, że nie „należy karać kata”?*

A.M.: – Nie jestem w stanie przenieść się w taką hipotetyczną sytuację. Ale myślę, że gdybym wtedy wiedział to, co wiem dzisiaj, gdybym wtedy dysponował moim dzisiejszym doświadczeniem, to byłbym gotów powiedzieć, że należałoby traktować Franco tak jak Pinocheta.

L.U.: – *Aksamitnie?*

A.M.: – Tak. Albowiem uważam, że „aksamitna transformacja”, a w takiej brał udział Pinochet (i w Pańskiej hipotezie byłby brał udział Franco), stanowi najmniej zły sposób wyjścia z dyktatury. To najniższa cena jaką płaci kraj i ludność za pozbycie się tyrana i tyranii.

L.U.: – *Niedawno wrócił Pan z Chin. Czy dotknął Pan tam aksamitu?*

A.M.: – Oczywiście, nie. Jeszcze nie. Byłem w Pekinie z grupą europejskich dziennikarzy. Kiedy mieliśmy zostać przyjęci przez sztucznie – tak po azjatycku – uśmiechniętego Li Penga, ja nie wytrzymałem, wyszedłem z sali prosto na plac Tien Anmen, który za sprawą tegoż Li Penga spłynął niegdyś krwią...

L.U.: – *No właśnie. Gdzie aksamit?*

A.M.: – Pomyślałem wtedy, że gdyby tenże Li Peng uruchomił „transformację aksamitną” to bym nie tylko został w sali, ale jeszcze bym mu ofiarował kwiaty...

L.U.: – *Pan mówi o kwiatach i cenie, ale tu chodzi także o moralność. Ja wiem, że moralność i polityka to trudne sąsiedztwo, ale w Pańskim akurat rozumowaniu (Pan przecież jest moralistą), brak mi tego właśnie elementu.*

A.M.: – Nie jestem moralistą. A poza tym, to nieprawda, w moim rozumowaniu brakuje czynnika moralnego. Ja wiem, że niektórzy są zdania, iż moralność wyklucza bezkarność dyktatora. To rzeczywiście może się wydawać szokujące. Ale proszę mi odpowiedzieć na moje z kolei pytanie. Co jest bardziej moralne: ostro sądzić dyktatora, który pomagał w uśmierceniu jego własnej dyktatury i rykoszetem ryzykować destabilizację, otwarcie na nowo ledwo zabliznionych ran, pchać kraj na krawędź przepaści czy też zastosować „aksamit” za cenę bezkarności dyktatora, umożliwiwia pokój społeczny i harmonijny rozwój kraju.

L.U.: – *To demagogia. Dziś (połowa grudnia, tydzień po zgodzie rządu brytyjskiego na wydanie Pinocheta sędziom w Madrycie) nie widzę nic takiego co przypominałoby wojnę domową w Chile.*

A.M.: – To jest właśnie demagogia. Łatwo Panu mówić. Pinochet nie był jeszcze sądzony, a w Chile społeczeństwo już się rozłamuje, wojsko się burzy, słychać głosy o rebelii...

L.U.: – *Jaka rebelia, o czym Pan mówi?*

A.M.: – Wiem o czym mówię. Jeżeli dowódcy wojskowi proklamują, że zatrzymanie siłą Pinocheta za granicą równać się będzie złamaniu konsensusu narodowego, jeżeli rząd chilijski, złożony wszak z przeciwników, a nawet ofiar Pinocheta, domaga się i to słowami bez ogródek, powrotu generała, jeżeli w Chile pali się publicznie flagi Hiszpanii i Wielkiej Brytanii, to przecież o czymś świadczy...

L.U.: – *Tak, to świadczy o tym, że jest pewna grupa Chilijczyków (dziwiłbym się gdyby ich nie było) niezadowolonych z aresztowania Pinocheta.*

A.M.: – Tylko, że jest to grupa, z którą demokratyczny rząd chilijski uważa, że musi się liczyć. To ten rząd powiada: to są nasze sprawy. Pinochet popełnił zbrodnie w Chile i w Chile powinien być sądzony...

L.U.: – *Wyobraźmy sobie, że inny dyktator, np. generał Jaruzelski, były dowódca wojsk polskich, które uczestniczyły w najeździe na Czechosłowację w 1968 roku, został, tak jak Pinochet, aresztowany w Londynie na wniosek grupy poszkodowanych inwazją obywateli czeskich i na zasadzie listu gończego jakiegoś sędziego z Pragi, czy obawiałby się Pan zamieszek w Polsce?*

A.M.: – Powstałoby na pewno zarzewie głębokiego konfliktu. Badania opinii wykazują, że ponad 50% Polaków uważa Jaruzelskiego za patriotę. Nie brałbym na siebie ryzyka lekceważenia tego zjawiska. Ale mniejsza o hipotezy, ważne są fakty.

L.U.: – *No właśnie, faktem jest, że Pinochet jest w rękach wymiaru sprawiedliwości.*

A.M.: – Tak, ale ten właśnie fakt stwarza bardzo niebezpieczny precedens. Sędziowie hiszpańscy i angielscy formułują jureprudence, tworzą precedens prawny: w majestacie prawa gwałcą demokratycznie wyrażoną wolę narodu chilijskiego załatwiania – tak jak ten naród sobie tego życzy – porachunków z przeszłością, w tym wypadku na zasadzie demokratycznie ustalonej umowy, udzielenia amnestii i zapewnienia bezkarności byłemu dyktatorowi.

L.U.: – *Jeszcze trochę a będziemy musieli zapewnić szczęśliwą i dostatnią emeryturę Panom Amin Dada, Duvalier, jeszcze niedawno Mobutu (tak zresztą właściwie było), albowiem zgodzili się opuścić kraj nie przelewając przy tej okazji (przedtem to coś innego) krwi ani własnej ani cudzej...*

A.M.: – Zupełne nieporozumienie. Żaden z tych panów nie próbował nawet dotknąć „aksamitu”.

L.U.: – *Fidel Castro także nie. W każdym razie więźniowie polityczni na Kubie tego nie zauważyli.*

A.M.: – Nie znam sędziego hiszpańskiego, który wysłał za Castro międzynarodowy list gończy...

L.U.: – *Bo Castro jest u władzy. Czy to jest sprawiedliwość?*

A.M.: – Nie, to jest hipokryzja. Aresztowanie tyrana, który dobrowolnie i pokojowo oddał władzę i rzucanie kwiatów pod nogi tyrana, który więzi setki dysydentów, to szczyt hipokryzji. Byłem zawsze wrogiem Pinocheta i byłem zawsze u boku gnębionej (a tym bardziej zwycięskiej) demokracji chilijskiej. I jestem u jej boku także dziś, kiedy demokratycznie wybrany rząd chilijski żąda odesłania Pinocheta do jego kraju. To przede wszystkim. Ale jest jeszcze szczegół, który nie każdy widzi: będzie bardzo trudno udowodnić, że Pinochet jest osobiście odpowiedzialny za zbrodnie przeciwko ludzkości.

L.U.: – *Jak to trudno? On przecież zbudował system, odpowiedzialny za zbrodnie, okrucieństwa i terror.*

A.M.: – To jest zupełnie inna sprawa. Sędzia z Madrytu oskarża Pinocheta nie o zaprowadzenie systemu terroru, ani o zbrodnie przeciwko ludzkości, a o szczegółowe przestępstwa kosztem życia kilku obywateli Hiszpanii, co będzie bardzo trudno, a właściwie niemożliwe, udowodnić. Bądźmy poważni, Pinochet jest, to jasne, odpowiedzialny za okrutną dyktaturę i zbrodnie w Chile, ale o tym co z tym zrobić, jak i czy to sądzić, decydować może tylko naród chilijski i chilijska demokracja.

L.U.: – *Inaczej mówiąc, cały pomysł hiszpańskiego sędziego jest według Pana do luzu?*

A.M.: – Hiszpania ma prawo upomnieć się o swoich obywateli. Może domagać się od Chile wyjaśnienia wszystkich okoliczności dramatu, zażądać odszkodowania itd. Ale nie

można dopuścić do tego, aby w warunkach istnienia demokratycznego rządu w Santiago, hiszpański sędzia decydował o tym, co należy zrobić z byłym dyktatorem chilijskim. Chilijczycy ucierpieli od Pinocheta bardziej niż sędzia Garzon i bardziej niż Hiszpanie, którzy, co warto przypomnieć, nie postawili przed sądem ani jednego z najważniejszych nawet współpracowników Franco i współtwórców jego dyktatury. Franco odszedł jako dyktator w pełni dyktatury. Pinochet jest na emeryturze wynegocjowanej z demokratami.

L.U.: – *To jest idealizowanie Pinocheta. Czyni Pan cnotę z konieczności. Pinochet, tak jak Jaruzelski, nie miał właściwie wyboru, nie miał alternatywy do rokowań z opozycją. Pinochet był izolowany, utracił już był poparcie Waszyngtonu, tak jak Jaruzelski już wiedział, że Moskwa u satelitów interweniować nie będzie, że w razie starcia z opozycją Gorbaczow mu nie pomoże.*

A.M.: – To prawda, ale znam także dyktatorów nie mających poparcia ani Moskwy ani Waszyngtonu, a utrzymujących się u władzy. Kuba, Korea Północna, Wietnam, Birma. Czy mam ciągnąć dalej?

L.U.: – *Nie trzeba, ja znam listę. Postawię sprawę inaczej. Czy Pinochet i Jaruzelski negocjowaliby pokojowe oddanie władzy gdyby mieli poparcie USA czy ZSSR?*

A.M.: – Tego ani ja, ani Pan, ani nikt nie wie.

L.U.: – *Teraz to Pan jest hipokrytą.*

A.M.: – Nie. Bardzo trudno jest spekulować. Faktem jest, że Jaruzelski na „aksamitną” drogę wstąpił. Pańska teza o poparciu lub jego braku ze strony Moskwy jest wiarygodna, ale przecież można ją interpretować w dwojaki sposób. Pan uważa, że Jaruzelski skapitulował przed opozycją i negocjował oddanie władzy bo miał nóż na gardle i wiedział, że nie może liczyć na ratunek z Rosji. Ale jest przecież także możliwa i inna interpretacja, ta mianowicie, że ponieważ Moskwa nie mogła czy nie chciała interweniować, to Polska mogła sobie pozwolić na „aksamitną transformację”...

L.U.: – *W istocie obie się uzupełniają...*

A.M.: – Jeżeli się uzupełniają, to dlaczego nie zaproponować „aksamitu” np. generałom w Birmie? Ten kraj ma już swojego Wałęsę w spódnicy, ale także pokojowego Nobla...

L.U.: – *Chce Pan powiedzieć, że brak im tylko Jaruzelskiego albo Pinocheta...*

A.M.: – Dokładnie tak. Brak im generała członka junty, który zdobyłby się na odwagę i powiedział do pani Aung San Juu Kyi: „rozmawiajmy”. Naturalnie, pod pewnymi warunkami, m.in. właśnie immunitetu. Czy miałby Pan odwagę odradzać tej wspaniałej kobiecie i opozycji birmańskiej w ogóle, wyrażenia zgody na taką propozycję?

L.U.: – *Niektóre gazety zachodnie zestawiały, nie wchodząc w subtelności, Pinocheta z Jaruzelskim. Drukowały m.in. galerię portretów od Pinocheta po Jaruzelskiego, poprzez różnych Duvalierów i Mengistu. Towarzystwo takie sobie, jakby powiedział ksiądz Pirożyński. Czy galerię w takim składzie Pan też by wydrukował?*

A.M.: – Na pewno nie ma sensu mieszać konia z wielbłądem. Ale „aksamitnych” dyktatorów, owszem. To chyba Hans Magnus Enzensberger napisał kiedyś o tych, którzy wycofują się z dyktatury: De Klerck w Afryce Południowej, Gorbaczow w Rosji, Pozsgay na Węgrzech, Brazauskas na Litwie. Chętnie do tej galerii dorzucę Jaruzelskiego, czy Pinocheta. Ale co ma z tym wspólnego Amin Dada czy Mengistu???

L.U.: – *No to jak i czym należy tłumaczyć fakt, że krajem, w którym bardziej niż w jakimkolwiek innym (poza Chile, naturalnie) debata wokół sprawy Pinocheta przybrała naprawdę skrajne formy, od Życia, po Trybunę, a nawet w Sejmie RP (pogratulować elegancji) jest właśnie Polska?*

A.M.: – To prawda, można ubolewać, jak Pan mówi, nad elegancją debaty, ale nie należy się dziwić. W Polsce spora część społeczeństwa chciałaby wystawić pomnik Pinochetowi, inni Fidelowi Castro...

L.U.: – *...albo Jaruzelskiemu...*

A.M.: – Ja nikomu nie chcę wystawiać pomnika, dla mnie nie ma dobrych albo złych dyktatorów, w zależności od tego czy są z lewa, czy z prawa i to mnie różni właśnie od sporej części moich rodaków. Trzy elementy można przywołać aby to zjawisko wytłumaczyć. Po pierwsze, Polska jest krajem o bardzo ostrych nastrojach antykomunistycznych. Wielu Polaków ciągle uważa, że gdyby Kierenski w 1917 roku rozstrzelał kilka tysięcy bolszewików, to Rosja i świat uratowane by zostały od Stalina. Ci sami są więc zdania, że Pinochet miał rację, kiedy w 1973 roku jego pucz uratował Chile od komunizmu...

L.U.: – *...jakiś „castryzm” się wówczas w Chile rzeczywiście szykował. Ludzie Allende to nie byli new-labour Blair'a. Starsi ludzie pamiętają masowe demonstracje pod hasłem „śmierć burżujom” (dosłownie). To także nie tajemnica, że państwem chilijskim trzęsły lewicowe komanda ostro uzbrojone.*

A.M.: – To prawda. Ale to nie wszystko. Albowiem, po drugie, spora część polskiego społeczeństwa podziela niektóre elementy programu Pinocheta: porządek, rodzina, religia etc. I wreszcie, po trzecie, spora grupa Polaków uważa, że świat stosuje podwójną miarę: kwiaty dla Castro, więzienie dla Pinocheta.

L.U.: – *Świat, wiadomo, jest niesprawiedliwy. Teraz rozumiem. Pan przeciwstawia sobie dwie moralności: imperatyw sprawiedliwości, to znaczy proces Pinocheta czy Jaruzelskiego z jednej strony i, z drugiej strony, możliwość pojednania na zasadzie amnezji. Czy można jednak budować pokój wewnętrzny na amnezji, na zapomnieniu zbrodni? Czy przykład Polski nie jest wystarczająco wymowny? Czy spóźniona i kulawa, naznaczona sporą dozą złej woli z obu stron, debata nad lustracją, nad szperaniem w często manipulowanych teczkach byłej SB, nie wykazuje, że na amnezji, bez bilansu zła nie da się zbudować dobra ani zapewnić pojednania?*

A.M.: – To nieporozumienie. W kraju demokratycznym o amnezji nie może być mowy. Amnezji zarządzić nie można. W demokracji można o wszystkim pamiętać, o wszystkim wspominać, niczego nie zapomnieć, obchodzić wszystkie rocznice, prasa robi swoje, historycy swoje. Czy w Polsce za mało się mówi o zbrodniach przeszłości? Pan przecież zna Polaków? Czy sprawiają wrażenie narodu cierpiącego na amnezję? Wprost przeciwnie. Kwestia lustracji, a zwłaszcza ustawy, to inna sprawa. Moim zdaniem ustawa jest zła i została słusznie zawetowana przez prezydenta. Ale przede wszystkim, bardziej niż sama ustawa, ważny jest wybór postawy. Można naturalnie wybrać model społeczeństwa patrzącego wstecz, żyjącego wywoływaniem dawnych krzywd i zrywaniem bandaży z trudno gojących się ran. Ale można także uznać, że należy zwrócić się ku jutru, ku przyszłości. Rozumiem, że zawsze będą ludzie tak głęboko skrzywdzeni, że niezdolni do zamknięcia księgi zła. Ale uważam, że jeżeli życie Polaków (czy Chilijczyków) nie ma się przeobrazić w piekło, trzeba znaleźć podstawy współistnienia społeczeństwa wczoraj jeszcze podzielonego, w kraju którego obywatele stali po dwu stronach barykady. Tak było w Ameryce po wojnie secesyjnej, tak jest dziś – choć z jakimi trudnościami! – w Afryce południowej. Bez tych podstaw współistnienia trzeba by aresztować obu laureatów Nobla, Mandelę, jako odpowiedzialnego za zbrodnie popełnione przez ANC i De Klercka odpowiedzialnego za *apartheid*. Dlatego, do tego co już powiedziałem, dodam jeszcze, że „transformacja aksamitna” stanowi najbardziej humanistyczną formę wychodzenia z dyktatury.

L.U.: – *No to kogo, jeżeli nie Pinochetów i Jaruzelskich, miałby sędzić Międzynarodowy Trybunał Karny, powołany latem 1998 w Rzymie przez 120 państw, w tym Polskę.*

A.M.: – Niech się Pan nie martwi, klientów nie zabraknie. Wróćmy na ziemię. Uważam, że są momenty, kiedy należy rozróżniać wzniosłą retorykę polityczną czy ideologiczną od prozy surowych wymogów dnia codziennego. Mogę sobie wyobrazić, że któregoś dnia w przyszłości taki Trybunał powstanie i będzie skutecznie działać. Chętnie zresztą wtedy

się przyczynię do jego skutecznego funkcjonowania. Dziś jednak ta idea niesie ryzyko poważnych błędów.

L.U.: – *Jakich błędów? Pinochet aresztowany został na zasadzie listu gończego, wystosowanego przez demokratycznego sędziego hiszpańskiego i pozbawiony immunitetu przez demokratycznych, nikt w to nie wątpi chociaż chodzi o Lordów, sędziów brytyjskich. To nie jest spis gangsterów.*

A.M.: – Ja nie mówię o gangsterach. Gdyby Pinochet aresztowany został w Londynie 20 lat temu, byłbym pierwszy do oklasków. Ale dziś powinniśmy proklamować, że ci dyktatorzy, którzy sami, w drodze pokojowej umowy z demokratyczną opozycją, zrezygnują z władzy, nie będą ścigani przez międzynarodowy wymiar sprawiedliwości. Chile, to kraj demokratyczny. Pinochet powinien być sądzony w Santiago.

L.U.: – *Ale Santiago de Chile, to właśnie jedyne miejsce, gdzie Pinochet z powodu „aksamitu”, sądzony być nie może. A w ogóle to Pański entuzjazm do demokracji chilijskiej wydaje mi się przesadny. Jest Pan bardziej chilijski niż chilijczycy. Przecież chilijski Luis Sepulveda nazywa ją „demokracją służalczą” z uwagi m.in. na ogromną rolę wojska. Socjolog chilijski Tomas Moulian uważa zresztą, że bez procesu Pinocheta nie uda się transformacji (nie nazywa jej aksamitną) doprowadzić do końca ani zaprowadzić w Chile prawdziwej demokracji.*

A.M.: – Mogę tylko powtórzyć, że o tym tylko Chilijczycy mogą decydować.

L.U.: – *Nie chce Pan uznać, że to nie historia pisze wyroki, a wyroki, takie jak londyński, piszą historię, inaczej mówiąc, nie uznaje Pan, że aresztowanie Pinocheta to nareszcie triumf logiki (czy kultury) międzynarodowej i ponadnarodowej sprawiedliwości nad logiką (czy kulturą) sprawiedliwości narodowej. Dla Pana, Międzynarodowy Trybunał Karny to taki słodki sen maniaka.*

A.M.: – Nieprawda. MTK będzie potrzebny, bo są jeszcze dyktatorzy i będą, zawsze, zbrodniarze. Gdyby Chile było dziś takim państwem jak np. Korea Północna, to trzeba by sądzić Pinocheta w Madrycie czy Londynie. Ale teraz? Proszę posłuchać, co mi Felipe Gonzalez powiedział w Brukseli: „Byłem śmiertelnym wrogiem Pinocheta, pomagałem opozycji chilijskiej na wszystkie sposoby. I dziś także, kiedy domagają się odesłania Pinocheta, jestem z nimi”. Kiedyś, z polskiego więzienia jeszcze, wysłałem w obronie demokratów chilijskich artykuł do *Washington Post*. Ten wywiad w *Kulturze* jest także, w innej formie, znakiem solidarności z demokracją chilijską.

L.U.: – *W Chile aresztowano i chyba już skazano dwóch generałów chilijskich odpowiedzialnych za zamach w Waszyngtonie na ministra spraw zagranicznych w rządzie Allende, Letelliera. Na czyj rozkaz oni działali? Kto powinien pójść do więzienia? W „świecie według Michnika” sądzić się będzie wykonawców, a tym którzy wydali rozkaz masakry, a potem zgodzili się na „aksamit”, zapewni się bezkarność.*

A.M.: – Nieprawda. Tylko przedtem trzeba będzie udowodnić, że taki rozkaz wydali.

L.U.: – *Kiedy Pana niszczone, miał Pan wątpliwości, kto jest odpowiedzialny, kto wydał rozkaz?*

A.M.: – Tak. Nie sądzę np., że ktoś wydał rozkaz torturowania...

L.U.: – *A aresztowania?*

A.M.: – Aresztowanie nie jest zbrodnią przeciwko ludzkości.

L.U.: – *A gdyby był Pan torturowany?*

A.M.: – Zażądałbym śledztwa i ukarania oprawcy.

L.U.: – *A gdyby oprawca był w Londynie?*

A.M.: – Zażądałbym aresztowania go i ekstradycji. Do Warszawy. Tak aby był sądzony przez sąd polski.

L.U.: – *Wynik: mały oprawca w kryminale, Pinochet w glorii i dobrobycie.*

A.M.: – O glorii nie ma mowy, przynajmniej jeżeli o mnie chodzi. Przypominam Panu tytuł mojego wstępniaka: „Nie karać kata”. Kat zostaje katem, tortura zostaje torturą.

L.U.: – *A aksamit, aksamitem. Twierdzi Pan, że sprawa Pinocheta jest wewnętrzną sprawą Chile. Dobrze. Ale, zgodnie z tym rozumowaniem, „aksamit” jest także ich sprawą wewnętrzną. Jeżeli Pinochet nie jest sprawą świata, a tylko sprawą Chile, to „aksamit” także ogranicza się do granic Chile. Inaczej mówiąc, świat ma prawo uznać, że ani Polacy ani Chilijczycy, bo tylko te dwa narody żyją dziś na zasadzie „aksamitu”, nie mają prawa wybaczać czy udzielać absolucji czyli bezkarności w imieniu reszty ludzkości. Co Pan odpowie Robertowi Badinterowi (były minister sprawiedliwości Francji i jeden z czołowych prawników Europy), który jest zdania, że „sąd nad Pinochetem nie jest sprawą jedynie Chile, a jest sprawą całej ludzkości”?*

A.M.: – Odpowiem, że się myli. Do wszystkich argumentów już w naszej rozmowie wysuniętych, dodam, właśnie na użytek Badintera, którego bardzo szanuję, że takie postawienie sprawy wysłał fatalny sygnał do wszystkich aktualnych dyktatorów, od Kuby po Wietnam. Aresztując i zamierzając sądzić Pinocheta, zachodni sędziowie wykazują zupełny brak poczucia odpowiedzialności. Jeżeli bowiem przyjął rozumowanie Badintera (pańskie zresztą także wyrażone w naszej *Gazecie* właśnie), to można powiedzieć, że w imię bardzo pięknej idei obrony praw człowieka (nikt chyba nie wątpi w moje przywiązanie do niej) panowie zmuszają wprost dyktatorów do zadania sobie pytania: proponować czy odrzucać „aksamitną transformację”? Przecież oni powiedzą sobie: tak długo jak trzymam władzę w ręku a opozycję w kryminale, to mnie szanują i przyjmują wszędzie na salonach, jeżeli jednak

oddam władzę demokratom, to pójść do więzienia. Co Pan by zrobił na ich miejscu?

L.U.: – *Nie wiem, nie nadaje się na dyktatora. A Pan, co Pan powie kiedy się okaże, że Pan, człowiek wschodnioeuropejskiej (w sensie doświadczenia 50 lat dyktatury) demokratycznej lewicy, zajmuje właściwie w sprawie Pinocheta stanowisko identyczne do ludzi zachodniej prawicy? Polskiej prawicy zresztą także.*

A.M.: – Że żaden dyktator nie odda dobrowolnie władzy bez gwarancji bezkarności.

L.U.: – *Czyli, że spotkam kiedyś Pinocheta na mojej plaży?*

A.M.: – Tak. Chyba, że Pan sprawi aby mu nie dali wizy.

Rozmawiali: Adam MICHNIK i Leopold UNGER

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA W NIEMCZECH ZACHODNICH

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

**Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.**

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30

Kraj

Wychowanie do kapitalizmu (3)

Kwalifikacje

Celem wszystkich rządów III Rzeczypospolitej było ustabilizowanie monety i dochodów państwa oraz uwolnienie inicjatywy gospodarczej. Idące w tych kierunkach reformy współdziałały z różnymi układami nacisków, zarówno legalnych jak bezprawnych, tworząc żywiłowy obraz pokomunistycznego kapitalizmu, w odniesieniu do którego trafna jest zarówno parabola o „zastawionym stole, nad którym na moment zgaszono światło”, jak i uznanie zaradności gospodarczej społeczeństwa.

Tymczasem dziesięć lat po ustąpieniu komunizmu coraz wyraźniej zwraca się w stolicach Unii uwagę na niedostosowanie gospodarki polskiej do rynku zachodnioeuropejskiego i konieczność odłożenia integracji o „kilka” lat. Fakt, że dobre wskaźniki makroekonomiczne nie zapewniają jeszcze pełnoprawnego udziału w podziale pracy i spożycia na rozwiniętym rynku, zaskoczy wielu optymistów. Ostrzeże również polityków, wskazując na zbliżanie się trudnych czasów, kiedy polityka nie będzie już mogła ignorować problemów struktury i potencjału gospodarki, zaniedbywanych w okresie wzrostu i koniunktury. Na koniec ujawni dobrze skądinąd znaną, wielokrotnie na peryferiach rynku przeciwioną już zasadę, że pierwszym kryterium kwalifikującym społeczeństwo do porządku handlowego jest wartość jego pracy.

Tania praca

Robotników w Polsce jest za dużo, więc ich zarobki są niskie, natomiast kadry handlowej i finansowej oraz specjalistów nowych technologii stale brakuje, co młodym fachowcom otwiera nadzwyczajne perspektywy. O pułapach płacowych decydują tu firmy zagraniczne.

Kapitał krajowy patrzy na to bez entuzjazmu, bo mu firmy zachodnie windują płace i podkradają fachowców. Polscy przedsiębiorcy przywiązują większą wagę do rachunkowości krótkoterminowej, ich interesem jest więc zahamowanie szan-tażu płacowego własnych specjalistów i kadry zarządzającej. Sytuacja skomplikowała się tutaj po ogłoszeniu projektu podatku liniowego, ponieważ projektem tym minister finansów dał do zrozumienia, że interesują go dochody klasy średniej.

Zgodność poglądów lokalnego kapitału i administracji finansowej w sprawie przyduszenia dobrych zarobków oznaczałaby, że klasy średnie mają przeciwko sobie najpotężniejsze ośrodki władzy w kraju i że ich komfort płacowy znalazł się w niebezpieczeństwie. W rzeczywistości drenażem podatkowym zagrożona byłaby raczej równowaga finansowa i kadrowa krajowych firm o wysokim udziale fachowców, którzy dążyć do wyrównania podatkowej straty przez wzmożony nacisk płacowy.

Jeśli ocenimy, że kadry zarabiają za dużo, to prosty rachunek wskaże, że taniość polskiej pracy opiera się na blokadzie spożycia robotników. Ale w społeczeństwach zamożnych ilość robotników maleje, za to rozrasta się klasa średnia i podobna sytuacja zaistnieć powinna w Polsce, jeśli ma ona dorównać standardom rozwiniętego rynku. Wówczas jednak polska praca utraciłaby swą finansową atrakcyjność.

Ostatecznie więc jej finansowa ocena prowadzi do sprzeczności pomiędzy pracą i rozwojem gospodarczym, co wskazuje na błąd perspektywy; rynkowych kwalifikacji pracy nie można sprowadzać do jej taniości, bo wówczas niskie płace większości stają się nieuniknionym okupem za dostęp do rynku, bynajmniej nie gwarantując przy tym trwałości tego dostępu. Z drugiej zaś strony towarzyszące niskim płacom

kominy płacowe zawsze przyciągają uwagę administracji i na dobre zarobki wcześniej czy później znajdzie się paragraf, jeśli klasy średnie pozostaną w mniejszości na scenie wyborczej. Szansą ich trwałego awansu jest ich silny rozwój ilościowy. Stanowi to zarazem gwarancję solidarności gospodarki, która wszędzie i w każdej epoce nakręcana była przez ruchliwość, zmysł inicjatywy i spożycie klas średnich.

Robotnicy o niskich kwalifikacjach będą już zawsze zarabiać mało, natomiast powinna rosnąć liczba ludzi wykonujących pracę o dużej wartości dodanej, dającej przyzwoite zarobki. Oznacza to, że polski produkt nie powinien szukać przebicia niską ceną, lecz przede wszystkim jakością i nowatorstwem.

Tani nie znaczy dobry

Jak dalece złudny jest argument niskiej ceny wykaże dość u nas rozpowszechnione przekonanie o turystycznej atrakcyjności Polski, gdzie „dla gości zagranicznych wszystko jest tanie”. Nic mniej pewnego: wprawdzie turystę może ucieszyć cena 5 zł za fasolkę po bretońsku, 6 zł za ruskie pierogi i 8 zł za wątróbkę, ale pożałuje on poczynionych oszczędności, jeśli potrawy okażą się niesmaczne i niezdrowe. Pokój hotelowy w iście pałacowych zabudowaniach może go kosztować połowę tego, do czego jest przyzwyczajony w przeciętnych hotelach Zachodu, ale stąd jeszcze nie wynika, że łóżko będzie wygodne, łazienka funkcjonalna, dywan nie przegniły, a drzwi będą się domykały. W jednym sklepie znajdzie wiele towarów drogich i w bardzo ograniczonym wyborze, a w sklepie obok wiele tanich lecz kiepskiej jakości i ostatecznie zrezygnuje z zakupów. Jeśli da się skusić barwną okładką dziecięcej zabawki z obietnicą średniowiecznego systemu obronnego, to zapłaci czterdzieści złotych za ordynarne oszustwo; jeśli kupi skórzany pasek do zegarka, to wyrzuci go po paru miesiącach; jeśli kupi kasetę z muzyką, to stwierdzi, że szwankuje wszystko – od poziomu wykonawstwa muzycznego, do techniki tłoczenia płyty. Mając w pamięci smak chleba, wędlin i słodczy sprzed lat stwierdzi, że w 1998 roku trzymają się jeszcze tylko słodczy, nadal

znacznie lepsze niż w Europie Zachodniej, a także tu i ówdzie wyborczy chleb i wędlina. Jeśli czyta po polsku, to uderzy go niestaranna praca redaktorów i korekty. Jeśli ogląda telewizję, to przestanie.

Wydajna praca to nie tylko kwestia dostępności środków, nawet jeśli niedoinwestowanie z całą pewnością obniża jej poziom. Można bowiem mieć po swojej stronie koniunkturę, a mimo to być skazanym na pracę mało skuteczną, jak w księgarstwie. Ludzie wydają coraz więcej na książki i rynek wydawniczy jest ruchliwy, a jednak łatwo usłyszeć narzekania księgarzy i wydawców na ryzyko zawodowe i niskie zyski. Problem ma charakter typowo strukturalny: oficyn jest za dużo, nie widać tendencji łączenia się, ponieważ właściciele wolą polować w pojedynkę bez względu na słabą skuteczność przedsięwzięcia zakreślonego na małą skalę. Nic więc dziwnego, że wydawcy i księgarze żyją w stanie stałego zagrożenia, a od czasu do czasu jesteśmy świadkami spektakularnych i koniecznych upadków firm wydawniczych. Podobnie z księgarniami, których jest u nas więcej niż w Niemczech, lecz są to na ogół małe firmy, niedoinwestowane i źle zaopatrzone, a w konsekwencji nie najlepiej służące obrotowi towaru, z jakiego żyją.

Niska wartość pracy może też być zupełnie niezależna od wysokości zarobku. Właściciele firm informatycznych opowiadali mi o swych zdolnych i dobrze płatnych programistach, którzy potrafią zaprogramować każdy algorytm, lecz mają trudności z przyswojeniem sobie rynkowych kryteriów swej pracy, na które składają się przede wszystkim koordynacja działań, przestrzeganie terminów i zgodność z założeniami projektu; dla takiego fachowca ważniejsza jest elegancja informatycznej formuły i błyskotliwa struktura programu, krótko mówiąc promocja własnej osobowości niż wymogi harmonogramu, norm i opłacalności. Podobnie jak w ruchu wydawniczym, także i tu potrzeba posiadania własnej firmy bierze niekiedy górę nad zasadami strukturalnej skuteczności: programiści robią programy dla patrona, a na boku zakładają własne przedsiębiorstwa, czasem po kilka.

Oceniając imponującą liczbę dwóch milionów nowych firm, z których większość powstała w okresie, kiedy rejestracja nic nie kosztowała, trzeba mieć na uwadze, że niektóre z nich

są gospodarczą fikcją, służąc jako ekran podatkowy. Reszta tworzy na ogół sieć małych inicjatyw, nieufnych zasadzie łączenia sił, a w konsekwencji niedoinwestowanych i niezdolnych do ofensywy jakości i nowatorstwa. Rozdrobnienie kapitału i brak synergii gospodarczej nie sprzyjają rozwinięciu konkurencji, która mogłaby sprzyjać przeniesieniu polskiej pracy ze sfery nisko wykwalifikowanej ku specjalizacji i technologii.

Kształcenie

Jednym z warunków jest tutaj spójna i energiczna polityka edukacyjna, bez której dotychczasowy pęd do kształcenia się, rozwija wszystkie wady krótkoterminowej inspiracji rynkowej. Przejawia się to już na poziomie podstawowym i średnim, gdzie niektóre szkoły prywatne nie wyróżniają się poziomem kształcenia i opieki wychowawczej, lecz służą jako sito społeczne, gromadząc dzieci z warstw średnich, pragnących odizolować swe pociechy od środowiskowych problemów szkół państwowych. Wyższe uczelnie ze swej strony szukają pieniędzy u studentów zaocznych i wieczorowych, ale występując z pozycji siły w stosunku do kandydatów o gorszych wynikach egzaminów wstępnych albo gorszych warunkach życiowych, pozwalają sobie na ich lekceważenie. Efektem są skargi tych studentów na warunki zajęć, niski ich poziom, a niekiedy szantaż finansowy, na przykład w postaci obowiązku zakupienia drogich i niepotrzebnych skryptów.

Z tego jeszcze wcale nie wynika, że uczący się na studiach dziennych wychodzą z kryzysu obronną ręką. Jedne z najniższych w Europie nakładów na naukę utrwalają katastrofalny poziom sprzętu i kierują uczonych za granicę, albo – coraz częściej – ku pracy na kilku posadach jednocześnie, kosztem jakości nauczania i własnego rozwoju naukowego. Tym sposobem krzepnie sytuacja zamkniętego kręgu dewaloryzacji kształcenia: nabór na studia i kursy rośnie, lecz kiepskie warunki pracy odstręczają od kariery naukowej, czego wynikiem jest ilościowa raczej, niż jakościowa obsługa tego wzrostu przez kadrę nauczającą.

Wreszcie imponujący ruch szkoleniowy kadr zakładowych w dużej części skierowany jest na aktualizację wiedzy podatkowej i stawienie czoła zmienności przepisów, krótko mówiąc – na wykorzystanie wszystkich przywilejów wytargowanych u władzy przez kolejne grupy nacisku, raczej niż na podniesienie wartości wyrobów i usług.

Niejasna i słabo zaangażowana polityka przemian strukturalnych prowadzi do postaw obronnych: niepewny swych perspektyw przemysł łatwiej zainwestuje w zaradność prawnofinansową, niż w wynalazczość i organizację, i podobnie sektor nauczania szukać będzie sposobów na przetrwanie, rozdrabniając swój potencjał w doraźnej krzątaninie finansowej. Oba te działy gospodarki utrzymywane są dynamiką wzrostu, która otwiera coraz to nowe źródła pieniędzy, lecz nie zachęca do wypracowania oferty technologicznej mogącej na otwartym rynku konkurować inaczej, niż przez niskie koszty własne.

Przesunięcie w fazie

Pomiędzy problemami strukturalnymi gospodarki, najczęściej mówi się o przestarzałym przemyśle ciężkim i rozdrobnionym rolnictwie, które – pozostawione w aktualnym stanie – obciążąłyby unijną politykę beznadziejną alternatywą: albo dotacje na wytwarzanie, a co za tym idzie nielojalna konkurencja w stosunku do reszty członków wspólnoty, albo wstrzymanie tych dotacji, czyli otwarcie kryzysu społecznego i koniec końców nowe dotacje na bezrobotnych. Wszystkie rządy III Rzeczypospolitej spychały tu reformy na dalszy plan, zarówno z tchórzostwa, jak braku kwalifikacji politycznych.

Wiejskie nadwyżki siły roboczej wskazywane są jako potężne obciążenie budżetu i dotkliwa przeszkoda w rozwoju kraju. Chodzi tu jednak o dość jednostronnie naświetlony problem. To właśnie transfer wielkich mas z roli ku pracy wykwalifikowanej, połączony z silnym rozwojem oszczędności ludzi liczących na lepszą przyszłość, były napędem błyskotliwego awansu azjatyckich smoków i szybkiego rozwoju Europy Zachodniej po II wojnie, z potężną skądinąd początkową pomocą amerykańskich pieniędzy.

Ostatnie lata naszego wieku upływają pod znakiem

technologii sygnału, informatyki i niektórych usług, głównie finansowych. W tych warunkach łatwo zignorować ogromne potrzeby polskiego budownictwa, infrastruktury i środowiska, gdzie jednak produkcja materialna ma zapewniony zbyt na długie lata, zupełnie tak, jak w kraju zniszczonym wojną. Planu Marshalla dla Polski oczywiście nie będzie, co jednak w niczym nie zmienia danych problemu: warunkiem trwałego rozwoju kraju, a nie tylko wzrostu spożycia wąskiej klasy średniej, pozostaje silne zwiększenie czynnika pracy i inwestycji w produkcję krajowym brutto. Do celu tego prowadzi przeniesienie zbędnej ludności wiejskiej do nowoczesnych sektorów wytwarzania i usług oraz unowocześnienie kształcenia na wszystkich szczeblach edukacji narodowej, z czym łączy się przyznanie wielkich środków na kształcenie.

Drugim specyficznym problemem gospodarki pokomunistycznej jest niski poziom koncentracji narodowego kapitału. Fuzje i sojusze wielkich grup utrudnione są przez potężną i sprawną strukturę kapitału zagranicznego, którego agresywna postawa nie zostawia kapitałowi krajowemu czasu na skuteczne przegrupowanie się. W krajach rozwiniętych kapitał przeszedł był fazę koncentracji zanim jeszcze otworzono granice państw; w Polsce kadencja była odwrotna.

Wskazuje to na wielkie znaczenie nie tylko rozumnej prywatyzacji, ale także polityki zachęcającej do oszczędzania na kontach długoterminowych. Zakres koniecznych tu warunków może być szeroki, lecz same zachęty finansowe prawdopodobnie nie wystarczą; rozwój długoterminowych oszczędności zależy od wyraźnych perspektyw na przyszłość, to jest identyfikowania się obywateli z dobrem publicznym i wielkimi celami wspólnoty.

Pomiędzy wewnętrzną sytuacją krajowego rynku, to jest jego strukturą i potencjałem, a jego zaangażowaniem na rynku globalnym istnieje duże przesunięcie w fazie, opóźnienie wywołane przez pół wieku gospodarczego odosobnienia, lecz pod niektórymi względami wzmocnione w ostatnim dziesięcioleciu. Neoliberalna pogoda liczących się aktorów rynku i monetarno-finansowa poprawność władz mogą temu opóźnieniu nie podołać.

Robert KACZMAREK

Histerie i kryzysy

1.

W Sejmie odświętna debata z okazji 50-lecia Deklaracji Praw Człowieka ONZ. Posłanka przemawiająca w imieniu AWS zwraca się do lewej strony Izby: – „Jesteście wnukami gwałcicieli. Trzeba zrobić wszystko, żebyście już nigdy nie wrócili do władzy...”

To dobry przykład firmowej retoryki AWS. Wyraża ona przekonanie, że wielkim zadaniem AWS, a może nawet jej racją bytu, jest ochrona Polski przed powrotem postkomunistów. Aczkolwiek demokracja implikuje możliwość wymiany rządzących ekip, przywódcy AWS zachowują się tak, jakby nie dotyczyło to SLD; rolę Sojuszu w polskiej demokracji, jeśli już musi istnieć, jest pozostawiać w pełnej izolacji. Ponieważ zaś SLD nie godzi się, oczywiście, na takie zepchnięcie w tło, o izolację postkomunistów trzeba stale walczyć i mobilizować innych do udziału w zapasach. I to się dobrze składa, ponieważ dzięki temu AWS pozostaje przewodnią siłą sceny politycznej. Jest rzeczą naturalną, że każda partia stara się zdobyć władzę i posiadanej nie stracić. Ale AWS czyniąc zadość tej naturalnej potrzebie pełni jeszcze misję: zdobyte przez nią fotele i stołki układają się w zasieki odgradzające postkomunistów od władzy. Takie widzenie, które jest wspólne wszystkim członkom AWS, od najbardziej zaczadzonych do najbardziej eleganckich, przydaje poczynaniom politycznym AWS wiele dynamiki, kiedy sprawy toczą się pomyślnie, i jeszcze więcej hysterii, kiedy coś się nie układa. Zaledwie półtora roku temu Marian Krzaklewski zaproszony do debaty konstytucyjnej gromił w Sejmie autorów proponowanej ustawy zasadniczej jako nowych Targowiczów. Ten niewątpliwie historyczny wybuch nie wynikał jednak z niezgody na treść projektu, która po wyborach parlamentarnych 1997 zaraz przestała Krzaklewskiemu w czymkolwiek wadzić, był natomiast skutkiem obawy, że „czwórporozumienie konstytucyjne” (SLD-PSL-UW-UP) przełamie

definitywnie ostracyzm wobec SLD, zwłaszcza w Unii Wolności. Obawa ta, jak wiadomo, okazała się nieuzasadniona. Ale teraz, u schyłku roku, w zachowaniach i wypowiedziach Akcji Wyborczej Solidarność powracają nutki hysterii.

Jest kilka tego powodów.

Przede wszystkim, pozycji SLD w elektoracie nie udało się ograniczyć. Przeciwnie, jak dowiodły wybory samorządowe, SLD poprawił nawet swe wyniki. Przymierze Społeczne (PSL z UP) wysunęło się przed Unię Wolności jako trzecia siła w samorządach i odrzuciło zabiegi AWS o zawarcie z nią koalicji w radach i sejmikach. Mimo że władze Przymierza pozostawiły radnym pełną swobodę wyboru aliansów, niemal wszędzie ludzie z PSL i UP zdecydowali się na koalicję z SLD. I to wcale nie dlatego, że poszedł swój do swego, jak brzmi oficjalna wersja w klubie poselskim AWS, ale dlatego, że elektoraty obu partii Przymierza, zwłaszcza chłopi, mają już wprost alergię na Leszka Balcerowicza i jego partię. A przecież rząd AWS-UW realizuje politykę gospodarczą właśnie wicepremiera Balcerowicza i...

Innymi słowy, nadzieje AWS, że w nowych samorządach uda się przybliżyć marginalizację SLD zawiodły i, co gorsza, ważkim powodem ich załamania była aktualna koalicja rządząca, jej kształt i polityka. To, że doraźnie rachunek za niezadowolone społecznie zapłaciła przede wszystkim Unia Wolności, mógł być dla działaczy AWS pewną pociechą, ale najmądrzejsi zrozumieli od razu, że to żadna satysfakcja, raczej ostrzeżenie.

Kolejny powód powrotu hysterii, to rosnące znaczenie prezydenta Kwaśniewskiego. Nic nie tracąc w sondażach popularności (75% aprobaty) i nawet zyskując jako przyszły kandydat na prezydenta (ponad 40% wskazań, więcej niż wszyscy inni razem wzięci), Kwaśniewski jest zarazem prezydentem coraz aktywniejszym. Jego wystąpienia na arenie międzynarodowej pomagają mu w konstruowaniu, krok po kroku, wizerunku męża stanu. Zapewne przyniosą mu ostatecznie korzyść nawet kontrowersyjne inicjatywy, jak w sprawie wzajemnego zwrotu dóbr kultury przez Niemcy i Polskę. W Polsce podniosły się protesty, ponieważ Kwaśniewski wymienił zbiór Biblioteki Pruskiej przechowywany w Krakowie, natomiast nie wskazał konkretnie niczego, co mieliby zwrócić Niemcy, choć zaznaczył, że to oni powinni pierwsi przystąpić do restytucji.

Na arenie wewnętrznej prezydent uświadomił już wszystkim, przyjaciółom i przeciwnikom, że przeciw niemu rządzić jest trudno. „Wywalczył” cztery województwa. Uzyskał w Trybunale Konstytucyjnym dwie istotne poprawki w tzw. ustawie lustracyjnej (uściślenie definicji tajnej współpracy oraz uniezwolnienie wznawiania spraw raz rozstrzygniętych). Teraz wazą się losy jego weta przeciw ustawie o Instytucie Pamięci Narodowej, gdzie wybierana zwykłą większością sejmową i nieusuwalna w praktyce ekipa (7 i 9-letnia kadencja) miałaby decydować, kto jako pokrzywdzony przez tajne służby PRL ma dostęp do swojej teczki. Oczekiwane jest veto przeciw nowelizacji ustawy o radiofonii i telewizji, w której odbiera się prezydentowi wpływ na udzielanie absolutorium Krajowej Radzie R i TV. Zapowiedziany został sprzeciw wobec deklarowanych dziennikarzom zamiarów sprowadzenia kompetencji prezydenta w dziedzinie obrony do czysto symbolicznego zapisu.

We wszystkich tych konfliktach prezydent ukazuje się opinii jako rzecznik umiaru, koalicja rządząca występuje zaś jako inicjator zatargów. Przyczyniają się do tego skłonności wielu parlamentarzystów AWS do wybryków słownych. Kiedy prezydent zgłosił veto do ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, min. Pałubicki, szef służb specjalnych przewidziany przez AWS na prezesa Instytutu, uznał za właściwe oświadczyć (i powtórzyć), że Kwaśniewski został w ten sposób prezydentem wszystkich ubeków*...

Naprawdę jednak strategom AWS chodzi przede wszystkim o to, że Kwaśniewski ma dobre szanse niedopuszczenia w 2000 r. do prezydentury kandydata z AWS czyli Mariana Krzaklewskiego. Powtarzające się w publikacjach życzliwych obozowi rządowemu rozważania, jacy inni kandydaci wysunięci przez ten obóz mogliby ewentualnie wygrać z Kwaśniewskim – a to Buzek, a to jakaś „niepolityczna postać z dużym autorytetem w społeczeństwie”, a to raz jeszcze Zbigniew Brzeziński – nie mogą cieszyć Mariana Krzaklewskiego. W jego otoczeniu nie ukrywa się podejrzeń, że to przyjaciele z Unii Wolności inspirują w ten sposób dziennikarzy.

* *Rationale* tego wniosku sprowadza się do tezy, że jeśli do swoich teczek będą mogli zajrzeć wszyscy, to również ubeci i tajni współpracownicy. W ten sposób każdy się dowie, co na niego zapisano w teczce. Nie jest jednak jasne, co by to miało im pomóc. Jeśli by zniechęciło ich np. do kandydowania, to cóż to szkodzi?

2. w ostrych omach...
Trzeci i najważniejszy powód zdenerwowania to cztery reformy (administracji, rent i emerytur, zdrowia i oświaty), z których ułańskiego tempa tak dumny jest premier Buzek. W prasie i w mediach pełno jest materiałów o niedopracowaniu tekstów i nieprzygotowaniu kadr, co owocuje bynajmniej nie radosnym bałaganem. Działy łączności z czytelnikami są przeciążone zapytaniami zdeorientowanych obywateli. To jednak pół biedy. Wiadomo, że najgorszy bałagan jakoś się w końcu ułoży, a od najbliższych wyborów (prezydenckich) dzielą nas jeszcze dwa lata, więc pretensje rozejdą się po kościach. Gorzej wszakże, iż w miarę jak wiedza o nowych systemach emerytur i rent oraz ochrony zdrowia powoli dociera do świadomości obywateli, pojmują oni, że w istocie jądrem tych reform jest ograniczenie świadczeń (o reformie oświatowej, która ma wejść w życie 1 września, ale zapewne nie zdoła wobec gęstniejącego oporu nauczycielstwa i wsi – przy innej okazji).

Jak wiadomo, głównym argumentem na rzecz takiego kształtu tych reform jest brak pieniędzy w budżecie i niebezpieczeństwo załamania się aktualnych systemów opieki z powodów demograficznych (starzenie się ludności) i technicznych (medycyna staje się coraz kosztowniejsza). Niezależnie od rzetelności tych rachunków – a nie we wszystkim są one rzetelne – wzburzenie społeczne powoduje fakt, że ciężar tych „reform z konieczności” spada na barki najsłabszych: po wprowadzeniu reform rozbieżność poziomów życia raz jeszcze wzrośnie. Teoretycznie rzecz biorąc, tak właśnie musi być, bo przecież działalność polskich reformatorów nieodmiennie zmierza, cokolwiek robią, do osłabienia opiekuńczej i dystrybucyjnej roli państwa. Ale co innego teorie, a co innego ich zapis na własnej skórze obywatela.

W ostatnim miesiącu przed wejściem w życie nowego systemu opieki zdrowotnej ministerstwo produkuje wykazy usług i świadczeń, które się ubezpieczonemu należą za darmo i takich za które będzie płacił z własnej kieszeni. Będzie mniej tych pierwszych i więcej tych drugich. Już w tej chwili polski pacjent ubezpieczony płaci 55% kosztu lekarstw (najwyższy tzw. udział własny w Europie), ten procent wzrośnie. Wręcz humorystycznie wygląda np. taryfikator usług stomatologicz-

nych: plomby termoutwardzalne za darmo tylko w siekaczach, a dalej – amalgamat. Szpitale dzieli się na trzy kategorie („poziomy referencyjne”, cóż za inwencja językowa!) kto sobie zażyczy wyższego poziomu – płaci. I tak dalej – ale na tym nie koniec. W miarę jak ludzie liczą, wychodzi na jaw, że kasy chorych, za te pieniądze, które dostaną (7,5% podatków dochodowych, PIT) nie będą w stanie zakontraktować tylu usług, ile potrzeba, ponieważ cała służba zdrowia: usamodzielnione Zakłady Opieki Zdrowotnej (ZOZ), szpitale, lekarze na kontraktach i pielęgniarki na kontraktach – wszyscy chcą teraz zarabiać więcej. „Godnie”, jak się teraz przywykło mawiać w Polsce, nawet w handlu nierogacizną. Ministerstwo Zdrowia pokazuje zresztą drogę: np. z dyrektorami ZOZ przemianowanymi na menadżerów podpisuje się kontrakty na 20-krotność przeciętnej płacy. Bywa, że na takie radosne kontrakty nie ma pieniędzy już na wejściu. Tak właśnie w kilka miesięcy po podpisaniu hojnych kontraktów ze zbuntowanymi anestezjologami kasy wyschły i anestezjologodzy znów chcą strajkować.

Jest oczywiste, że kasy chorych, jeśli zechcą postępować odpowiedzialnie, nie będą mogły podpisywać takich kontraktów, jakich życzą sobie profesje medyczne, od dawna karmione albo nadziejami albo... z rączki do rączki. Skutkiem będzie najpierw brak dostatecznej liczby specjalistów w społecznej opiece zdrowotnej – i niezadowolenie pomniejszej braci medycznej, dla której po zaspokojeniu specjalistów zostanie niewiele. A pacjenci zorientują się wkrótce, że dostęp do lekarza mają bardziej ograniczony niż dotychczas. Nawet pogotowia nie wolno będzie wzywać za darmo, nie mając pewności, że się umiera...

Reforma rent i emerytur nie budziła dotychczas większych niepokojów, ponieważ starszych miała nie dotyczyć a młodzi mniej się troszczyć o daleką przyszłość i zresztą akceptują chętniej zasadę tej reformy, tzn. odejście od formuły solidarności pokoleniowej (pracujący utrzymują już niepracujących) na rzecz emerytury indywidualnie uskładanej. Pani Ewa Lewicka, pełnomocnik rządu, skądinąd działaczka „S”, powiada zwięźle: „Teraz tylko ode mnie zależy, ile będę dostawała na starość”.

Znów jednak przyszły rachunki i ukazały się dwie pu-

łapki. Starsi (powyżej 50 lat), którzy pozostają w starym systemie, dowiedzieli się, że rewaloryzacja ich świadczeń zostanie ograniczona. Najpierw, przez dwa lata, świadczenia te będą waloryzowane o wskaźnik wzrostu cen plus 15% różnicy pomiędzy tym wzrostem a wzrostem płac; potem zamiast 15% będzie 20%. Sejm odrzucił wniosek SLD, żeby choć w perspektywie obiecać 50%. Emerytury będą w rezultacie obniżać się relatywnie dość szybko. Jak wyliczono z 65% płacy realnej obecnie – do 52%. Główny rzecznik reformy w Sejmie, Jan Lityński z UW, usilnie przekonywał, że choć relatywnie niższe, realne emerytury i tak wzrosną, bo przecież będą rosły realne płace. Niewykluczone; aby jednak 52% płacy okazało się w przyszłości większe niż obecne 65% trzeba, żeby płaca realna wzrosła o przynajmniej jedną czwartą...

Największy wszakże, przynajmniej doraźnie, problem sprawia likwidacja specjalnych reżimów emerytalnych (górnicy, hutnicy, kolejarze, wojskowi, policja, straż pożarna). Górnicy zbuntowali się pierwsi: okupacja ministerstwa, okupacje kopalń, zapowiedź referendum w sprawie strajku generalnego – wszystko z inicjatywy związku „S”. Górnicy mają oczywiście fatalną sytuację przetargową: 20 mln ton węgla na hałdach, miliardowe deficyty, 13 mld zł długu. „Wzburzyło ich odebranie przywileju emerytury po 25 latach pracy na dole niezależnie od wieku. Emerytura pomostowa (kolejny wynalazek naszych językoznawców), którą im się obiecuje, a która ma wypełnić czas pomiędzy 25 rokiem pracy a 65 rokiem życia, nie zadawała górników: – my nie doczekamy pełnej emerytury – mówią – u nas długość życia to 57 lat...”

Kolejarze sprzeciwili się rządowi nie w związku z reformą ogólną, ale z projektem podziału PKP na dwie spółki: infrastruktury i taboru. Minister Morawski (z UW) szybko podał się do dymisji, a jego następcą, kolega partyjny, Syryjczyk, wstrzymał tymczasem kontrowersyjny projekt i zajął się sprawami autostrad, gdzie już od lat coś miało ruszyć, ale się nic nie rusza (inwestorzy domagają się rządowych gwarancji kredytów, a rząd nie ma zaufania do inwestorów).

Kolejna burza szykuje się w przemyśle zbrojeniowym, który się kurczy jak skóra jaszczurcza.

Żeby nie przeciągać, dodam jedynie do tego spisu reformatorskich kłopotów, że w powiatach, które miały nic

nie kosztować, w budowie jest już 120 gmachów dla nowych władz. Premier Buzek nadal obiecuje cięcia kadrowe w centrum, ale to potem. Tymczasem w kancelarii premiera pracuje już 700 pracowników merytorycznych (!), w tym 19 z tzw. R, tj. w randze co najmniej podsekretarza stanu, a minister Walendziak, szef kancelarii, wnioskuje właśnie w Sejmie o następnych 40 etatów...

Jest sporo racjonalnych powodów proponowanych przekształceń i reform. Są one w dużej mierze, wspólnego autorstwa, koalicji i opozycji. W szczególności SLD w niemniejszej mierze niż obecna koalicja uznawał, będąc u władzy konieczność reformy opieki zdrowotnej, emerytur, administracji, restrukturalizacji kopalń i hut. Kiedy dzisiaj SLD krytykuje te reformy, strona rządowa odpowiada z pełnym prawem: a dlaczego wyście nic nie zrobili? Woleliście nam zostawić ten pasztecik?

Otóż jest wprawdzie wątpliwe, czy SLD przewidywał swą przegraną i pozostawił świadomie kłopoty następcom. Ale niewątpliwe jest, że po prostu bał się tych kłopotów i był wobec nich sparaliżowany własną sytuacją polityczną. Bo przecież: jeśli Marian Krzaklewski i jego formacja mają aż tyle, stale narastających konfliktów z własną, solidarnościową klasą robotniczą, co by się działo z Leszkiem Millerem, gdyby jej zafundował takie same reformy? Nie darmo przecież, aby posłużyć się przykładem, reforma węgłowa proponowana przez wiceministra Markowskiego z SLD była najłagodniejsza i najbardziej rozłożona w czasie...

Jeśli jednak recenzowanie reform z ław poselskich SLD jest cynicznym często zabiegiem z komfortowej pozycji, to pozostaje gorzka prawda, że reformy te są realizowane z ogromnymi błędami i, zwłaszcza, że są projektowane z pozycji zimnego „racjonalizmu” liberalnej szkoły. Szczególnie zimnego teraz, gdy kończy się euforia wysokich stóp wzrostu i Leszek Balcerowicz dwa razy liczy każdą złotówkę.

Można mieć rację co do zasady, a przegrać w szczegółach i w końcu przegrać wszystko.

3.

Racją bytu Unii Wolności jest wprowadzić Polskę do głównych instytucji Zachodu: NATO i Unii Europejskiej i

zakotwiczyć w nich tak mocno, żeby ta przynależność określała odtąd nasze losy. Właśnie ludzie Unii pierwsi sformułowali ten cel i najkonsekwentniej go realizują. Pierwsza jego część – NATO – jest bliska realizacji, do drugiej droga jest jeszcze długa, znacznie dłuższa niż obiecywał (na wyrost) eks-kanclerz Kohl i niż ciągle chce wierzyć min. Geremek (r. 2002). Ale nie o tym teraz mowa, lecz o odbiciu tej problematyki w polityce wewnętrznej, a zwłaszcza – w myśleniu i zachowaniach Unii Wolności jako siły przewodniej polskiego akcesu do Zachodu.

Do niedawna Unia Wolności wiedziała lub, dokładniej, miała żelazną pewność, że wie, co trzeba robić, żeby się w tej zachodniej rodzinie znaleźć i żeby zająć tam dobre miejsce. Unia Wolności wiedziała, z jakimi problemami zetknie się Polska w swym dążeniu, ile nas ten akces będzie kosztował i co nam przyniesie. W przeciwieństwie do innych partii Unia Wolności dążąc na Zachód nie odreałowała przeszłości jak politycy z SLD i nie zadowalała się wznoszeniem okrzyków, jak prawica, która chciała uwierzyć Kościołowi, że to Europa ma wrócić do nas, a nam pozostaje trwać, modlić się i promieniować. Dzisiaj wiele pewności żywionych przez Unię już nie wydaje się tak pewnych. Organizacje zachodnie, do których zmierzamy, problematyzują się. W NATO rozwija się wewnętrzna dyskusja o strategii, wiążąca się bezpośrednio z powracającym dylematem roli USA w sojuszu – hegemonia czy partnera Europy. W Unii Europejskiej dojrzewa potrzeba kolejnej reformy: pod znakiem zapytania są zasady polityki sektorowej różnych dziedzin jak rolnictwo czy pomoc regionom mniej rozwiniętym. Unia będzie też musiała podjąć kluczową kwestię podejmowania decyzji (jednogłośnie czy większością kwalifikowaną i jaką – w radzie ministrów, w komisji brukselskiej, w parlamencie...). Euro jeszcze nie weszło w obieg, a już coraz głośniejsze są wątpliwości co do charakteru polityki monetarnej Banku Europejskiego i jego kompetencji... Im bliżej jesteśmy NATO i Unii, tym wyraźniejsze stają się różne zasadnicze kontrowersje, które toczą się na tych „kontynentach stabilności”, do których zmierzamy i od których (jeśli jesteśmy politykami Unii Wolności) zwykliśmy oczekiwać skutecznego ukierunkowania naszych własnych losów.

Powyższe nie kwestionuje bynajmniej kursu na Zachód,

którego pierwszym przewodnikiem stała się Unia Wolności. Nie jest to też wcale krytyka Unii, przeciwnie, sądzę, że ta przewodnia rola będzie jej historyczną zasługą. Ale jest już dziś jasne, że z tego generalnego założenia Unia nie może dedukować z taką jak dotąd pewnością wytycznych dla swego programu. Przed politykami Unii Wolności otwiera się teraz pole niepewności, opcji i wyborów o niepodejrzewanej do niedawna rozległości. Przypuszczam, że to właśnie jest podłożem unijnego kryzysu, o którym głośno w mediach. Niezadowolone z przywództwa Balcerowicza i niezadowolone z koalicjanta, jego łączności i niewczesnych inicjatyw ustawodawczych – są ważne, ale poniekąd wtórne. Istota kryzysu w Unii polega na tym, że partia ta odczuwa konieczność wyartykułowania i dopowiedzenia, czym jest teraz jej racja bytu. I nie bardzo wie, jak to zrobić.

Tymczasem unicy są jeszcze na szarym polu: wahają się i objawiają niekonsekwencję. Przewodniczącym klubu parlamentarnego wybrali Jerzego Wierchowicza, który jako jedyny nie głosował zgodnie z AWS w takich sprawach jak lustracja czy Instytut Pamięci – ale teraz będzie zapewne wraz z klubem musiał głosować za odrzuceniem weta prezydenta (Sekretarz Unii, Mirosław Czech, pytany przeze mnie, czy uważa ustawę o Instytucie za dobrą, zaprzeczył. Zapytany z kolei, jak będzie głosować Unia w sprawie weta, odrzekł z równą pewnością: za odrzuceniem.) Balcerowiczowi wytknięto jego błędy w prezentowaniu polityki partii, ale nie odważono się sformułować krytyki merytorycznej ani też wybrać na przewodniczącego Klubu Jerzego Osiatyńskiego, który taką krytykę sugerował. Sam Balcerowicz w kilka dni potem (12 grudnia) zawiązał do Gdańska na zwołane przez liberałów z dawnego KLD – Tuska, Bieleckiego, Merkla, Lewandowskiego – zebranie formalnie rocznicowe, a w rzeczywistości semifrakcyjne. Ogłoszono zapowiedź nowego programu liberałów, z którego część haseł ogłoszono. M.in. podatek liniowy, 8 województw (w miejsce 16), ograniczenie roli związków zawodowych... Balcerowicza fetowano jak patrona.

Kryzys w Unii dopiero nabrzmiewa.

Warszawa 14 grudnia 1998

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Przez okno widzę jak pada śnieg. Potoczne określenie jest mylące, śnieg nie pada, on sfruwa, klucząc, jak zgubione wysoko piórka ptaka. W dzieciństwie zastanawiałem się, jak wielki musi być ten puchowy ptak. A więc nareszcie prawdziwa zima. Stada zamazających pijaków, przypominają nie tylko o skali termometru, ale też alkoholowego dramatu w Polsce. Zapach pierwszych dni śnieżnej zimy, to jedno z najbardziej przejmujących wspomnień mego dzieciństwa, potem w młodości pierwszy pocałunek na mrozie o smaku o ileż bardziej wyszukany niż ten upalny. Ta zima jest wyjątkowo jędrna, bo generalnie to zimy spsiały, śnieg bywa brudny i szybko topnieje. A może zimy nie zmieniły się tak bardzo, to przede wszystkim ja, my, zmieniliśmy się, czas przesuwają nas w stronę, gdzie jest mniej emocji i wzruszeń. Nie ufajcie mojemu pokoleniu w ocenie świata. Nie jesteśmy jeszcze starsi wedle nowych miar, starość zawsze narzekła, że kiedyś było lepiej, należymy do generacji, która uwierzyła w swoją wieczną młodość, to prezent od naszej cywilizacji. I jak tuczne gęsi nafaszerowano nas myśleniem romantycznym i różnymi formami idealizmu, wszystko na przekór komunizmowi. Walczyliśmy o wolną, kapitalistyczną Polskę, nieliczni co walczyli. Przybysze z tamtej, dalekiej strony ostrzegali nas, że kapitalizm ma swoje upiorne strony; żarłoczność pieniądza, komercję. Nie mogliśmy tego pojąć i zrozumieć, bo spacyfikowałyby to nasz entuzjazm i wolę zmiany. Teraz mamy za swoje. Stąd tyle frustracji, niepokoju, zawiedzionych nadziei, nie o taką Polskę walczyliśmy. A przecież na zdrowy rozum, tylko kiedy on zdrowy, rozwinęła się ta Polska szybciej niż można było na to liczyć. A że kraj nie kwiat, rozwinęła się szklano-metalowo, gorzko, cwaniacko, brutalnie i żarłocznie. Jest niepokojąco, a zarazem o ileż bardziej wygodnie i kolorowo. Najbardziej trapi mnie utrata ciepła. Coraz zimniej między ludźmi. Jak nasze domy należą do najbardziej nieszczelnych energetycznie w Europie, tak z naszych wzajem-

nych relacji, kiedyś tak gęstych, gwałtownie ucieka ciepło. Nagle widzę, że nawet ze swoim synem coraz częściej mam czas rozmawiać jedynie przez telefon. A pamiętam przed laty, moje przerażenie Szwecją, gdzie widziałem, że telefon jest głównym narzędziem podtrzymywania wzajemności, a nie spotkanie oczy w oczy. Ja sam jeszcze młody, ale młody inaczej, opowiadam naprawdę młodym o latach 70-tych i 80-tych, słuchają tego z szeroko otwartymi oczyma, jak wpadaliśmy do swoich mieszkań, bez żadnego uprzedzenia, miasto było podobne do drżącej na ciepłym wietrze sieci pełnej czułych miejsc. Dzisiaj, gdyby ktoś z moich przyjaciół zastukał do moich drzwi bez uprzedzenia, pomyślałbym, że przechodził właśnie obok i ma zawał. Kiedy jadę przez miasto, widzę w oknach światła znajomych mieszkań, ale na oknach często są kraty, a blask światła zakrzepły.

Lot do Sztambułu, po „locie” w stanie wojennym najbardziej zaskakująca podróż w moim życiu. Z dnia na dzień dowiaduję się, że jestem gościem nowo otwieranej linii Istambuł Airlines. Najpierw kawa u pani ambasador Turcji, znam ją jeszcze ze Sztokholmu. Chodzi w mini-spódniczce, energiczna, inteligentna, ale nie chciałbym być jej podwładnym. Kobiety szefowie zwykle do męskich wad dodają kobiece i tworzy się groźny mariaż. Zapach tureckiej ambasady jak wszystkich ambasad: woń urzędu, wazelinarstwa i pozorów, tu wszystko jest z bizantyjską przyprawą. Zafundowano nam ciekawe doświadczenie – zwiedzanie Warszawy luksusowym turystycznym autobusem w towarzystwie stu Turków przybyłych na jeden dzień. Daje to nagły luksus dystansu wobec miasta, które widzimy na co dzień. Warszawa poruszyła tureckich gości swoim spokojem, była sobota, zaimponowała też ładem, porządkiem, ogólnym dostatkiem, a też tym, że w swoich fragmentach została odbudowana, co było dla przybyszy znakiem niepojętej i wrzuszającej czułości. Przy kolumnie Zygmunta, przed nie do wiary odbudowanym królewskim pałacem, grał peruwiański zespół, wzięty przez gości za polski zespół folklorystyczny. Przypętał się jakiś włóczęga, takie czasy, że nawet nasi pospolici pijaczkowie coraz częściej się komercjalizują, ten był w stylu filmowego clocharda. Zaprosił Turków do tańca. Ruszyli dziarsko,

przekonani, że wszyscy Polacy tańczą gdy tylko jest ku temu okazja. Eleganckie restauracje były deserem tej podróży, tyleż prawdziwej co wymyślonej, po mieście, które jest i którego nie ma. Lot pod znakiem piłki nożnej, bo Turcja grała swój mecz z Niemcami. Piloci otworzyli drzwi swej kabiny a cały samolot zamienił się w ucho. Gdy Turcy strzelili bramkę, miało to wpływ na stabilność lotu, więc pożegnałem się z życiem, by je na powrót powitać. Potem były dalsze emocje, bo mogli stracić przewagę, ale cudem ją utrzymali i tak szczęśliwie wylądowaliśmy. Piłka nożna wydaje się doprawdy najważniejszą pasją naszego świata, ale to nic nowego, w Konstantynopolu wyścigi zaprzęgów trzęsły posadami Bizancjum.

Na lotnisku twarze tureckich wojskowych od paszportów, ich śmiertelna powaga, przypominają, że przybywa się do kraju, gdzie demokracja jest podszyta państwem policyjnym. Tego już nie czuje się w Polsce, gdzie znika sztywna żołdacka gęba, zdarzają się uśmiechy, a nawet dzień dobry i dziękuję. Nie będę opisywał turystycznych atrakcji Sztambułu, wstrząsających fragmentów Bizancjum, oto jedno z miejsc, gdzie szczątki zapadłej w ziemię wielkości szepcą „marność nad marnościami”. Moje największe poruszenie, gdy usiadłem okrakiem na dziobie małego statku, by poczuć jak własną piersią pruć fale okolicznych cieśnin, o które ścierały się kiedyś potęgi Azji i Europy. Piękne drewniane koronkowe domy na brzegu, wykupione przez bogaczy i chronione prawem. Ale to tylko pozór, że ktokolwiek panuje nad tym miastem, które rozrasta się szpetnie i brutalnie. Nazajutrz już na własną rękę podróż rejsowym statkiem, pełnym wąsatych wieśniaków, z ich beczkami i kurami, statek obsługuje kilka okolicznych wysepek. Stada kotów, które przybiegają na widok zbliżającego się okrętu. Okrutny widok na Sztambuł z tych wysp, miasto, które waha się między 13 a 15 milionami mieszkańców, apokalipsa nowej architektury, jej rozrzucone białe kości, żywy dowód, że wszędzie co stare i piękne kurczy się na rzecz nowej brzydoty. I ten sam przenikliwy pisk telefonów komórkowych, zdarza się, że mają go nawet tureccy wieśniacy.

Nowa Turcja została wymyślona przez Atatürka. Trudno znaleźć miejsce, gdzie nie widnieje jego portret, to szczególnie

kult jednostki, bo w ramach pewnej formy demokracji, podszytej państwem policyjnym. Atatürk stworzył świecką i europejską formę państwa z islamem nie na czole, na ramieniu. Na straży jego idei stoi wierna i silna armia, rzadki przypadek, gdy armia jest po stronie bardziej otwartej formy państwa. Ostatnie lata po kryzysie ekonomicznym to niestety gwałtowny przyrost islamskiego fundamentalizmu, dramaty z Kurdami, o których świat tak uparcie nie chce pamiętać. Już wiadomo, że Turcja nie zostanie przyjęta do Wspólnoty Europejskiej, co tureccy liberałowie odczuli jak wbicie noża w pierś, gdy za plecami dyszy im fanatyczny Irak i Iran, a u boku mają wrogą Grecję. Kto wie czy to nie będzie kolejny dramatyczny błąd Europy. Rozumiem Europę, że boi się otworzyć granice, lęka się, że kilka milionów Turków iść będzie na zachód, ciągnąc za sobą na postronkach świnię i kozy. Jest jednak faktem, że Turcja czuje się dzisiaj odtrącona i spychana w stronę Iraku i Iranu. Polska miała być przedmurzem chrześcijaństwa, czy Turcja nie może być teraz przedmurzem broniącym Europy przed zalewem islamu? Właśnie dlatego, że udało jej się w sobie islam oswoić i złagodzić. Jeśli tak jest, to Europa popełnia wielki błąd, jeden z wielu w tym stuleciu. Turcja zrobiła duże postępy ekonomiczne, pamiętam mgliście ten kraj sprzed lat kilkunastu, ale na każdym kroku spotyka się pewną bylejakość i amatorstwo, a wydają się one jednak głębsze i bardziej zapyziałe niż te w Polsce. To właśnie Turcja uświadamia Polakowi naszą, mimo wszystko, europejskość i że nasza infrastruktura mimo licznych dziur i miejsc gnilnych, nie jest tak odległa od zachodnioeuropejskiej. Też ta infrastruktura ludzka. Przybysz z Polski czuje w Turcji inny stosunek do czasu, pracy, a nawet jakiś brak szacunku dla osoby ludzkiej, nie ze strony przechodnia, bo przechodnie są niezwykle życzliwi, a ze strony instytucji, czy choćby przewodnika, który biegnie nie czekając na stado, którym się opiekuje. Uderza kontrast między życzliwością zwykłych ludzi, a ryblem okiem urzędu. Paradoksalnie w Europie to Grecy mają opinie miłych, kulturalnych, bo Grecja kojarzy nam się odruchowo z antycznymi Atenami. To chyba kolejne naiwne złudzenie. w Hotel Pera Palace, gdzie mieszkamy, był hotelem gości Orient Expressu, miejscem zmistyfikowanych przez film

i książkę szpiegowskich afer drugiej wojny światowej. Ten hotel zachował niemal wszystkie detale z XIX wieku, co zdarza się w krajach biednych, i niezniszczonych przez wojny. Wszystkie luksusy podszyte jednak brakiem profesjonalizmu obsługi, a z pozostawionej w pokoju torebki mojej przyjaciółki hotelowa sprzątaczką sprzątnęła kilkaset polskich złotych. Czy to znak, że polskie pieniądze zaczynają się liczyć? W Turcji nie widać alkoholików, nie bełkocą, nie kołyszą się, nie ma też alkoholu w twarzach ludzi. A to z kolei uświadamia nam skalę zalkoholizowania ojczystego krajobrazu. I oddech ulgi – w Turcji nie ma plagi żebractwa i nagle uświadamiamy sobie, że Polska jest chora na świerzb żebractwa, nie da się ruszyć z domu, by nie być molestowanym, a czasami i dom nachodzą.

Łaźnienie po Stambule, gdzie jak rzadko gdzie mieszkają się epoki, jest europejski XIX wiek, a tuż obok współczesna Azja. Nagle okrutna niemożność znalezienia domu, czy raczej fundamentów domu gdzie umarł Adam Mickiewicz. Nawet w informacji turystycznej nikt nie zna adresu, „czy to był generał?” – pytają, podaje mi nazwę ulicy polski konsul, ale kierowca taksówki nie potrafi jej znaleźć, wyrywa włosy z głowy, przysięga, że od lat 40 jest taksówkarzem, nie ma w tym mieście takiej ulicy, co to za przeklęty Mickiewicz, wojskowy, nie wojskowy, jeśli tylko poeta, to czemu go szukać? Nikt w Stambule nie wie nic o Mickiewiczu, to niby oczywiste, ale moje wewnętrzne dziecko dziwi się.

Listopad zamienił się w pudełko, w którym byłem kostką, a pudełkiem ktoś potrząsał, odbijałem się od ściany do ściany, czasami przebijałem jedną, by wyfruwać poza granice. Nie jestem o te polskie podróże o wiele mądrzejszy. Wszędzie byłem za krótko by zebrać większe okruszki refleksji, oprócz banalnych, że wszędzie jest jakby ciut „do przodu”. Czy nie naiwna jest wiara, że z okruszków da się wypiec bochen chleba. Dlatego nie wierzę nawet najbardziej wnikliwym książkom, które mają ambicje dać całkowity obraz miasta, kraju, kontynentu. Nową książkę Ryszarda Kapuścińskiego o Afryce „Heban” czytam serdecznie, wierząc bliskiemu mi autorowi, ale jak wierzy się dobrej literaturze. Leszno, niewielkie miasto w Poznańskim wygląda impo-

nująco, stara część zadbana, wystawy urządzone z szykiem bardziej paryskim niż warszawskim. Ciekawy jest ten znak poznańskiego porządku. I potwierdza się, nie tylko w statystyce, zróżnicowanie Polski. Rosną bieguny biedy i bogactwa, tak ludzie jak i bogate regiony bogacą się a biedne utwierdzają w biedzie, to widać gołym okiem. Kiedy porównuję wschodnio-południowy Przemyśl i zachodnie Leszno, wydaje się, że te miasta leżą w odmiennych krajach. W Lesznie mieszkam w hotelu, który posiada luksusowy basen i sauny, ale wystrój pokoi nie jest gustowny. Nauka estetyki zajmie nam jeszcze sporo czasu. Z radością wchodzę do sauny. Oczywiście rozebrany, bo nagość i takie pocenie się jest istotą sauny. Siedziało w upalnym środku dwóch facetów, w kąpielówkach, spojrzeli na moją nagość ze zgrozą. Odniosłem wtedy niejasne wrażenie, że to miejsce jest koedukacyjne, ale przecież doświadczałem tego bezboleśnie w Skandynawii i w Niemczech. Nagle do sauny wchodzi niewiasty, starannie okryte kostiumami. Zachowały heroicznie godność a ja oszczędziłem im cierpień i przykryłem się ręcznikiem. Potem sauna zatłoczyła się odzianym tłumem. Czy jest coś bardziej niesmacznego niż ubrana sauna, to jakby zjadać parówki w celofanie. Nasze sauny wchodzą więc do Europy ubrane. Sopocka PBS przeprowadziła badania, jaki Polacy mają stosunek do nagości? Na 100 małżeństw, tylko 43 ogląda swego partnera nago. Na stu synów tylko trzech widzi swego ojca rozebranego, pięć córek widziało matkę bez ubrania. Na stu badanych 92 twierdzi, że w jego domu nie wolno chodzić nago, choćby częściowo. W Polsce nadal krzyczy przepaść między tym co jest gołe w filmie, w magazynach, jak nagi i bezwstydnym stał się potoczny język, co drugi Polak co drugie słowo mówi „kurwa”, a pruderią w naszych domach. Podwójność myślenia i widzenia jest równie niezdrowa jak tłuste jedzenie i palenie papierosów. Obyczajowo to mamy w Polsce pełną schizofrenię.

Otwieram na chwilę telewizję by wpaść do Sejmu, gdzie płonie dyskusja na temat programu edukacji seksualnej w szkołach. Słucham głosów posłów AWS-u i kilku ugrupowań prawicowych, posłowie z żarem postulują zmianę nazwy przedmiotu, z „wychowania seksualnego”, na „przysposo-

bienie do życia w rodzinie”. Bo seks to grzech. Przemawiają z reguły mężczyźni, szerokogębni albo o ściągniętych ascetycznych obliczach. Kiedy mówią, moralność wycieka im wszystkimi szczelinami, aż mam ochotę nadstawić kubeczek i zobaczyć, co to za substancja? A tylko słyszę, jak cieknie im „ochrona życia poczętego, stan błogosławiony, zdrowie Matki Polki, dzietność narodu”. A ja widzę jak w sąsiednim bloku mnożą się alkoholicy, a tuż obok kwitnie aborcyjne podziemie, dla tych co mają pieniądze. Z powodu braku edukacji i walki z pigułką, tylko 8% kobiet w Polsce używa tego jedyne, pewnego środka antykoncepcyjnego. Niewiele, ale coraz więcej. Mnożą się jednak nadal niechciane ciąży i nieszczęścia. Czytam dziesiątki listów kobiet, ich wspomnienia, relacje nadesłane do pewnego kobiecego magazynu. Takie rzeczy mówi się psychoterapeucie, one jednak nie mają na kim się oprzeć, więc swoje zwierzenia ślą do pisma, jakby to była żywa i współczująca istota. Tyle dramatów, naiwności, niewiedzy, nieszczęść. Jak to się ma do gładzenia sejmowych moralistów? Ile jest cynizmu, liczenia głosów radiomaryjnych wyborców, a ile wiary, w co? W grzesność erotyki? Kiedy więc tak słucham posłów partii, która wzięła się z zebra opozycji, z idei i spraw, którym oddałem najlepszy kawałek swego życia, wzbiera we mnie niemal taki sam gniew, jak gdy przed laty słuchałem posłów komunistycznego Sejmu. Aż mnie chwilami dziwi, że obraz na ekranie jest kolorowy a nie czarno-biały. Co gorsza, kiedy w tej debacie występują posłowie SLD, słyszę głos zdrowego rozsądku. Zimno i straszno. Ale nie wolno drzeć szat, nie tylko dlatego, że wtedy zmarznie się jeszcze bardziej. Mam na stole kolejny plik ankiet szkolnych, tym razem już robionych nie dla *Kultury*, pytałem w nich tylko o sprawy obyczajowe. Pokolenie które wstępuje, często wbrew swoim rodzicom, z którymi po prostu nie rozmawia, jest otwarte i liberalne. Ale miłość, uczucia, stawiają na pierwszym miejscu, więc bez przesady z ich cynizmem. Łatwiej w polskim lesie spotkać niedźwiedzia niż ucznia, który wykluca stosowanie pigułki antykoncepcyjnej. Uderza krytyka Kościoła. Powtarza się zdanie: „Kościół zbyt ingeruje w życie ludzi”. Jedna z uczennic pisze: „Wierzę w Boga, ale uważam, że Kościół nie powinien pigułki potępiać a raczej ją uznać, by nie przysparzać rozterek ludziom ślepo

wierzącym.” 17-latka z nadmorskiego miasta pyta ironicznie: „Oczywiście Kościół mi pomoże kiedy zajdę w ciążę?” A przy tym nie jest zwolenniczką aborcji bez ograniczeń. Około 20% uczennic jest przeciw przerywaniu ciąży, z wyjątkiem sytuacji gdy zagraża ona życiu matki, lub jest wynikiem gwałtu. Gdyby jednak wśród uczniów liceów zrobić plebiscyt, przygniatająca większość byłaby za liberalną ustawą aborcyjną. Niemal 90% uczniów uważa, że homoseksualizm to nie zbrodzenie, a odmienność. Część z nich waha się, czy geje powinni zawierać związki małżeńskie, jeszcze więcej ma wątpliwości, czy mogą adoptować dzieci, ale kilka procent to też akceptuje. Zaskakuje niewielka różnica w skali liberalizmu między dużymi miastami a tak zwaną prowincją.

Czytam te setki stron zapisanych wzruszająco szczerym charakterem pisma i widzę jak śmieszni są nasi prawicowi posłowie, a też autorzy kuriozalnych podręczników, gdzie dopuszcza się jedynie naturalne metody zapobiegania ciąży, albo uczy się jak pozbyć się zgubnego nałogu masturbacji. Oni żyją na innej planecie niż ich własne dzieci, mimo że w tym przypadku akt zapłodnienia odbywał się w aurze świętego obrzędu. Ankieta dowodzi, że uczniowie nie chcą oddzielać seksu od życia uczuciowego, ale brakuje im konkretnej wiedzy. Tego konkretnie tak się boją świątobliwi posłowie. Młodzi sporo dowiedzieli się z książek, z pism, rzadziej od rodziców, którzy okropnie się męczą poruszając takie tematy. Dlatego wszyscy postulują lekcje wychowania seksualnego w szkole, czego posłowie prawicy najchętniej by uczniom zaoszczędzili, w trosce o ich zdrowie moralne. Nie widzą, że w nowe tysiąclecie wchodzi nowe pokolenie. Ale już dzisiaj fragmenty tej sejmowej debaty są kuriozalnym, kabaretowym spektaklem, z innego czasu.

Bielsko Białą, „Lipa 98”, czyli ogólnopolski przegląd twórczości literackiej dzieci i młodzieży. Ta impreza ma już swoją tradycję, byłem jej jurorem w roku 88. To zaledwie 10 lat, a nie pamiętam prawie nic. W tym „prawie” mieści się kilka niepewnych siebie obrazów. Odwiedziłem wtedy Grażynę Staniszewską, znaną działaczkę opozycji. Jej mieszkanie obstawione przez tajne służby, ona niepewna, sceptyczna, bez wiary, a to było zaledwie na rok przed zawaleniem się

komuny. Teraz Grażyna Staniszevska to posłanka z Bielska, która tak zawzięcie i chyba niemądrze walczy, by bielsko-bialskie było województwem. Przed kilku laty Grażyna znalazła się na wariackiej liście Macierewiczowych agentów, ale jeśli ona była agentką, to ja też nim byłem. Takie karygodne błędy kompromitują ideę ustawy lustracyjnej.

Nagrodziliśmy wiersze i prozę dzieci w wieku od lat siedmiu, a też nastolatków z liceów. Przybyło 70 wyróżnionych autorek i autorów z całej Polski, zwykle w asyście rodziców. Poruszenie, kiedy widać jak słowo staje się ciałem. Pamiętam ładny dorosły wiersz, a tu po nagrodę idzie kilkulatnia dziewczynka, niewiele większa od warkoczyka, który podskakuje na jej plecach. Podaje mi dłoń, małą i delikatną jak płatek róży. Potem spotkanie z dziećmi na tak zw. warsztatach literackich. Niektóre maluchy siedzą z rodzicami, a twarze rodziców mają rys zapadłej prowincji. Widać jak los hojną dłonią sieje genami po całej Polsce, i ten wyraz dumy oraz zmieszania na twarzach rodziców, że mają takie osobliwe dziecko. Kilkuletnia dziewczynka pyta mnie ze śmiertelną powagą, co myślę o białym wierszu? Odpowiadając mam odruch by użyć formy Pani. Dziesięcioletni chłopiec pyta, czy może wyjść, bo nagle poczuł, że musi napisać wiersz. Oczywiście pozwalam mu wyjść za tą szlachetną potrzebą. Wkrótce wraca oświadczając, że już wiersz napisał, czy może go przeczytać? Utwór niepokojąco dorosły. Rozmawiam z jego matką, mówi: „co ja mam zrobić, taki już jest, pisze te wiersze, i pisze...”

Bielsko zasypane śniegiem, jak ja zasypany wierszami dzieci. Ale nie mogę dłużej zostać, mam pilne zajęcia w Warszawie, wyjeżdżam ciągnąc za sobą welon wyrzutów sumienia, że nie rozmawiałem dłużej. Nie mamy już czasu na to, co naprawdę ważne. Te dzieci, ta młodzież, będą rosnać pod szklano-stalową czapą nowej Polski, gdzie nie ma prawie miejsca na poezję. Pal lichy, czy będą pisać wiersze, czy coś innego. Ważny jest ich talent, czucie i wrażliwość. Trzeba im pomóc ocalić delikatną roślinę. Po jakimś czasie dowiaduję się, że jest skandal. Wśród nagrodzonych prac wydrukowanych potem w książeczce, jest utwór, który miejscowe siły narodowo-prawicowe uznały za niemoralny. Wysłano skargę do Ministerstwa Kultury. To dobry pretekst by tę piękną imprezę zarzącać.

P. był też przed laty organizatorem „Lipy”. Najpierw trener piłkarski, potem działacz kulturalny, teraz podobnie jak wszyscy zaszczyty przez brak pieniędzy i walkę o przetrwanie. Obserwując polityczne konflikty w swoim mieście, pyta: „czy po to była walka o wolną Polskę, tyle pięknych słów i gestów, aby teraz szarpać i rwać skrawki władzy, brać się za łby o pieniądze?”

Jestem we Wrocławiu, gdzie wrzusza mnie piękno odnowionego rynku, całe stare miasto jest imponujące, a odnowione, puszy się bogactwem, jak zdrowy zwierz sierścią. Nareszcie gdzieś zadbano, by powstrzymać zalew okropnego liternictwa i brutalnych reklam, Kraków niedawno przeraził mnie inwazją reklam na starówce. Środowisko artystyczne Wrocławia porozbijane i obolałe, tak jest we wszystkich dużych miastach. Młodzi opowiadają mi jak narasta drażliwość walki o pieniądze, z każdym rokiem jest ostrzej i bardziej dramatycznie. A przecież ich pole widzenia to zaledwie kilka lat. Polska dzieli się dzisiaj na dwie społeczności. Jedni walczą by przeżyć, drudzy, którzy mają wiele, walczą o więcej. Narodził się nowy, monstrualny, gargantuiczny nałóg, pieniądze. Za nim jak cień podąża interesowność. Ale na poetyckim spotkaniu jest bezinteresownie, wrażliwość i czułość rośnie wszędzie, wytrwała, uparta, mimo wszystko. Obok mnie, naprzeciw siebie siedzą dwaj młodzi, robotnik-tokarz i doktorant polonistyki. Obaj kochają literaturę, piszą wiersze. Tokarz ukrywa przed kolegami z fabryki swoją słabość, by nie wzięto go za wariata. Fabrykę gdzie pracuje kupił prywatny przedsiębiorca, jest wielki strach przed utratą roboty, nawet przerwa na obiad skurczyła się do jednego kęsa i jednego łyka herbaty. Lęk przed utratą pracy staje się, obok strachu przed chorobą, lękiem numer dwa. A kiedyś tylu innych rzeczy baliśmy się najpierw. Po licznych redukcjach i modyfikacjach zakład kwitnie. Ale nie kwitną pensje. Tokarz-poeta zarabia 750 zł. Obliczam szybko w myślach, to jest czynsz, telefon, dwie wizyty u stomatologa, prawie nic. Dokładnie tyle samo zarabia doktorant. Jeśli ktoś się dziwi, że czasami wybuchają w Polsce strajki, że związki zawodowe są tak chorobliwie silne, a nawet zaczynają być groźne dla państwa, niech przeliczy te 750 złotych na zwykłe życie. Związki zawodowe podważyły, a potem obaliły

w Polsce komunizm, więc naturalne, że teraz ich muskuły stają się wyzwaniem dla gospodarki. Sytuację komplikuje fakt, że „Solidarność” jest kręgosłupem AWS-u. Wałęsa chociaż na bocznym torze, daj Boże na zawsze, jest jednak z dwojakiej złożony natury, i lepszą stroną coraz głośniej gromi związki zawodowe, że zagrażają krajowi. „Polską rządem związki zawodowe”. Te związki walczą z rządem, a czasami ze sobą nawzajem. W tej chwili właśnie głodują anestezjolodzy, górnicy, kolejarze, a chłopci uparcie najeżdżają stolicę. Rząd sam się wywodzi z łona związku zawodowego, więc doprawdy, trudno mu wysłać policję na protestujących, nawet kiedy to konieczne.

Kolejny wojskowy samolot rozbija się, tym razem pod Warszawą, giną dwaj piloci, a jak na złość tragedia miała miejsce tuż przez defiladą powietrzną, w rocznicę odzyskania niepodległości. Piloci z 1. pułku myśliwskiego mówią do kamer telewizji: „Dowódcy wysyłają nas na śmierć”. Część samolotów przeleciała szczęśliwie nad placem Piłsudskiego, nad głowami dygnitarzy, ale potem jeden z pilotów opowiada: „byłem bombą lecącą nad Warszawą”. Inni przyznają, że pogubili się nad miastem. Dowódcy lotnictwa stali się nieuchwytni dla mediów. Potem kluczą i kłamią. Chwilami przyglądam się temu z anarchistyczną satysfakcją, bo jest we mnie nadal odruch – duch pacyfistycznego buntu, nie lubię armii. Ale rozumiem, że armia jest nam potrzebna, a skala jej upadku technicznego, i jak widać też moralnego, ma wymiar katastrofy. Tygodniami ciągną się poprzez media niebywałe spory generałów z pilotami myśliwców, z których część rzuca w diabły wojsko i odchodzi do innej pracy, a pyskuje jakby gadała z kolegami, a nie z generałami. Tak oto bardzo specyficznie demokratyzuje się nasze dotychczas autorytarne wojsko. Prasa wyciąga na jaw matactwa generałów i niższych rangą oficerów. Można by tę sprawę włożyć do wielkiego pudła naszych osobliwości. Piszę o tym, bo tu ten sam bałagan, który obserwuję na każdym kroku. Niestety, moje osobiste doświadczenie potwierdza, jak mocna i trwała jest polska przypadłość, którą bez wahania określe jako cechę narodową. Bałaganiarstwo. Trzeba jednak chyba wielu pokoleń by to zmienić. Tu rodzi się gardłowe pytanie, na ile

nam to przeszkodzi w szybkim rozwoju? Gdzie zbierze się grupa Polaków, a jest zadanie do wykonania, zawsze improwizacja ma druzgocącą przewagę nad organizacją. Nie ma reguł gry, rozmyte są kompetencje, co powoduje monstrualne konflikty i niebывałe wydatkowanie energii na łatanie dziur. Zwykle jednak nie ma ostatecznej katastrofy. Nadludzki wysiłek, plus geniusz improwizacji, uratują sprawę. Tylko jakim kosztem! Ten motyw powtarza się w moich tekstach równie uparcie jak odbija się czkawka w mojej codziennej drodze. Ostatnio brałem udział w trzech przedsięwzięciach, towarzyszyła mi niewielka grupa ludzi, a te przedsięwzięcia miały zawsze taki sam bałaganiarsko-wariacki scenariusz. Gdy wszystko już miało się rozsypać, ujawniała się niebывała wytrwałość a nawet i dzielność, jak podczas naszych powstań. Mobilizacja następuje gdy są barykady do zbudowania, czy do zdobycia. Efekt jest, ale jakim kosztem! I znowu widzę jak na ważne stanowisko awansowało kilka osób, które mam nieszczęście znać, więc wiem, że trudno o gorszy wybór. Dzwoni kolega, który pracuje w pewnym ważnym centralnym urzędzie. Mówi, że paranoja niekompetencji, wojna o stanowiska i pieniądze sięgnęły dna. Ma dosyć. Pamiętam jak niegdyś zamiatałem podłogi tego urzędu i miałem wrażenie, że właśnie szoruję dno. Polski cud gospodarczy jest podminowany bałaganem, a jego cudowność polega też na tym, że na bałaganie on rośnie. Już przed laty miałem obawy, czy nie kwitną tylko fasady, gdy na zapleczu jak dziki zwierz czai się zawał. Ale lata mijają. Zawału nie ma a fragmenty fasady zaczynają oplatać tyły.

W Krakowie zagrzebani w Jamie Michalikowej plotkujemy z T. Nie jest to jednak już dawne bez-czasu, czyli błogie plotkowanie, zerkamy na zegarki. Ona ledwie żyje ze swojej uniwersyteckiej pensji, mówi: „nikomu już nie jesteśmy potrzebni, może studentom, ale czy oni będą komuś potrzebni”. Rozmawiamy o naszej krytyce literackiej, arogancka, niedouczone, rozdrobniona, koteryjnie podzielona na kręgi wzajemnej adoracji, wrzuca do Hadesu całe połacie naszej literatury. „Kto to jest Konwicki” – pytają mnie studenci, zdziwieni brzmieniem tego nazwiska, są inteligentni, młodzi i oczytani. Ale czytają co innego.

Spotykam M. Przed laty taki pogodny, praktykował zen, w tych najgorszych, trwożliwych i pełnych napięcia czasach on był bez trwogi, zawsze spokojny. A teraz widzę smugę niepokoju i troski na jego twarzy. Nagle uświadamiam sobie, że coraz częściej spotykam ludzi z taką właśnie smugą, która posiada specyficzny odcień. Mówi, że ma rodzinę, dziecko, coraz trudniej i trudniej utrzymać mu dom. Sytuacja zaczyna być dramatyczna. Coraz więcej moich młodych i starszych znajomych ma twarze jakby wydłużone od zagonienia i pośpiechu. Biegunka czasowa bywa równie dolegliwa jak czerwonka. Jest upadek wielu form spotkania, upadek miesięczników, coraz większa skrótowość tekstów w tygodnikach. Ale z drugiej strony wraca publiczność do teatrów, na różne formy spotkań i wieczorów. Tylko, że wszystko, jakby osobno, powstaje świat jam i nisz, które nie mają dróg komunikacji.

Aby nie utracić kontaktu z poezją, zacząłem słuchać wierszy w samochodzie, z kaset. W korkach najlepiej brzmią wiersze budowane na języku potocznej prozy, podszytej jednak metafizyką. Być może z powodu mojej tenisowej manii, szczególnie uderzył mnie i metafizycznie rozbawił wiersz proponowany i tłumaczony przez Miłosza, a też przez niego czytany, głosem pewnym, ale rozkołysanym jak płomyk świecy. Autorem jest Amerykanin Steve Kowit, to przesłanie i ostrzeżenie, które mocno siedzi na karku naszego galopującego czasu. Ciekawe świadectwo, że nawet najbardziej banalna myśl może zostać uskrzydłona, choćby przez skrzydła domowej muchy, jeśli tylko autor potrafi zajrzeć pod podszewkę rzeczywistości.

OSTRZEŻENIE

Dziś wieczór mocne dzinsy,
które noszę co dzień ponad rok
i które wydawały się w doskonałym stanie
nagle pękły.

Jak i dlaczego nie pojmuję,
ale stało się – duże pęknięcie w kroku.
Miesiąc temu mój przyjaciel Nick
zszedł z tenisowego kortu,

wziął prysznic, przebrał się i na ulicy przewrócił się i umarł. Pamiętajcie, którzy to czytacie, padać od czasu do czasu na kolana jak poeta Christopher Smart, i całować ziemię i radować się i dobrze wykorzystywać czas i okazywać życzliwość wszystkim, nawet tym, którzy na to nie zasługują. Bo choćbyście nie wierzyli, to nastąpi, was też któregoś dnia nie będzie. Ja, któremu dzinsy pękły w kroku bez żadnego powodu, zapewniam was, że to prawda. Podaj dalej.

Jak widać wiersz potraktowałem bardzo poważnie, nie całuję ziemi, bo na razie zbyt zmarznięta, ale „podaję dalej”.

SMECZ

Kartki ze skażonej strefy

Co zrobić z Jazłowcem?

Wielkie zamczysko w podkowę, stojące na wzgórzu wioski o tej samej nazwie koło Buczacza na Podolu w Ukrainie.

W XIX wieku Marcelina Darowska dziś, błogosławiona, założycielka zgromadzenia niepokalanek, ulokowała tam swój zakon i założyła szkołę dla dziewcząt, na owe czasy niezwykle postępową, i – żeby tak rzec – ekumeniczną.

Minęła epoka – krwawa i potworna. Ginęli ludzie, ale zamek stał. Życie murów jest twardsze niż ludzkie.

Władze ukraińskie urządziły w nim ubożuchne sanatorium. Byłam w Jazłowcu przed kilku laty wraz z paroma niepokalankami. Pierwsze, co mnie uderzyło, to nie pejzaż i zabytek, skądinąd piękny, ale ludzie. Rzucili się ku siostram rozchwytując różańce, obrazki święte, krzyżyki, znacznie gorliwiej niż rozdawane słodycze. Byli to prawosławni, greko- i rzymskokatolicy, najwięcej jednak było bezwyznaniowców. Dlaczego brali atrybuty religii?

Siostra Anuncjata Strasburger, szefowa grupki tamtejszych zakonnic, powiedziała mi coś, co zabrzmiało zaskakująco: „uczę się od tych ludzi kochać Boga i dlatego tu jestem”.

Duchownych polskich, którzy osiadają w tych stronach, nie wiecie idea misji. Nikogo nie nawracają. Nikogo nie „upolaczają”. Nie tworzą skrycie Piątej Kolumny polskości. Nie myślą o przesuwaniu granic. Żadna przeszłość rodowa nie łączy ich z kresami. Z miejsca uczą się ich języka, wchodzą w przyjacielskie kontakty z miejscowym klerem, uczestniczą w ich nabożeństwach i uroczystościach. Tam granica między różnymi obrządkami zaciera się w naturalny sposób. Słowem, Polacy zachowują się tak, jakby pobierali nauki od Jerzego Giedroycia.

Gdy się głębiej zastanowić, słowa siostry Anuncjaty stają się jasne. U ludzi, którym przez siedemdziesiąt lat zakazywano religii, tęsknota metafizyczna i wewnętrzna duchowość stała się znacznie prawdziwsza niż u naszych uporządkowanych katolików. To przyciąga.

A może, zgłaszającym się na wyjazd, przyświeca chęć zasypywania przepaści krzywd, jakie wyrządził sobie ludzie po obu stronach? I tego nie wolno wykluczyć.

Wracając do Jazłowca. Pewnego dnia lokalne władze, w tym kurator zabytków, zwróciły się do siostry Anuncjaty tymi słowami „Mamy dla siostry przełożonej złą wiadomość, musicie być przygotowane na najgorsze”. Na moje przerażone pytanie – pisze mi w liście Siostra, co mam przez to rozumieć, naczelnik odpowiedział: „wygląda na to, że my wam cały ten zamek jazłowiecki oddamy”. Czy to *najhirsze*, czy *najlepsze*? Za blisko stoimy, żeby móc objąć, co się tu dzieje”. Tyle siostra Anuncjata.

Najwyraźniej miejscowe władze liczą, że niepokalanki zdobędą fundusze na remont zabytku. Nawet gdyby się tak

stało, co raczej niemożliwe, nie zagospodarują ogromnej budowli. Mało zakonnic w Polsce, a co dopiero tam. Im wystarczy kaplica i pomieszczenie u grobu założycielki. Stąd desperacja siostry Anuncjaty. Co robić?

Andrzej Zakrzewski, przewodniczący Komisji Sejmowej d/s Polaków za Granicą, człowiek nie tylko energiczny, ale i pomysłowy, rzucił ideę: urządzić w zamku Jazłowieckim placówkę ukraińsko-polską o charakterze badawczym, coś *à la* uniwersytet, ze szczególnym uwzględnieniem pojęcia obywatelskości. Nie wygląda to wcale na mrzonkę. Zakrzewski jest człowiekiem czynu, choć sprawia wrażenie brata-łaty, potrafi dogadać się z każdym, a jak mi powiedział, sprawa ta leży mu osobiście na sercu, gdyż w swoim czasie siostra Anuncjata dostarczała mu kawę bezkofeinową przez swego siostrzeńca, Kazimierza Dziewanowskiego.

Oby tylko inicjatywa nie ugrzęzła w morzu niedokonań, jak się to u nas powszechnie dzieje. Obyśmy podjęli wyciągniętą rękę Ukraińców w tym drobnym wymiarze, od jakich wszakże zaczyna się wszystko, co dobre, i co może okazać się cenniejsze niż traktaty państwowe.

Prof. Barbara Skarga napisała w *Tygodniku Powszechnym* artykuł o bezwstydzie. O bezwstydzie w różnych kontekstach i sytuacjach.

Uczepiłam się słowa, bo oddaje to, co często doprowadza mnie do szewskiej pasji.

Premier zażądał czterdziestu nowych etatów dla swojej kancelarii. Według Wiesława Walendziaka zatrudnionych jest już tam 700 pracowników merytorycznych, nie licząc zakładu gospodarczego i infrastruktury – jak się wyraził. W ciągu roku Buzek już zwiększył liczbę pracowników o 145 etatów. W tej liczbie mieszczą się pracownicy polityczni, to znaczy tacy, od których nie wymaga się wyższego wykształcenia ani specjalnych kwalifikacji. Potrzebę zatrudnienia czterdziestu nowych pracowników premier uzasadnił koniecznością obsługi odbiurokratyzowania gospodarki (*sic!*).

Tak wygląda odchudzanie władzy wykonawczej w obecnym wydaniu. Jan Maria Rokita nazwał nowe żądanie

premiera paranoją. W momencie wchodzenia w życie reformy administracyjnej czyli rozbudowy samorządu, władza centralna również chce się rozszerzać. Paranoja, mówi Rokita. Ja mówię bezwstyd. Tenże miły premier, o tak wiarygodnym wyglądzie, że z ufnością wielu powierzyłoby mu ostatni grosz na przechowanie, zatrudnił w charakterze doradców politycznych czterech chłopaków, z których tylko dwóch przekroczyło 25 lat. Rozumiem, że mogliby to być kompetentni sekretarze, ale doradcy polityczni?! Za czym oczywiście idą odpowiednie gąze, apanaże, premie. Bezwstyd. Nasi biznesmeni spotykając się, patrzą sobie na nadgarstki. Jeżeli kontrahent nosi zegarek poniżej 50 tys. zł (15 tys. dolarów) odpada. Garnitur musi być z najmodniejszej zachodniej firmy, to samo auto, to samo kran do zlewu czy wieczne pióro. Parkera można kupić za 100 zł, ale liczy się tylko ten za 5 tysięcy (około 1500 dolarów). Znow bezwstyd – chociaż trochę inny.

Jeżeli człowiek nie ma wokół siebie atrybutów najdroższych, choćby zbędnych i wręcz uciążliwych – nie traktuje się go poważnie.

Noszenie się naszych młodych nuworyszki przypomina żywo zachowania kacyków Trzeciego Świata, których obserwowałam swego czasu w Londynie. Zjeżdżali do lekarzy i dentystów, wysypując z kufrów żywe funty. Najbardziej renomowane magazyny, gdzie zakupy robił dwór królewski, nie były w stanie sprostać ich wymaganiom. Nie miały, na przykład, złotych wanien.

Zapędy kacyków nie tylko budziły politowanie Anglików wobec fatalnego gustu, ale odwrotnie niż u nas – zniechęcały do robienia z nimi interesów. Natomiast polski biznesmen patrzy podejrzliwie, jeżeli partner podpisuje kontrakt długopisem. Zachodni – patrzyłby nieufnie, gdyby wyciągnął wysadzone brylancikami pióro.

W Polsce powstają więc sklepy za swoistymi złotymi firankami, wysilające się w wymyślaniu najdroższych ozdóbek, żeby tylko zaspokoić klienta. Bezwstyd. Bezwstyd niewinny, bo nieświadomy swego bezwstydu, tym więc gorszy. Bezwstyd prymitywu.

Prezes telewizji publicznej, odwołującej się co rusz do sponsorów, żeby płacili za filmy czy prognozę pogody;

telewizji nadzianej do granic ludzkiej wytrzymałości reklamami, a ponadto opłacanej przez nasze abonamenty – bierze miesięcznej gaży 27 tys. zł (8 tys. dolarów), w sytuacji kiedy średnia krajowa wynosi 1400 zł.

Bezwstyd powiększa wniosek, jaki wpłynął do Sejmu, żeby abonament telewizyjno-radiowy sprząc z opłatą za światło. Nie ma rady, będziesz, bracie, bulił, choćbyś przyniósł sto dowodów, że nie masz w domu ani radia, ani telewizora.

Drastycznie wysokie pensje pobierane z budżetu w społeczeństwie powszechnie ubogim są bezwstydem. Natomiast nie jest bezwstydem, jeżeli zdolny, profesjonalny prezenter, choćby bardzo młody, zarabiał w telewizji prywatnej 35 tys. zł (10 tys. dolarów) miesięcznie. Nie od nas bierze. Płaci mu prywaciarz.

Marian Krzaklewski wyjechał z żoną i dwoma sekretarzami do Australii – ulubiony kontynent naszych władców zimą, kiedy tam panuje lato a u nas paskudna pogoda. Pani ambasador żegnając go w Warszawie wypowiedziała parę grzecznościowych formułek po angielsku. W odpowiedzi usłyszała z ust naszego polityka podziękowanie za wnikliwe wprowadzenie w historię (nie było o tym ani słowa) jej pięknego kraju. Pan przewodniczący zakończył wystąpienie dowcipem: „Ja do Australii LOT-em, a oni do nas kangurzym skokiem”.

Nie bezwstyd. Zażenowanie.

11 października 1998 r. odbyły się u nas wybory samorządowe. Do 24 listopada nie sposób było wybrać starosty warszawskiego. Dlaczego? Bo AWS pokłóciła się sama z sobą co do kandydatury. Wśród niekończących się narad, prosząc co chwilę o przerwę, żeby namówić się po cichu, wśród szyderczych salw śmiechu opozycji, trwała zabawa.

Bezwstyd czy farsa?

Wymienione tu przykłady bezwstydu, odbiegające od potocznego rozumienia tego słowa, uważam za znacznie bardziej niemoralne niż, na przykład, mnożące się u nas domy publiczne, pod eufemistyczną nazwą agencji towarzyskich. W niewielkim Płocku jest ich siedem. Wiele gazet utrzymuje się dzięki ogłoszeniom stręczycielskim (bo jak je inaczej nazwać?). Oczywiście, można zarzucić hipokryzję nazewnictwu

i treści ogłoszeń, unikających powiedzenia *expressis verbis*, o co chodzi, ale jest to hipokryzja tak oczywista, że właściwie nie przestaje nią być.

Niektóre ogłoszenia wręcz zabawne. Na przykład: „ciałka przyjadą, gdzie każesz”. Nawiasem mówiąc, „ciałka” weszły do naszego rodzinno-przyjacielskiego języka. Zapraszamy się w ten sposób na kolację: „o której ciałka mają przyjechać?” „O szóstej”.

Za komunizmu panowało na temat seksu głucho milczenie. W mediach zupełna cisza. Oczywiście, że już na świętych gruzach Warszawy działały – wpraw nim przyszły spychacze, tak zwane gruzinki; w „Kamieniolomach”, elitarnym klubie nocnym w najelegantszym wówczas hotelu Europejskim królowały prostytutki wyższej kategorii, a za czasów „otwarcia” gierkowskiego pojawiły się nawet po lokalach striptiserki. Zupełna egzotyka. Jak banany i pomarańcze.

Jednakże, nomenklatura dopełniała swoich rozkoszy w ukryciu. Obowiązywał komunistyczny purytanizm. Pamiętam jednak, jak zwiedzałam zasłużone sprzed wojny krakowskie zakłady Stomil, przemienione za komuny w wytwórnię prezerwatyw. Załoga ze śmiechem pokazywała mi urządzenie przezwane przez nich Casanova. Casanova na święta państwowe produkowała specjalny asortyment, tak zwane Mikołaje. Były to prezerwatywy o pomysłowych końcówkach, rozsyłane za zarachowaniem wedle ściśle tajnego rozdzielnika, przysługującego od któregoś tam sekretarza wżwyz. Dla dzisiejszych młodych – bomba śmiechu.

Obecnie nikt się z „tymi rzeczami” nie kryje. Powiem nawet, że nazbyt gorliwie naśladujemy Zachód w tym względzie. Niemniej jednak seksualne przerosty, sięgające nawet reklam mydła czy czekolady, są mniejszym bezwstydem niż bezwstyd polityków, którzy mając gęby pełne słowa „służba” chcą sobie na wszelkie sposoby podbić kasę i umilić życie kosztem tych, którym służą.

Z innej beczki: mniejszym bezwstydem są nadmierne inklinacje erotyczne prezydenta Clintona, z którymi powinien udać się do seksuologa, niż trącające lubieżnością inkwizytorskie dociekania prokuratora Kennetha Starra rozgłaszane w najdrobniejszych szczegółach mieszkańcom globu, wszem wobec.

Najwcześniejsze wspomnienie dzieciństwa: ja, trzymana na rękę matki, wręczam kwiaty kpt. Bajanowi na Polu Mokotowskim. Był w skórzanej pilotce, uśmiechał się, obok stał samolot. „*Chalange*, zwyciężył *chalance*” – mówiono.

Potem w święta narodowe oglądało się defilady. Formacje wojskowe szły w rymsztunku, swoim krokiem, we własnym szyku i rytmie. Kto lubił, ten patrzył.

Obecnie przy tego typu okazjach robi się przebieranki. Jeźdźcy, ledwie trzymający się koni, odgrywają szarżę z Bitwy Warszawskiej, są i przebrani krasnoarmiejcy, dużo huku, wrzawy – no i znowu, wstyd.

Oblał mnie rumieniec wstydu, gdy w okrągłą rocznicę przyjazdu Józefa Piłsudskiego z Magdeburga do Warszawy, aktor, Janusz Zakrzęński, ucharakteryzowany na Marszałka, wysiadał z pociągu wśród zainscenizowanego entuzjazmu statystów robiących tłum. Autentycznych widzów kilkunastu, reszta „doklejki”. Zły teatr. Ruszające się kukły z gabinetu figur woskowych. Zgorszenie młodzieży poprzez ośmieszenie patriotyzm. Tym gorszy, że bezwiedny. Takich rzeczy powinno się zabronić ustawowo.

No i na dodatek cyniczny rozkaz przelotu nad Warszawą w czasie defilady. Cyniczny, bo wydany po zwiadowczym locie samolotu zakończonym katastrofą, w której zginęło dwóch pilotów. Mieli stwierdzić, czy przy tak niskim pułapie w ogóle można latać. Ich śmierć dowiodła, że nie. Mimo to rozkaz wydano, samoloty poleciały, żonglując między Pałacem Kultury a Marriottem i dźwigami nagle wyłaniającymi im się przed oczyma.

Jeszcze o Marszałku. Lubię jego pomnik stojący na przeciwko Grobu Nieznanego Żołnierza. Co prawda, humor warszawski przypiął mu łatkę „parkingowego” (za nim znajduje się parking), ale postać Józefa Piłsudskiego wydaje się być prawdziwa; zwarta, z lekkim przygarbieniem; tak chyba się nosił.

Natomiast tuż przy głównej bramie do Łazienek i w rogu Belwederu stanął ostatnio inny pomnik. Marszałek z odchyloną połą płaszczą, wsparty na szabli. Nieco sztuczna poza, jakby nie jego. Jednak architekci mówią, że miejsce świetne, a światło doskonałe, zwłaszcza w słońcu, kiedy brąz lśni. Z pewnością. Nie jest zły. Ale ja wolę tamtego „parkingowego”.

Umarł Marian Brandys. Był najbardziej spektakularną, najbardziej znaną postacią w Oborach, podwarszawskim domu pracy twórczej pisarzy. Przez ostatnie lata, kiedy tam przyjeżdżałam w sierpniu, był niekwestionowanym królem Obór.

Biała, bujna czupryna, kontrastująca z opaloną na czarno twarzą, wsparty na lasce. Pamiętam go z czasów, kiedy jeszcze sporo chodził. Miarowym, wyważonym krokiem. Do bramy wjazdowej i z powrotem, potem obrót wokół klombu. Była to ściśle wyliczona marszruta, tak, że nawet zdobyła nazwę i naśladowców wśród pensjonariuszy. Mówiło się z powagą: „zrobiłem dziś trzy brandysy”.

Obserwowaliśmy pana Mariana z ganku, naszego mostku kapitańskiego. Gdy nie było go na horyzoncie, czegoś brakowało w krajobrazie.

Były w tych marszach fazy przychodzące stopniowo: najpierw krok mu spowolniał, potem trasa się skróciła, potem zaczął przystawać, aż w końcu zatrzymywał się na długo, wpatrzony w szczegół pejzażu.

Gdy siadywał na ławce, zaraz oblepiali go ludzie. Był ciepłym, ufnym rozmówcą, bez owego selektywnego doboru cechującego często pisarzy. Umiał słuchać i patrzeć na ludzi. Jego obserwacje, zawsze oryginalne i celne, stawały się coraz bardziej nierychliwe. Trzeba było czekać, więc czekaliśmy z ochotą, mając go przy boku.

Był bardziej towarzyski od brata, Kazimierza, który zwykle również w tym czasie przebywał w Oborach wraz z żoną, panią Marią. Jadali we trójkę przy jednym stoliku, ale potem mało ze sobą gadali. Mieli ze sobą ten typ poufałego braterskiego kontaktu, który nie wymaga słów. Kiedyś usłyszałam, jak wyrwało się panu Kazimierzowi, obserwującemu brata z ganku: „Marian dziś gorzej z krążeniem, źle chodzi...”. Widział.

Pan Marian określił ich wzajemny stosunek ze spontaniczną szczerością: „My się z bratem Kochamy, ale się nie przyjaźnimy”.

Gdy znów nadejdzie lato, gdy znów zasiądziemy na mostku kapitańskim i nie zobaczymy pana Mariana na horyzoncie – nie wiem, co będzie. To będą nie te same Obory.

Świtoń okopał się na Żwirowisku. Z nastaniem mrozów zwinął namiot i przeniósł się do niezniszczalnego Wozu Drzymały, czyli ogrzewanej przyczepy z wygodami.

Co z nim zrobić, spytałam księdza biskupa, Bronisława Dembowskiego, ordynariusza diecezji wrocławskiej. „Czekać, cierpieć i modlić się”. Podobno, na jego biurko wciąż spadają memoriały od oszołomów wszelkiej maści. Na przykład: „bluźnierstwem jest przyjmowanie Komunii na stojąco”, pisze jakiś zatroskany. Piszą świeccy, ale i księża; „Jest się za kogo modlić”, wzdycha biskup. Gdy tłumaczył pewnemu księdzu że przecież papież też udziela Komunii na stojąco, tamten odparł: „Ale czy ksiądz biskup myśli, że jemu z tym przyjemnie?” Powiedział, co wiedział, i pojechał odprawić mszę na Żwirowisko. Wszyscy klęczeli pokotem.

Na Żwirowisku spodziewane są pielgrzymki z całego świata. Będą modlić się za błędy biskupów. Ich poczynania łączy się nie bez racji z lefebryzmem. A nieszczęsny Świtoń, o którym latami było cicho, i któremu, jak się zdaje, życie rodzinne niezbyt się udało – ma swoją godzinę.

Cierpieć i czekać – można. Ale czy wystarczy?

Marian Jurczyk został prezydentem Szczecina, wybrany głównie głosami SLD. „Ale się porąbało”, skomentował wydarzenie Wałęsa.

W swoim czasie rywalizowali o prymat w Solidarności. Jeden podpisał porozumienie z rządem w Szczecinie, drugi – w Gdańsku. Jednakże, w zwarciu z Wałęsą o przywództwo w związku, Jurczyk nie miał szans. Od początku nie znosili się. Na pierwszym zjeździe Solidarności Wałęsa traktował Jurczyka z góry, Jurczyk odpowiadał ugrzecznonio-jadowitym tonem, który wówczas u nikogo nie znajdował aplauzu. Robił wrażenie klasycznego świętoszka, którego pod płaszczykiem pokory przepęlnia ambicja wodzowania.

I taki w rzeczywistości był. Zebrał grupkę niezadowolonych i utworzył Solidarność 80, organizację superprawicową, która wszakże nie rozrosła się; była postrzegana za odstępstwo od ruchu i w sumie przyniosła Jurczykowi złą sławę. Jeszcze przedtem Jurczyk pohańbił się publicznym

powiedzeniem, że przydałoby się parę gałęzi dla paru Żydów. Wycofał się z tego rakiem, sumitował, że został źle zrozumiany, no, ale mir utracił na długie lata.

I naraz w koalicji z SLD – został panem prezydentem wielkiego miasta. Rozgłasza swoją tezę, że nie odstąpi ani piędzi polskiej ziemi obcemu kapitałowi i chce unieważnić poprzednie transakcje. Ale się porąbało!

Telekomunikacja, monopolista na rynku, więc siłą rzeczy pracująca fatalnie i drąca z nas skórę na wszelkie sposoby, wreszcie zbliża się ku prywatyzacji. Akcje mają być podzielone wśród pracowników, których jest około 70 tysięcy. Pytanie, dlaczego oni mają dostać te pieniądze, skoro to my płacimy za telefony, a oni wykonują swoją pracę za pensje. Zawiniła jedna z pierwszych ustaw rynkowych, kiedy związki zawodowe wielkich zakładów stanęły murem przeciw prywatyzacji. Żeby załogi do tego zachęcić, ówczesny minister tego resortu, Janusz Lewandowski, przyczynił się do ustawy mówiącej, że 20% akcji prywatyzowanych zakładów będą należeć do załóg. Na ówczesnym etapie rozumowanie słuszne, obecnie – absurdalne. Ustawę należało uchylić, kiedy prywatyzacja stała się zjawiskiem powszechnym, i w sumie bezsprzecznie korzystnym dla wszystkich. Oczywiście, nasz dalekowzroczny Sejm nie jest od tego, żeby to przewidzieć.

Znalazł się jeden honorowy! Minister transportu, Eugeniusz Morawski, UW, podał się do dymisji, ponieważ wobec oporu związków zawodowych nie jest w stanie uczynić kroku w kierunku koniecznej reorganizacji PKP. Posunięcie nie tylko honorowe, ale i logiczne, bo naprawdę nie sposób rządzić w systemie związkokracji. Gdy związki zawodowe chcą pełnić rolę rządu, nieuchronnie musi nastąpić paraliż rozwojowy.

Jest to pierwszy, jaki pamiętam, przypadek samorzutnej dymisji. Na ogół, nasi urzędnicy, choćby najbardziej beużyteczni, niesprawni, skompromitowani i wyśmiani, trzymają

się jak pijani płotu. Gdyby tak ministrowi Ryszardowi Czarneckiemu jakaś dobra wróżka zaszczepiła szczyptę honoru! Senne marzenie.

●
 Podobno przed wojną, prasa ekstremalnie prawicowa była jednak na wyższym poziomie niż obecne jej odpowiedniki.

Oto, co oferuje na Gwiazdkę jako najlepszy upominek tygodnik *Nasza Polska* (wydawnictwo Szaniec, red. nac. Piotr Jakucki). Wybieram smakowitsze pozycje z ramki:

„Rzecz o katolewicy” 1945-1989 – 26,50 zł, nowość.

Izrael Szahak „Tel Awiw za zamkniętymi drzwiami” – 25 zł, nowość.

„Pamiętnik z Pierwszej Konferencji Żydoznawczej odbytej w grudniu 1921 r. w Warszawie” – 12 zł, nowość.

Henryk Ford „Międzynarodowy Żyd” – 32 zł, bestseller.

Starczy? „Mędrzy Syjonu” jeszcze nie wznowieni. Musimy poczekać.

Ale się porąbało! Pocieszam się, że może to tylko nic nie znaczący folklor.

A może, to wszystko, o czym tu pisałam, mówi o jakimś pęknięciu? Kiedyś napisałam reportaż pod tytułem „Co się stało z naszą klasą” (nie ja jedna zresztą) opisujący różne losy i przemiany kolegów. Teraz zapytam: co się dzieje z nami, Polakami. Dokąd wędrujemy?

Warszawa, 28 listopada 1998 roku

Ewa BERBERYUSZ

Sąsiedzi

Niemcy, Polska, Ukraina

W Niemczech odbyła się zmiana władzy i pokoleń. Szesnaście lat trwała kadencja kanclerza Helmuta Kohla rządzącego w imieniu koalicji chadeków i liberałów. Patrząc powierzchownie można by powiedzieć, że podobna formacja zaistniała w Polsce. Ale porównanie nie wytrzymuje krytyki. Chrześcijańska Demokracja w Niemczech to zjednoczona siła, a AWS to zlepek najrozmaitszego autoramentu, zaś Unia Wolności to jednak trochę bardziej znaczące stronnictwo niż niemiecka partia liberałów FDP, która od lat ledwie zipie i w ostatnich wyborach z trudem przeskoczyła pięcioprocentową poprzeczkę. A już zgoła inna sytuacja panuje czy panowała na czele rządów. Kanclerz Kohl był rządcą w swoim kraju nieomal na miarę monarchy, chociaż zaczął bardzo liberalnie jak na wierzącego i praktykującego katolika. Z czasem, kiedy rozsmakował się w rządzeniu, stał się konserwatywnym wielkorządcą, nie uznającym sprzeciwu i konkurencji. Jak czołg miażdżył każdego rzeczywistego lub urojonego rywala. Wykończył takich luminarzy jak Barzel, Biedenkopf, Geissler, Albrecht i kilku innych. Tylko na bawarskiej skale Franza Jozefa Straussa nadłamywał sobie zęby, ale swoistość i samoistność monachijskiej chadecji, i geograficzna odległość, a wraz z nią cywilizacyjna odrębność pomiędzy piwoszami i winiarzami, sprawiły, że dwa, nienawidzące się olbrzymy po-adenauerowskiej ery, stale się gryzły, ale się nie zagryzły. Dzielili ich też odmienna natura. Strauss miał huraganowy temperament, Kohl nadreńską wyrozumiałość i chytryść. Różnica między piwem i winem, bez domieszki brutalizującej obyczaje gorzałki, znamiennej dla wschodnio-

nich połączy Niemiec jako strefy przejściowej do wschodnio-europejskiej cywilizacji wódczanej, jest ważnym znamiennikiem również w polityce.

Kohl był zresztą, jak i Strauss, postacią barokową i człowiekiem tolerancyjnym, dobrodusznym. Obalonych rywali nie prześladował, raczej obdarzał ich drugorzędnymi synekurami. Był europejskim Niemcem albo niemieckim Europejczykiem. Jego największą zasługą jest powiązanie Niemiec po raz pierwszy w historii z Zachodem, czyli zerwanie z tradycją nacjonalistycznej „trzeciej” drogi pomiędzy Wschodem i Zachodem, która przeważnie prowadziła do opcji prorosyjskiej. Nie był rusofilem, chociaż – jak olbrzymia większość Niemców – odczuwał coś w rodzaju podziwu i strachu wobec „niezbadanej” duszy rosyjskiej. Stąd wielka – jak mówią Niemcy – „przyjaźń męska” z Jelcynem. „Szeroka natura” prezydenta Rosji zupełnie zafascynowała człowieka z post-rzymskiej prowincji Palatynatu. Tu ani Polska, ani Ukraina nie mogły konkurować, chociaż Warszawa dla nadreńskiego katolika Kohla dzięki „Solidarności” i Papieżowi stała się ważnym partnerem. Ukraina natomiast była mu początkowo zupełnie obca. Doszło nawet pomiędzy nami w berlińskim Klubie Prasowym do ostrej przepałki, kiedy Kohl oświadczył, że Europa kończy się na wschodnich granicach Polski. Po moim ostrzeżeniu, żeby był ostrożny z takimi poglądami nie tylko we Lwowie, Czerniowcach ale i w Kijowie, upłynęło sporo czasu i po dwóch wizytach nad Dnieprem, przy następnej podobnej okazji Kohl oświadczył, że Ukraina jak najbardziej należy do Europy!

A jak to będzie z nowym rządem w Bonn i niebawem w Berlinie? Obawiam się, że jeszcze gorzej. Dawno minęły te czasy kiedy prawdziwi polscy i ukraińscy socjaliści współpracowali z socjaldemokracją niemiecką. Flirt Brandta z Breżniewem w imię niemieckich interesów narodowych doprowadził do wykluczenia polskich i ukraińskich współtowarzyszy z Międzynarodówki Socjalistycznej. Dzisiejsza nowa „czerwono-zielona” władza w Bonn ma bardzo konkretną wizję przemian wewnętrznych ale nie posiada żadnej koncepcji wobec Wschodniej Europy. Wybitnym dowodem na to było programowe oświadczenie kanclerza Schrödera w Bundestagu, padło kilka słów o Polsce, Węgrzech i Czechach

i ani słówka o Rosji, Ukrainie i państwach bałtyckich. Ale tak to jest z tym już trochę podtatusiałym pokoleniem rewolucji studenckiej z sześćdziesiątych lat. Nie ma ono wiele wiedzy o nas, ale ma wiele uprzedzeń. A oprócz tego nie ma też partnerów, prawdziwych socjaldemokratów i prawdziwych ekologicznych stronnictw „zielonych”.

„Czerwono-zielony” rząd niemiecki przeniesie się do Berlina. Prawdę mówiąc, to wielu z nas, którzy przeżyli aktywnie „zimną wojnę” trochę markotnie, że się kończy era „bońskiej” republiki. Była nie najgorszą a nawet przyjemną, ludzką i skromną. Mimo, że się rozrosła biurokracja, zachowała coś z nadreńskiej prowincji. Bonn był wymarzoną stolicą Adenauera, aby w ten sposób zespolić nowe państwo niemieckie z zachodnią Europą. Socjaldemokraci, proponowali „postępowy” Frankfurt. Wygrał jednym głosem stary lis znad Renu. Stolicy nie lubili początkowo jej mieszkańcy. Kiedyśmy po nocnej sesji przybyli do hotelu „Stern” z żyjącym wówczas jeszcze redaktorem Rublem z dawnego krakowskiego *Ikaca*, po długim dzwonieniu wylał z pieleszy portier i skłął nas, że się ważymy o tej porze wracać, dodając: „odkąd tutaj działa ta przeklęta buda ze zgrają rozgadanych opryszków, nie ma więcej spokoju”. Kiedy jednak zapadła decyzja o przeprowadzce do Berlina, w Bonn powstał Obywatelski Komitet Protestu przeciwko przeniesieniu stolicy do „imperialistycznego” i „antyeuropejskiego” centrum prowokacji wojennych konfliktów. Kilka tysięcy urzędników postanowiło przejść na przedwczesną emeryturę, byle tylko nie jechać do „przeklętego” Berlina. Pewien znajomy urzędnik proponuje: „Po diabła ta nowa stolica. Przecież nowe Niemcy – to Bonn. Berlin na skraj świata, tuż koło granicy z Polską. Zupełnie zwariowali. Ja tu sobie jeżdżę do Francji, Holandii, Belgii a tam co? Do Polski?” Takich jest dużo. Rząd próbuje znaleźć kompromis. Niech pięć dni pracują w Berlinie a na weekend niech lecą lub jadą pociągiem nad Ren.

Ale tak czy tak, niebawem zacznie się znowu berlińska era w historii Niemiec, tym razem, zdaje się na zawsze. A jednocześnie wejdzie w życie nowa faza integracji europejskiej. Czy Niemcy się tym zadowolą? Czy może z nudy i bezczynności jednego dnia zechce się im poszerzenia „przestrzeni życiowej”? A z drugiej strony, jadąc pociągiem przez

Brandenburgię czy Meklemburgię dziesiątkami kilometrów nie uświadczysz ni wioski, ni ludzi.

Mimo wszystko będziemy mieli do czynienia ze zmienionym geopolitycznie, gospodarczo i duchowo państwem. Jeszcze nie nastąpiła osmoza niemieckiego Zachodu i Wschodu, jeszcze są żywe odmienne doświadczenia, sposób bycia i życia, mimo stosunkowo krótkiego czasu, mocniejsze niż pomiędzy zaborami w odrodzonej Polsce po 1918 roku. Berlin będzie przyciągał do siebie, choć może nie tak jak dawniej. Będzie stolicą, ale już nie gospodarczym pępkiem Niemiec, jak przed obydwoma wojnami. Wydawca i autor, Siedler biadoli w prasie, że Berlin nie będzie miał tych sił odżywczych co dawniej – polskich Ślązaków i Żydów z Galicji. To prawda, ale regeneracja Berlina to Turcy z Anatoli, którzy już zmienili krajobraz miasta. Przybywa coraz więcej Żydów z Rosji, Ukrainy i krajów bałtyckich. Wszystko zrusyfikowane. Żydzi niemieccy przestraszeni, bo w gminie i synagodze wszystko po rosyjsku. Coraz więcej słychać rosyjskiego na ulicach Berlina. Ukazuje się kilka pism jak *Russkij Berlin* czy *Jewropa-Centr*. Wszystkie kiepskie. To nie to, co było po rewolucji 1917 roku z Nabokowem, Ehrenburgiem, Szklowskim, mieńszewikami i kadetami. Do niedawna rządili Żydzi z Polski, Jerzy Kanał z Warszawy i inni. Prezesem wszystkich Żydów w Niemczech jest wciąż jeszcze Ignac Bubis, też z Polski. Ale masa jest z Ukrainy, głównie z Odessy. Jeszcze bez wielkich ambicji i możliwości, ale już się powoli rozkręca, a Ukraina zresztą jak i Polska nie dba o związki z tą społecznością, która od stuleci była częścią naszego regionu i naszej wspólnej cywilizacji.

Między Berlinem a Polską tętni życie. Wystarczy wsiąść do pociągu na linii do Poznania i Warszawy. Codziennie rzesza przemysłowców i kupców. Jadą do przedsiębiorstw, które produkują towary dla Niemiec. Co za kontrast w porównaniu z ruchem kolejowym na granicy Polska-Ukraina! W warszawskich hotelach bez przerwy konferencje polsko-niemieckie, urządzone przez przemysłowców i bankierów albo przez bardzo aktywne niemieckie fundacje polityczne, chadecką Konrada Adenauera i socjaldemokratyczną Friedricha Eleita oraz Polski Ośrodek Studiów Międzynarodowych pod kierownictwem byłego ambasadora Warszawy w Bonn,

Janusza Reitera. Ogromny wpływ niemieckiego kapitału w środkach masowego przekazu, zwłaszcza w prasie regionalnej. Tylko Czechy stały się jeszcze bardziej widoczną domeną tych wpływów.

Znowu w Warszawie. Od czasu śmierci Wiktora Woroszyńskiego a ostatnio Zbyszka Herberta powstały nowe dziury w moich polskich przyjaźniach. Na zawieranie nowych już nie ma czasu, zresztą tego, co się wspólnie przeżyło, nie można z innymi powtórzyć. O bardzo długiej i trwałej przyjaźni z Wiktorem już kiedyś pisałem. Z Herbertem była trudniejsza i przebiegała w nierównych etapach. Nasze stosunki były bardzo specyficzne. Łączyła nas przekora i sceptycyzm wobec otaczającego świata. Zbyszek był dziwną mieszaniną bazylijskiej złośliwości z dobroduszną naturą małego niedźwiadka.

Odejście Herberta zaskoczyło mnie na odpoczynku w bawarskiej prowincji, więc nie zdążyłem pojechać na pogrzeb. Odkąd zaczynają nagminnie odchodzić przyjaciele, coraz bardziej odchodzi ochota brania udziału w tych ceremoniach, gdzie każdy z uczestników patrzy na drugiego pod kątem widzenia kandydatury na następnego do grobu.

Pojechałem do Warszawy latem i jeszcze raz jesienią. Za każdym razem z niewesołym rezultatem. Nie wiem na czym to polega, ale współczesna stolica Polski, znakomicie się rozwijająca, pyszna rosnącym bogactwem bogatych i arogancją nowobogackich, rosnąca kastowością polityków, urzędników, pośredników, wszelkiego rodzaju lobbistów, ubierających się po zachodniemu i stale kwaczących komórkowych telefonów, nawet w restauracjach i kawiarniach, i w swej masie stanowiących śmieszny karykaturę pierwotnego wzoru zachodniego, jest mało przyciągająca, a raczej odpychająca. Wszyscy są tacy ważni, że coraz trudniej znaleźć normalnych ludzi, którym polski „cud gospodarczy” jeszcze nie zamącił zdrowego rozsądku.

Odbija się to niestety na stosunkach polsko-ukraińskich. Obydwaj prezydenci Kuczma i Kwaśniewski robią co mogą i nawet nieźle, ale działają jakby w próżni, zawieszani wysoko nad naszą równiną od Odry po Dniepr i Doniec. Pod nimi

nieomal polityczna i społeczna pustka. Nawet skądinąd bardzo pożyteczny komitet międzypaństwowej współpracy przy prezydentach, niegdyś za czasów Milewskiego prężny i pomysłowy, ostatnio stał się kanapową instytucją. Na urzędzonej przez Czesława Bieleckiego, jako przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Sejmu i naszego starego przyjaciela, wygarnąłem wszystko co miałem na wątrobie i – jak na mnie – nawet ogłędnie. Bielecki, który moim zdaniem za mało się przykłada do tych spraw, próbował oponować. Tak samo ukraiński ambasador, niejako z musu, Sardarczuk. Podtrzymał mnie tylko Zygmunt Berdychowski – z koalicji rządowej i Longin Pastusiak z opozycji. Ogólne wrażenie – bardzo niedobre, wbrew dobrym intencjom gospodarzy.

I jeszcze jedno spotkanie warszawskie, zainicjowane z ramienia Fundacji imienia Batorego, z wybitnymi ludźmi z Ameryki, Francji, Polski, Rosji, Ukrainy. W analizie nic nowego, zaczynamy się kręcić w kółku własnych błędów i mylnych przepowiedni. Chaos jest większy niż ktokolwiek przypuszczał. Okazuje się, że nie można znaleźć wspólnej miarki dla Rosji, Polski, Ukrainy i powiedzmy Kazachstanu, nie mówiąc już o bliższej geograficznie Białorusi. Tylko Zbigniew Brzeziński próbuje wnieść w debaty element realizmu. W dzień później, już w innym środowisku amerykańsko-polskim, będzie nawoływał do współpracy z Ukrainą. Na jego wniosek powstaje komisja amerykańsko-polsko-ukraińska do wdrażania lub przejmowania reform. Brzeziński stał się ostatnio też orędownikiem rozszerzenia tak zwanego trójkąta weimarskiego Francja-Niemcy-Polska na Ukrainę, jak dotąd z miernym poparciem Warszawy i prawie żadnym Bonn i Paryża. Moi przyjaciele z uniwersytetów niemieckich, polskich i ukraińskich wystartowali z podobną ideą, ale bez wielkiego echa. Obecnie nie można niczego załatwić bez pomocy wszechwładnych koncernów techniki informacyjnej, przede wszystkim telewizji.

W *Gazecie Wyborczej* Berdychowska i Kuroń biją na alarm, że jest źle, że nic się nie dzieje między Warszawą i Kijowem. Zupełnie przestały działać specjalnie do współpracy powołane instytucje parlamentarne i forum polsko-ukraińskie złożone z wybitnych osobistości. Do tych jak najbardziej prawdziwych żalów dodam jeszcze moje pretensje, że z

olbrzymiego projektu dwóch rządów z roku 1993 nie pozostało nic. Tu zresztą zawinił dyrektor Instytutu Wschodnio-Europejskiego w Lublinie, Jerzy Kłoczowski, który nie wywiera widocznie odpowiedniej presji na urzędników.

15.11.1998

Bohdan OSADCZUK

KRONIKA UKRAIŃSKA

Pod koniec 1998 roku doszło do ważnego wydarzenia w stosunkach rosyjsko-ukraińskich. 25 grudnia głosami większości 246 deputowanych w rosyjskim parlamencie – Duma ratyfikowała układ o przyjaźni i współpracy pomiędzy Rosją i Ukrainą (podpisany 31 maja 1997 roku w Kijowie przez prezydentów Kucznię i Jelcyna), gwarantujący obecne granice państwa ukraińskiego, włącznie z Krymem i Sewastopolem. Przeciwno ratyfikacji głosowało 30 deputowanych z partii Żyrynowskiego. Prezydent Kuczma określił akt ratyfikacji jako „historyczna data” w stosunkach z Rosją i telefonicznie podziękował Jelcynowi za konsekwentną pozycję w obronie układu. ■ Ministerstwo Spraw Zagranicznych Ukrainy pod kierownictwem nowego szefa Borysa Tarasiuka przeprowadziło szereg narad z resortami polityki zagranicznej Polski i Węgier w celu podjęcia wspólnych wysiłków dla zapobieżenia – po przyjęciu tych krajów do Unii Europejskiej – powstania nowego typu *cordon sanitaire*, odgradzającego Ukrainę od swych zachodnich sąsiadów i od Europy. ■ Sprawom aktywizacji zachodniej dyplomacji i myśli politycznej w sprawach ukraińskich była poświęcona międzynarodowa konferencja w końcu listopada 1998 w Toruniu, zwołana z inicjatywy dyrektora Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej, Jerzego Kłoczowskiego, pod hasłem: „Francja, Niemcy, Polska, Ukraina wobec wyzwań europejskich”. Najliczniejsze były

reprezentacje Polski i Ukrainy. Orędownikiem takiej pozostawionej współpracy był Zbigniew Brzeziński z USA. ■ W ciągu całego ubiegłego roku dyplomacja ukraińska była czynna nad utwierdzeniem tak zwanego „kaukaskiego korytarza”, znanego jako GUAM (Gruzja – Ukraina – Azerbejdżan – Mołdawia). Chodzi przy tym o dwa zagadnienia: wytworzenie politycznej formacji regionalnej i uruchomienie połączeń transportowo-handlowych dla dostaw ropy z Morza Kaspijskiego od Azerbejdżanu, poprzez porty gruzińskie, tankowcami i promami do Odessy stąd przez Brody do Gdańska.

B.O.

„Bądźmy rodziną!”

IX POLSKO-CZESKIE DNI KULTURY CHRZEŚCIJAŃSKIEJ

Polsko-Czeskie Dni Kultury Chrześcijańskiej mają na celu przełamywanie wielu barier i zakorzenionych stereotypów w stosunkach polsko-czeskich. Jedną z akcji jest upominanie się za pomocą spontanicznych manifestacji społecznych o otwarcie nowych przejść granicznych między Polską i Czechami (otworzono ich już kilkanaście). Zaskoczone władze w Pradze i Warszawie nie mogły zrozumieć, że ruch kultury chrześcijańskiej żąda otwierania granic! Ale – jak organizatorzy tłumaczą – właśnie wspólne korzenie chrześcijańskie pozwalają mieć nadzieję, że po 40 latach antypolskiej propagandy w Czechosłowacji, nastąpi wreszcie okres wspólnej pracy na rzecz edukacji społeczeństwa, przede wszystkim – młodzieży.

Dziewiąte Dni odbyły się jesienią ub.r. pod hasłem „Bądźmy rodziną!”. Na ich otwarcie w Jaroměřu w Republice Czeskiej przybyli – ambasador czeski Karel Stindl, kardynał

Henryk Gulbinowicz z Wrocławia, polski konsul generalny z Pragi Zbigniew Obidowski oraz senator Leon Kieres, wiceprzewodniczący Komisji do spraw Samorządu w Radzie Europy.

W tym roku Dni zostały zorganizowane na terenie województw wrocławskiego i jeleniogórskiego, wzdłuż prawie 300 km granicy polsko-czeskiej (30 miejscowości w Polsce i 20 w Czechach).

W programie była konferencja nauczycielstwa ze szkół pogranicza p.n. „Sąsiedztwo polsko-czeskie w podręcznikach, programach i praktyce szkolnej na pograniczu”, poświęcona wypracowaniu zasad nauczania regionalnego w szkołach; w Wambierzycach, odwiecznym miejscu pielgrzymek Polaków, Czechów i Niemców, lokalni artyści przygotowali wystawę, która odbyła się w Radkowie; miały też miejsce tradycyjne spotkania miejscowych przedstawicieli różnych zawodów (dziennikarze, pisarze, bibliotekarze, lekarze).

Główną imprezą był również tradycyjny Pociąg Radości, włączający w program Dni dzieci i młodzież.

Pociąg ruszył z Jaworzyny Śląskiej z 500 dziećmi i dotarł do Barda Śląskiego na pograniczu kultu maryjnego. W czasie 12-godzinnej podróży dzieci brały udział w plastycznym konkursie „Bez nałogów w pociągu radości”. Po mszy na Górze Kalwarii młodzi pielgrzymi posilili się grochówką w szkole podstawowej w Bardzie, popisywali się śpiewem i bawili z niepełnosprawnymi dziećmi z Państwowego Domu Wczasów Dziecięcych.

Pielgrzymki są okazją do corocznych spotkań Polaków i Czechów z pogranicza, którzy chętnie biorą w nich udział. Czesi pielgrzymują do Wambierzyc, Częstochowy, Gniezna i Wrocławia, a Polacy szczególnie chętnie udają się do Pragi i Příbramu. W tym roku odbyły się liczne pielgrzymki do Hradec Kralove, gdyż Papież ogłosił rok 1998 Rokiem Ducha Św., a tam właśnie istnieje jedyna w Europie katedra pod wezwaniem Ducha Św.

Rezultatem tych wszystkich działań jest solidarność społeczeństwa, zamieszkującego pogranicze, której jednym z dowodów była wspólna troska w czasie powodzi.

Rozpoczęte w latach 80-tych wspólne akcje solidarności polsko-czeskiej przynoszą dobry owoc i można mieć nadzieję, że staną się na zawsze trwałym elementem życia pogranicza.

Julian GOLAK

Sprawy i troski

W ostatnim czasie coraz liczniejsi Polacy mieszkający na Zachodzie odwiedzają Polskę. Ich oceny są różne: od entuzjastycznych do bardziej krytycznych. Zamieszczamy poniżej kilka takich relacji. Kultura poświęca dużo miejsca ocenie sytuacji w kraju. Głównie w artykułach-reportażach Smecza i Ewy Berberysz. Chcemy przeprowadzić ankietę wśród naszych czytelników, jak oceniają ich naświetlenia. Prosimy więc o nadsyłanie swych opinii. Z powodu braku miejsca prosimy o wypowiedzi b. lakoniczne.

REDAKCJA

Polskie niespodzianki

Jak co roku od dziesięciu lat znowu byłem w Polsce, tym razem w czerwcu przez trzy tygodnie. Głównie w Warszawie, ale także w Krakowie, Toruniu i Gdańsku. Jak zawsze, poruszałem się prawie wyłącznie środkami komunikacji miejskiej, a pomiędzy miastami jeździłem koleją (II-gą klasą) i raz – z Warszawy do Torunia – pośpiesznym autobusem „Polski Ekspres”. Podkreślam to dlatego, że regularność (i częstotliwość) moich wizyt, a także sposób poruszania się daje dobrą perspektywę obserwacji. Istotne, bo wielu moich znajomych żyjących w Polsce, nie mówiąc już o odwiedzających z zagranicy, jeździ prawie wyłącznie samochodem. Daje to oczywiście krzywe spojrzenie na szereg spraw, choć taka ignorancja nie przeszkadza bynajmniej w autorytatywnych (głównie krytycznych) wypowiedziach.

Wszyscy wiemy, że sprawy w Polsce „posuwają się do pro-

du”, choć tempo zmian, różne przeszkody czy anomalie stanowią dla wielu źródło zawodu i zrozumiałej krytyki. Ogólnie rzecz biorąc, zakres i tempo zmian jest niewątpliwe. Dzisiaj ci, którzy zadają słuszne do niedawna pytanie, czy coś się zmieniło i czy „idzie ku lepszemu” spotykają się ze wzruszeniem ramion, bo odpowiedź jest oczywista. Z pewnością można spotkać i ludzi, którzy temu zaprzeczają, a nawet tęsknią do przeszłości. Ale ich ocena otaczającej rzeczywistości będzie bardzo zabarwiona subiektywną (i często pożałowania godną) sytuacją. Z drugiej strony regularna lektura Smecza i Ewy Berberysz „Kartek ze skażonej strefy” chronią mnie z pewnością przed ewentualną tendencją do popadania w jakąś euforię, po kolejnej wizycie.

Chciałbym tutaj podzielić się garścią spostrzeżeń ogólnych, a czasem subiektywnych.

Gościnne koleje państwowe. Jest ogólnie wiadomo, że koleje w Polsce funkcjonują dobrze. Są na ogół punktualne i dość czyste, choć – nie trudno zrozumieć – wagony nie są najnowszej konstrukcji i w ciągu nadchodzących lat będą wymagały stopniowej modernizacji i wymiany. Dalekobieżne pociągi mają wagony restauracyjne, czy wagony bufety, zupełnie na poziomie innych kolei europejskich. Ale jest pełnym zaskoczeniem, iż w pociągach *intercity*, nawet w II-ej klasie, pasażerowie otrzymują... poczęstunek! Jest to kawa z kanapką albo – w jej braku – soczek owocowy w hermetycznym kartoniku i herbatniczki. W tym ostatnim wypadku, dziewczyna roznosząca poczęstunek... przeprasza za jego skromność. Osobiście bardzo lubię jeździć koleją i często w Europie korzystam z tego środka transportu. Przyznać muszę jednak, że nigdzie indziej nie spotkałem podobnego przypadku kolejowej gościnności.

Elektronika na pocście. Dzielnicowy urząd pocztowy koło pl. Wilsona na Żoliborzu (w Warszawie) nie odbiega niczym *in minus* od podobnych instytucji na Zachodzie. Zakres usług (np. sprzedaż materiałów piśmiennych) oraz zachowanie personelu nie mogą budzić zastrzeżeń. Podziw natomiast wzbudzać powinna sygnalizacja elektroniczna, zapewniająca właściwą kolejność obsługi klientów w poszczególnych

okienkach. Wchodząc na pocztę każdy bierze ze specjalnej maszyny numerek i czeka, aż w odpowiednim okienku ukaże się elektronicznie jego numer. Tu w Australii posiadamy takie nowoczesne systemy w niektórych urzędach (np. w Biurze Ruchu Kołowego). Rzecz w tym, że na poczcie w Warszawie taki numerek trzeba wykupić nawet wtedy kiedy się stoi... po dwa znaczki.

Komunikacja miejska. Na terenie Warszawy (i innych dużych miast, w których byłem) funkcjonuje ona znakomicie. Częstotliwość tramwajów i autobusów jest doskonała, poruszają się one sprawnie, a – co najważniejsze – kursują według rozkładu jazdy wywieszonego na każdym przystanku. Mój znajomy Australijczyk twierdził, że w ten sposób... regulował zwykle swój zegarek, choć to chyba już przesada. Wszystko to nie było zaskakujące – znałem to już z poprzednich wizyt. Natomiast ze zdziwieniem stwierdziłem sporą ilość nowych autobusów kursujących w Warszawie. Wiedząc o trudnościach budżetowych z jakimi borykają się wszelkie samorządy (a także pomny głosów krytyki wobec prezydenta Warszawy), niespodzianką były nowe niskopodłogowe autobusy, w pełni porównywalne z nowoczesnym taborom w innych krajach. Nie można tego niestety, przynajmniej w Warszawie, powiedzieć na razie o tramwajach. Spełniają one wymogi punktualności i szybkości, ale wagony są stare i wyposażone jedynie w podstawowe urządzenia dla wygody i bezpieczeństwa pasażerów.

Info-Radio. Zagospodarowując się w mieszkaniu w Warszawie otworzyliśmy radio i... odtąd słuchaliśmy stale tej samej stacji. Funkcjonuje ona całą dobę i co pół godziny (może trochę za często?) nadaje wiadomości serwisu BBC. Nie ma prawie muzyki, za to przez wiele godzin toczą się z udziałem słuchaczy dyskusje na najprzeróżniejsze tematy. Forma audycji nie jest nowa – nazywa się to *talk-back radio*. Zaskakuje jednak zakres oraz poziom prowadzonych dyskusji. Słuchaliśmy więc audycji na tematy polityczne (bieżące polskie oraz międzynarodowe), a także społeczne (narkomania, szkolnictwo, bezpieczeństwo publiczne, przerywanie ciąży, ochrona środowiska i wiele wiele innych). Ponadto na

tematy ogólne (o hodowaniu psów, o miłości, racjonalnym odżywianiu, o instalowaniu drzwi zabezpieczających przed kradzieżą, a nawet o... wróżeniu). Uderzało dobre przygotowanie do tematów prowadzących audycję dziennikarzy, którym często sekundowali zaproszeni do studia specjaliści z określonych dziedzin. Audycje były pełne dobrej informacji i kontrowersji, i charakteryzowały się dużym taktem w odpowiedzi na pytania słuchaczy, którzy dzwonili w czasie audycji.

Nie chcę twierdzić, że Info-Radio stworzyło precedens w tego rodzaju programie. Z innych krajów wiem jednak, że mają one często charakter sensacyjny, stają się popisem erudycji i powierzchownej wiedzy dziennikarzy itd. Program Info-Radio był na wysokim, przykładowo godnym poziomie.

Teatry jednak nie upadły... Doskonale pamiętam krzyk i lament jaki podniósł się wokół przyszłości teatrów po upadku komunizmu i cofnięcia (lub zmniejszenia) mecenatu państwowego. Przyzwyczajeni do synekury artyści widzieli czarno swą przyszłość, a podniesienie cen biletów miało rokować całkowity upadek (?). W ciągu trzech tygodni byliśmy na sześciu przedstawieniach teatralnych w Warszawie. Bilety, choć tanie na stosunki zachodnie, kosztują jednak co najmniej kilkadziesiąt złotych. Mimo końca sezonu i nadchodzącej letniej kanikuły sale były pełne. Z pewnością świadczy to, że wiele osób może sobie pozwolić na tego rodzaju rozrywkę. Co ważniejsze, w jednym z teatrów (na Ochocie), na końcu przedstawienia, które było ostatnie w tym sezonie, jeden z aktorów (zapewne członek kierownictwa teatru) podziękował widzom za poparcie i poinformował o pracach modernizacyjnych, które będą wykonane w najbliższej i dalszej przyszłości. Odczuliśmy, że mówi nie aktor-pracownik, ale gospodarz i zwraca się do swojej lokalnej społeczności.

„Zapraszam”. Z przyjacielem poszedłem na (bezpłatny) koncert kameralny w Łazienkach. W ramach niedzielnych koncertów „Pod Lipą” występowała tym razem ukraińska orkiestra ze Lwowa. Po koncercie musiałem się udać do „świątyni dumania” i z wielką ulgą spostrzegłem specjalny

pawilonik koło Białego Domu, w którym odbywał się koncert. Po jednej stronie było „Dla Pań”, po drugiej „Dla Panów”, a pośrodku (z okienkami na obie strony) urzędowała dyrekcja tej pożytecznej instytucji. Było nieskazitelnie czysto, pachnąco, wychodzić się wprost nie chciało. Wręczając monetę naszej Madame, podziękowałem spontanicznie za ten stan rzeczy. Uśmiechnęła się z wyraźną przyjemnością i powiedziała: „zapraszam”. W ponurych czasach PRL-u to słowo było zdecydowanie nadużywane i widniało na tabliczkach zamkniętych, czy na wpół pustych sklepów czy punktów „nieobsługi”. W tym wypadku było ono pełne uzasadnionej treści.

Banki w ratuszu. Piękny jest odbudowany ratusz na warszawskim Placu Teatralnym. Urodą dorównuje paryskiemu Hotel de Ville. Niespodziankę stanowi wnętrze ratusza. Zamiast – jak się spodziewamy – Rady Miejskiej mieszczą się tu... banki: Bank Rozwoju Eksportu oraz CITI-BANK. Nowoczesna, futurystyczna architektura stanowi kontrast z wyglądem gmachu z ulicy. Ale to chyba dobre i logiczne rozwiązanie. Mówiąc o bankach warto wspomnieć, że stopa procentowa w lokatach złotówkowych jest bardzo korzystna. Zachęci ona z pewnością do przenoszenia pewnych inwestycji z zagranicy – do Polski.

Rozszerza się świat... Z poprzednich wizyt w kraju przyzwyczailiśmy się już do smutnego zjawiska: my pytaliśmy o wszystko, interesowaliśmy się nimi. Oni o nic nie pytali, nie wykazywali żadnego zainteresowania nami. Ponieważ była to postawa dość powszechna, staraliśmy się zrozumieć przyczyny. Doszliśmy do wniosku, że wynikało to z jednej strony z lat izolacji, z drugiej może z załamania i konieczności zorganizowania egzystencji w nowych nieznanych warunkach. Może pokutowało i przy tym przekonanie, że nam żyjącym na Zachodzie i tak o wiele lepiej się powodzi – jesteśmy „szczęściarze”. Kiedy więc teraz zjawiłem się u swych przyjaciół przygotowany byłem, że będziemy znowu mówili tylko o nich. Przed kilku laty założyłem się nawet z ich synem, że jednak wolny rynek stworzy wielkie możliwości dla przedsiębiorczych młodych ludzi – był całkowitym (i bardzo

wygadanym) pesymistą. Jakież więc było moje zdziwienie, kiedy niemal „od progu”, gdy tylko usiadłem, oni zaczęli mnie wypytywać o sprawy... australijskich aborygenów, o odbieranie im przed laty dzieci przez białych i wiele tym podobnych spraw. Byli nie tylko świetnie poinformowani, ale zaczęli interesować się szerokim światem. Potem okazało się, że syn jest już obiecującym biznesmenem, córka (inżynier) jest także radną miasta i zamierza znowu kandydować w nadchodzących wyborach samorządowych. Może ktoś powie, że z jednej rozmowy nie powinienem wyciągać ogólnych wniosków. Ale to jest tylko przykład: takich niespodzianek miałem szereg (choć zdarzały się także i przypadki dawnego horyzontu-zaścianka).

Kilka cyfr. W opublikowanym w czasie mojego pobytu sondażu ponad 35% ankietowanych powiedziało, iż zarabia tyle, iż „mogą oszczędzać lub inwestować”. To bardzo znaczna część jak na biedny przecież kraj. Inflacja wynosi 11% czy 12% – rząd zapowiada, że niedługo powinna zejść poniżej 10%. A przecież niedawno wyśmiewano się z ówczesnego wicepremiera Kołodki, który obiecywał obniżkę do... 17%. Bezrobocie wynosi 9,8% w skali ogólnokrajowej, choć w niektórych rejonach kraju czy miastach dochodzi do 20%, zaś w Warszawie czy Krakowie ponoć równa się zeru, ba, nieraz brak jest rąk do pracy. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy tego roku sprzedano ćwierć miliona nowych samochodów. W skali rocznej ma to być pół miliona, a za dwa czy trzy lata – milion nowych samochodów. Korki w miastach, brak dostatecznej infrastruktury, opóźnienia w programie budowy autostrad – wszystko to wywołuje zrozumiałą niepokój, iż Polska zatka się taką ilością samochodów. Już teraz na drogach jeździ 7 milionów samochodów osobowych. Zakładając przeciętną czteroosobową rodzinę, wynika z tego, że blisko 70% rodzin posiada jakiś (stary lub nowy) samochód. Jakby nie było świadczy to w jakimś stopniu o poziomie zamożności. Jeśli idzie o masowe budownictwo mieszkaniowe, to wiemy, że nie ruszyło jeszcze ono z martwego punktu. Za to Warszawa – jak mi mówił w zeszłym roku przypadkowo spotkany inżynier Austriak – to największy w tej części Europy plac budowy. O ile dobrze pamiętam wy-

mienił 62 duże budowy – nic dziwnego, iż wzdłuż Alei Jana Pawła II-go zobaczyliśmy szereg nowych domów, głównie biurowców ale i kilka mieszkalnych, których przed rokiem jeszcze tam nie było. Dużo nowych willi, a pod Płockiem (chyba z powodu rafinerii?) las dźwigów – dziesiątki domów mieszkalnych. Od początku roku bieżącego dopływ zagranicznego kapitału wyrażał się kwotą około 4 i pół miliarda dolarów. Do końca roku cyfra ta ma wynieść 9 miliardów – największa we wszystkich krajach postkomunistycznych (chyba nie licząc Niemiec Wschodnich?).

Koalicja dotychczas przetrwała... Chyba i to należy wymienić jako niespodziankę. Bo przecież pamiętamy, że rok temu, niemal zgodnym chórem przewidywano, że rozpadnie się... zaraz po wyborach. Że życie polityczne III-ej RP, jego poziom i styl, pozostawia wiele do życzenia – mówią nam z uzasadnieniem stali obserwatorzy, jak Krzysztof Wolicki, czy zawsze dowcipny i pełen erudycji Smecz. Powoli jednak, na pewno zbyt powoli, ale posuwają się reformy gospodarcze i społeczne. Przyjęto nas do NATO (wbrew krakaniu pesymistów), przygotowano reformę górnictwa i hutnictwa, a ostatnio sprzedano nawet (!) „nieuleczalną” Stocznię Gdańską. A jeszcze na dodatek osiągnięto kompromis w sprawie ilości województw. A w początku czerwca, w chwili mojego przyjazdu do Warszawy wyglądało na to, że (12, 15 czy 17?) wszystko się rozpadnie i będzie... koniec świata.

●
Wszystkie przytoczone „niespodzianki” mogą nasunąć wrażenie zbyt optymistycznej relacji. Dlatego, dla równowagi, przytoczę kilka negatywnych obserwacji. Nie będą one miały charakteru niespodzianek, a to dlatego, że ilustrują bolączki dobrze nam znane. Niech więc zasygnalizują, że wiele z nich istnieje nadal. Najważniejsza z tych spraw to służba zdrowia. Osobiście, z okresu ostatnich dwóch lat, znane mi są trzy przypadki zaniedbania szpitalnego w czasie lub po przeprowadzonej operacji, które niemal nie zakończyły się śmiercią pacjentów.

Dworzec Centralny w Warszawie (niezależnie od kocz-

jących bezdomnych) nie odbiega od innych w dużych miastach na Zachodzie. Ale kiedy pewnego dnia, z powodu uszkodzenia toru, musieliśmy wysiąść na odległym o kilkaset metrów przystanku Warszawa-Śródmieście (chyba zwykle nie używanego), smród dochodzący z zalanych moczem ścian i podłogi był dominujący. Na schodach czy w podwórzach niektórych domów nadal natykaliśmy się na pijackie libacje. A kłótnia pomiędzy dwiema ordynarnymi paniami (???) w jednym z warszawskich autobusów byłaby w cywilizowanym świecie nie do pomyślenia. To taka „garstka” obserwacji z dziedziny „nie-niespodzianek”.

Na pewno obecnej Polsce daleko jeszcze do raj. Ba, nawet do pełnej stabilizacji normalnego kraju. Ale ogólnie wyczuwalna atmosfera jest pełna nadziei na lepszą przyszłość. I to chyba pod każdym względem. Oczywiście zaczną się nowe problemy, znane już na Zachodzie. A może niektóre (np. szerząca się narkomania i przestępczość wśród młodzieży, obsmarowywanie graffiti niektórych podmiejskich wagonów kolejowych) już się zaczęły?

Mój warszawski przyjaciel, któremu nie tak dawno „cyknęła” siedemdziesiątka i który nadal pracuje, podsumował to wszystko krótkim zdaniem: „Wiesz Jurek, urodziliśmy się trochę za wcześnie”.

Jerzy BONIECKI

„Bo u nas w Polsce...”

Od początku tego roku we Francji, a przypuszczam, że również w pozostałych krajach Wspólnoty Europejskiej, trwała polska kampania turystyczna. Przedstawiano w niej Polskę jako kraj zabytków, sławiono uroki krajobrazu oraz polską gościnność. Postanowiliśmy więc i my spędzić wakacje w Polsce, choć dla mego męża wakacje są synonimem słońca

i gorącego, nadmorskiego piasku. Na decyzji zawazyły względy sentymtalne: chciałam moim synom (7 i 4 lata) pokazać choć cząstkę kraju mojego dzieciństwa.

Do Warszawy przylecieliśmy samolotem licząc, że na miejscu wynajmiemy samochód, jak to robiliśmy w krajach Wspólnoty. Okazało się, że nie jest to ani łatwe, ani tanie. Międzynarodowe firmy istnieją co prawda ale ich ceny są wyższe niż na Zachodzie. Jak nam tłumaczono, są ku temu dwie przyczyny: samochody wypożyczają z reguły firmy a nie indywidualne osoby, a te mniej się liczą z groszem niż turyści; w koszt wypożyczenia wlicza się ryzyko kradzieży. Bo kradzieże samochodów są codziennością. Łupem padają przede wszystkim marki zagraniczne. Wieść gminna rozdyma fakty, tak że trudno się zorientować w realnym niebezpieczeństwie. Uprzedzano nas, że nie ma co liczyć na pomoc policji, która co najwyżej poinformuje poszkodowanego jak powinien się chronić przed kradzieżą. Faktem jest, że francuskie ubezpieczenia nie obejmują kradzieży samochodów w Polsce. Pracownicy Bouygues'a zatrudnieni w Polsce – całkiem liczni – są proszeni o pozostawienie własnych samochodów we Francji, gdyż firma nie będzie pokrywała kosztów ewentualnej kradzieży.

Nie chcąc przepłacać zdaliśmy się na firmy polskie. Jest ich sporo, przynajmniej w Warszawie. Niezastąpionym źródłem informacji okazała się *Gazeta Wyborcza*. Wielość firm nie zapewniała jednak bogatego wyboru. Większość z nich dysponowała skromnym, a co ważniejsze, przeważnie zużytym parkiem samochodowym. Małe może być piękne ale nie w każdej dziedzinie. Szukanie samochodu zabrało nam trzy cenne dni wakacyjne. W pierwszej firmie, której adres przekazuje się zaufanym, bo jej właściciel jest rzetelny i tani, w sposób uprzejmy oblano mnie zimnym prysznicem: droga pani, samochód na cały miesiąc zamawia się u mnie na co najmniej cztery miesiące z góry. Cóż miałam odpowiedzieć, że cztery miesiące temu nie byłam jeszcze pewna miejsca swoich wakacji. Inni odpowiadali podobnie lub proponowali stare, niekiedy brudne gruchoty, a ich ewentualne naprawy obciążać miały użytkownika. W końcu znaleźliśmy wolnego golfa, którego cena wypożyczenia jak na warunki polskie i stan samochodu była możliwa do zaakceptowania.

Jak się później okazało, nie był on tak sprawny na jakiego z pobieżnego sprawdzianu wyglądał: po prostu ruszał kiedy chciał. I zupełnie jak z wiersza Tuwima o rzepce, tyle że zamiast ciągnąć, trzeba go było za każdym razem popchnąć by zechciał ruszyć. Pchałam ja, pchali synkowie i przygodne osoby, które zechciały nam pomóc. Nikt z nich nie odmawiał sobie przyjemności by wyrazić zdziwienie, że nie przyjechaliśmy własnym samochodem (samochód w Polsce jest jednym z najważniejszych wyróżników społecznych nawet jeśli jest stary i nędznej marki) a zarazem postraszyć opowieściami o ich kradzieżach i o okrucieństwach mafii rosyjskiej, która jakoby te kradzieże organizuje. Gdy wspomniałam, że we Francji uważa się Polaków za najlepszych złodziei samochodów, patrzono na mnie ze zdumieniem albo z krytycznym niedowierzaniem.

W wyniku tych wszystkich opowieści poczuliśmy się bohaterami współczesnego westernu, w którym nikt nie jest pewien kiedy bandyta, przepraszam rosyjski mafioso, napadnie na samochód a nas puści (jeśli puści) bez bagaży w pole. Przejęździliśmy sporo i nic się nam nie stało. Widać św. Krzysztof, patron podróżnych, miał nas w łaskawej opiece. W Warszawie „nasz” golf sprawował się bez zarzutu. Doszliśmy do wniosku, że nie lubił mazurskiego powietrza. Gdy go oddawaliśmy, mąż kąśliwie zauważył, że jeśli się żąda cen europejskich to samochód powinien odpowiadać standardom europejskim, zwłaszcza bezpieczeństwa. Wówczas usłyszeliśmy znane nam już tłumaczenie, zaczynające się od zwrotu: „Bo u nas w Polsce...”. Za każdym razem gdy upominaliśmy się o wypełnienie zaciągniętych zobowiązań lub gdy okazywaliśmy zdziwienie z powodu nierzetelnie wykonywanej pracy, zaczynał się długi wywód od: „Bo u nas w Polsce był komunizm, są ogromne podatki i niskie zarobki, idiotyczne przepisy, kliki” lub też „nieudacznicy w rządzie” itd, itp. „Bo u nas w Polsce” miało być elegancką formą rozgrzeszenia z własnej nieudolności, lenistwa i zachłanności. Kupa gnoju na ulicy przed wiejskim gospodarstwem nie ma nic wspólnego z komunizmem tak, jak nie ma z nim brudny fartuch sprzedawczyni. Chęć dorobienia się jak najszybciej, za wszelką cenę, połączona z lekceważeniem klienta nie ma nic wspólnego z wysokością podatków i politykami w Warszawie.

Ale historiozoficzne tłumaczenia są niezwykle wygodne: znakomicie podtrzymują własne samopoczucie, zwalniając jednocześnie z jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Wakacje spędzaliśmy nad Wigrami. Mieszkaliśmy w leśniczówce w doskonałych warunkach, w ładnym otoczeniu u miłych gospodarzy. Okolica piękna, jeszcze piękniejsza gdy nie pada, niestety padało. Szybko się okazało, że w taką pogodę nie bardzo wiadomo czym zająć dzieci. Zresztą nie wiadomo czym ich zająć jak jest pogoda. Na szczęście dla nas, gospodarz miał wspaniałego psa i on stał się główną atrakcją wakacji, wspominaną po dzień dzisiejszy. Nad Wigrami (czy tylko tam?) nic nie jest przygotowane dla maluchów. Jestem przyzwyczajona do tego, że w każdej dziurze wakacyjnej we Francji są zainstalowane jakieś atrakcje dla dzieci: piaskownice, zjeżdżalnie, drabinki, wypożyczalnie rowerów, kucyków itp. A tu nie było nic. W niedalekich Sejnach nie było nawet byle jakiej karuzeli. I to w kraju, w którym z radia bez przerwy leją się potoki słów o wartości rodziny i cnocie wielodzietności.

Upredzam rodziców z małymi dziećmi: Nie jedźcie nad Wigry. To może być raj dla żeglarzy, dla zakochanych, dla miłośników lasów i grzybobrania, ale nie dla rodziców z dziećmi. Wigry mogą być rajem, ale póki co, nim nie są. Przeciętni mieszkańcy, wśród których jest wielu bezrobotnych, żyją marnie, ale turystów nie lubią, zwłaszcza zagranicznych. Wiąże się to ze sprawą szerszą. Dla niektórych stałych mieszkańców, wśród których są przybysze z Warszawy i innych miast, niekiedy posiadaczy wspaniałych rezydencji, Wigry powinny pozostać ostoją nieskażonej przyrody. Turyści są uznani za jej wroga: hałasują, brudzą i rozdeptują lasy. Jest w tym wiele prawdy, choć te same zarzuty odnieść można i do stałych mieszkańców, ale zamiana Wigier w skansen dla uprzywilejowanych jest nie do zrealizowania. Turyści i tak będą przyjeżdżać, lepiej mieć zatem turystykę zorganizowaną niż żywiołową. Niechętnych turystom jest również wielu przeciętnych mieszkańców, nawet tych, którzy dzięki nim zarabiają. Turyści ze swoim stylem życia i wymaganiami drażnią, bo wybijają z wygodnego choć ubogiego życia. Złuszczają, bo niszczą dobre samopoczucie.

Po przyjeździe nad Wigry żyłam w swoim międzyczasie.

Wiele rzeczy i ludzkich zachowań przypominało mi rzeczywistość jaką znałam z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych, a jednocześnie znalazłam się w kraju funkcjonującego kapitalizmu, z wszystkimi jego konsekwencjami. Uderza wielość stacji benzynowych, na ogół pracujących wedle standardów europejskich. Miejscowe sklepiki były dobrze zaopatrzone i były – ku naszemu zdziwieniu – otwarte od 6 rano do 10 wieczorem przez siedem dni tygodnia, ale nigdy mi się nie zdarzyło by sprzedawczyni odpowiedziała na moje czy dzieci dzień dobry. Były budki telefoniczne, z których teoretycznie można było się dodzwonić do wszystkich zakątków świata, ale podczas naszego pobytu były zepsute i byliśmy skazani, jak większość turystów, na korzystanie z poczty, przed którą formowała się kolejka jak za dawnych lat. Ze stołówki Domu Pracy Twórczej (?) należącej do Ministerstwa Kultury i Sztuki musieliśmy zrezygnować mimo dobrego jedzenia, bo opryskliwość kelnerek była nie do wytrzymania. Przenieśliśmy się do małej restauracyjki w Suwałkach, gdzie jedzenie nie było lepsze ale za to obsługa doskonała. W rezultacie, również stało się w kolejce. Wszelkie rekordy pobił pracownik PTTK prowadzący wypożyczalnię sprzętu wodnego. Miał obowiązkową przerwę między 14 a 15, podczas gdy wypożyczalnia była czynna do 18 godziny. Siedział w miejscowej kawiarni i pobłażliwie obserwował tłum kłębiących się turystów, tym bardziej poirytowanych gdy świeciło rzadko pojawiające się słońce. „Zagranicznicy” byli najbardziej poszkodowani. Pomijając szczęśliwy przypadek spotkania Polaka mogącego służyć za tłumacza, nie mieli żadnej informacji. Pewnego dnia, gdy turystów było więcej niż zwykle, a pracownik PTTK zgodnie ze zwyczajem odpoczywał, podsłuchałam jego rozmowę z kelnerem: co z „tłumokami” będę gadał i tak niczego nie skapują. „Tłumoki” odnosiło się do paru zabłąkanych turystów włoskich. W tym momencie słyszę szept męża: co on powiedział, przetłumacz mi. Nie jeden raz byłam w podobnej, kłopotliwej sytuacji. A niedaleko od PTTK była mała wypożyczalnia rowerów turystycznych z uprzejmym, a co ważniejsze, ze sprawnie pracującym właścicielem. Nie chcę bynajmniej twierdzić, że zła organizacja i brak uprzejmości jest wyłącznie związana z przedsiębiorstwami i instytucjami o rodowodzie komunistycznym a sektor

prywatny jest uosobieniem wszelkich cnót, ale na ogół „prywatni” pracują lepiej.

Po latach pobytu we Francji szczególnie uderzające było niechlujstwo. Np. rozpaczliwy stan śmietników, także w Warszawie; byle jaki handel uliczny rozlewający się po całym mieście, łącznie z najbardziej reprezentacyjnymi ulicami; nachalność reklam zniekształcających wygląd miasta. Wydaje się, że niektórzy pojmują kapitalizm jako ustrój, w którym można robić co się chce i jak się chce, jeśli można tylko zarobić pieniądze. Niechlujność ulicy podkreśla również niedbały wygląd mężczyzn, których trudno byłoby zaliczyć do marginesu społecznego. Jakże często niechlujstwu towarzyszył brak uprzejmości, powiedziałabym – zawodowej uprzejmości. Tłumaczenie, że w Polsce ekspedientki i urzędniczki zarabiają mało i dlatego niedbale wykonują swoje obowiązki nie ma żadnego sensu.

Osoby wykonujące te same zajęcia na Zachodzie również zarabiają bardzo mało ale nikt nie ośmiela się traktować klienta jak intruza. Na Zachodzie również można spotkać się ze złą, niegrzeczną obsługą ale wówczas mamy do czynienia z odstępstwem od reguły. Natomiast w Polsce żadna reguła nie jest konsekwentnie przestrzegana. W miejscach publicznych spotkałam się z gburowatością ale i z uprzejmością, niekiedy tak wylewną, że bardziej byłaby na miejscu w stosunkach towarzyskich niż w relacji klient-sprzedawca.

Innym, przygnębiającym zjawiskiem polskiej rzeczywistości jest alkoholizm. Szczególnie widoczny na prowincji. Piją wszyscy: mężczyźni, kobiety i młodzież. Piją wszystkie warstwy społeczne sądząc po turystach nad Wigrami. Stopień wchłoniętego alkoholu można rozpoznać po napuchniętych, czerwono-fioletowych twarzach, nieskoordynowanych ruchach idących najczęściej w parze z niechlujstwem i ordynarnością. Pija się o każdej porze dnia i w każdym miejscu. Wioskowy sklep, z którego korzystaliśmy już od wczesnego rana był obstawiony przez grupę pijących, od tak, prosto z butelki. Gdy w tymże sklepie poprosiłam o ćwiartkę wódki (do kolacyjnego śledzika) spojrzano na mnie jak na wariatkę i kazano sobie dwa razy powtarzać. I nic dziwnego. W kraju, w którym „obala” się bez trudu litr wódki i jest to powód do junackiej chwały, w kraju, w którym radio komunikuje o ko-

lejnym rekordzie stężenia alkoholu we krwi, prośba o ćwiartkę wódki musiała zakrawać na prowokację. Wyjeżdżając do Suwałk mija się typowe osiedle z betonu. Szarość i beznadzieja. Jedynym kolorowym punktem jest sklep monopolowy otwarty przez całą dobę. Dba się o spragnionych!

Szukanie przyczyn polskiego alkoholizmu w komunizmie i współczesnym bezrobociu do pewnego tylko stopnia jest zasadne. Warto się zastanowić nad przyczynami tolerancji dla pijaństwa, tak silnie związanego z narodową tradycją. Dla przykładu: moi synkowie dostali w prezencie śliczną książkę: „Piosenki, które śpiewali nasi dziadkowie”. Większość z nich powstała w XIX wieku. Jest wśród nich znana piosenka o ojcu i synie, którzy kosili siano. Początek dwóch ostatnich zwrotek brzmi następująco: „A w sobotę rano przepił ojciec siano, przepił ojciec, przepił ja, przepiliśmy obydwaj; A w niedzielę rano płakał ojciec siana, płakał ojciec, płakał ja, płakaliśmy obydwaj”. Całkiem skuteczna wskazówka na życie, sądząc po rezultatach. A inne piosenki, choćby chóralne śpiewy imieninowe w rodzaju: „hej przepijem naszej babci domek mały!” A nasza współczesna literatura, w której woda jest wszechobecna, a pijaczki kreowani są na bohaterów narodowych.

Pije się dlatego, że był komunizm i dlatego, że jest kapitalizm. Każde usprawiedliwienie jest dobre. Z radia i ambon płyną kazania o szkodliwości alkoholizmu. Wyjątkowo częste podczas naszego pobytu, gdyż sierpień został przez Kościół obwołany miesiącem abstynencji. Propaganda wychowawcza jak za dawnych czasów. Ideałem jest absolutna trzeźwość. Potępieniu podlega każdy kieliszek alkoholu, nawet piwo bezalkoholowe. Żadnej próby uczenia kultury picia, żadnego ograniczenia reklam alkoholowych i godzin sprzedaży alkoholu, żadnego moralnego potępienia dla tych, którzy z urzędu powinni świecić przykładem. Nic dziwnego, że propagandowe kazania mijają bez echa. Więc pija się jak piło, a może więcej niż dwadzieścia lat temu.

W ogólny, dość niski poziom obsługi turystów wpisuje się niechętny stosunek do obcokrajowców. Po latach względnego zamknięcia, do Polski zaczęły masowo napływać turyści, którzy nie mają z nią żadnych związków uczuciowych. Przyjeżdżają bo pcha ich ciekawość, przyjeżdżają bo chcą zobaczyć kraj wychodzący z komunizmu, przyjeżdżają wreszcie dlatego,

że liczą na tanie spędzenie wakacji. Mało wśród nich milionerów, przeważa klasa średnia, która przyzwyczajona jest do liczenia swoich ciężko zarobionych pieniędzy. Wszyscy oczekują, że będzie przestrzegana zależność między ofiarowanym towarem i obsługą a ich ceną. Są przyzwyczajeni do kryteriów świata zachodniego i wedle nich oceniają Polskę, jeśli nawet ci bardziej czytani, czy bardziej dla Polaków życzliwi, są skłonni stosować ulgową taryfę. Mogą mieszkać w małych hotelikach (których przeważnie nie ma), pensjonatach czy nawet na campingach, ale zawsze oczekują sprawnej organizacji, czystości i uprzejmości. A z tym nie jest najlepiej. Mój znajomy Francuz, który podczas ostatnich wakacji zwiedził co najmniej pół Polski, a jego wrażenia oscylowały między zachwytem a przerażeniem (stan toalet w małych miejscowościach) zapytał mnie wprost: dlaczego Polacy nie lubią obcokrajowców? Jeszcze rozumiem Niemców – próbował szukać przyczyn – ale nas, młodych Francuzów. Przeważnie odnoszono się do nas niechętnie, wręcz opryskliwie, jedynym wyjątkiem był Lublin. Zaczęłam sprawdzać tę opinię wśród innych znajomych, którzy przebywali w Polsce, była podobna. Pokrywała się zresztą z naszymi spostrzeżeniami.

Jakie są tego przyczyny? – zapewne wielorakie i głęboko sięgające w przeszłość. Wedle mnie, stosunek do obcokrajowców kształtowany jest przede wszystkim brakiem tradycji turystycznych. Przeciętny Polak, zwłaszcza z głębokiej prowincji, rzadko widział cudzoziemca w roli płacącego, ale i wymagającego turysty. Im dalej od centrum tym gorzej dla turysty: brakuje infrastruktury, szwankuje organizacja, a mieszkańcy nie rozumieją, że dobrze zorganizowana turystyka może się stać drogą do zamożności. Zapewne są miejscowości w Polsce, np. Kraków, Gdańsk czy kilkanaście górskich i nadmorskich miejscowości, ale Polska jako kraj, póki co nie jest przygotowana na masowego turystę, który niekoniecznie jedzie tam gdzie się go oczekuje, a tam gdzie chce. Po wtóre, polska gościnność, którą wszyscy lubimy się chwalić, jest jeszcze jedną, narodową legendą. Między zachowaniem Kowalskiego we własnym mieszkaniu a Kowalskim w urzędzie, sklepie czy na ulicy, jest zasadnicza różnica. W pierwszym przypadku zachowanie jest zgodne z regułą „zastaw się a postaw się” w drugim zaś, obcy jest potencjalnym nieprzyjacielem.

Akceptuje się go, gdy sypie dewizami, ale skromny turysta z wymaganiami jest trudno akceptowalny. Polacy nie wykazują żadnej tolerancji dla inności, dla zachowania odbiegającego od polskich norm prowincjonalnych, a co ważniejsze nie kryją się ze swymi uwagami. Stare urojenia ukształtowane przez komunistyczną propagandę i obecnie podsycane przez endeckie kazania i polityczne programy przyczyniają się do utrwalania ksenofobii, niechęci do Europy i w konsekwencji wyrażają się również w stosunku do obcokrajowców – turystów.

Powrót do Warszawy z Białegostoku był kolejnym etapem filmowego westernu: na dwupasmowej szosie (kiedy będą wreszcie autostrady?) pędzą w obu kierunkach olbrzymie tiry: polskie, litewskie i rosyjskie. Korzystając ze swej przewagi wymuszały pierwszeństwo, niekiedy wbrew przepisom drogowym. Mimo mego doświadczenia w prowadzeniu samochodu nie odważyłabym się na jazdę z dwójką dzieci piszczących ze strachu. Poboczne szosy dostarczało dodatkowych atrakcji: ubrane kuso panny oferowały swoje wdzięki a obok nich babiny z głowami szczelnie obwiązanymi chustkami sprzedawały owoce i grzyby. Wzdłuż szosy kolorowe, często jaskrawe reklamy zachwalające zagraniczne towary, w tym papierosy i alkohole. Obok, informacje o pobliskich gospodach i pizzeriach! A przede wszystkim widoczni są handlarze „walizkowi”. Tubylcy i sąsiedzi zza wschodniej granicy. Wiele samochodów się zatrzymywało, bo jak nas później poinformowano, tam właśnie można zrobić doskonały interes. Te kapitalistyczne „mrówki”, o których w prasie centralnej pisze się dość lekceważąco, bo i prawda, że ich handel niewiele ma wspólnego z estetyką, przyczyniają się w równym stopniu do cywilizacyjnego przeobrażenia Polski, co wielki kapitał. Ale jak długo pozwoli się im egzystować?

Po przyjeździe do Warszawy odnaleźliśmy się w innym świecie, po prostu w Europie. Zwłaszcza wówczas gdy pozostawało się na szlaku królewskim. Eleganckie dziewczyny, nowoczesne witryny sklepowe, dobre restauracje i wspaniałe samochody. Nasi synowie nie chcieli się rozstawać z kawiarnią Bliklego, my również. Największe na nich wrażenie wywarła moja szkoła. Budynek jak budynek, nic nadzwyczajnego, choć całkiem porządnym, ale właśnie on odgrywał w sprawozdaniu przeznaczonym dla dziadków główną rolę. Inną rewelacją były

wiewiórki na Cmentarzu Powązkowskim i w Łazienkach. Długo nie mogli mi darować, że nie zabraliśmy niczego do ich nakarmienia. Im i mężowi Warszawa się spodobała i skłonni są do niej wracać. Sentymalny aspekt podróży mnie nie zawiódł. Ale patrząc z perspektywy czasu, wakacje nie były najgorsze. Jest o czym wspominać. Bo u nas w Polsce...

Październik 1998

Joanna POMIAN-SAADJIAN

Po szesnastu latach

Z Detroit wyleciałem 2 sierpnia. Lotnisko w Nowym Jorku zadziwiło mnie swoją wielkością: liczbą samolotów i pasażerów. Byłem co prawda już na tym lotnisku w 1986 roku, ale wówczas przylatywałem z przeciwnej strony, z Wiednia. Przybywałem jako emigrant polityczny, z paszportem w „jedną stronę”, zwanym jaruzelskim. Jakże inna była wówczas moja sytuacja. Przylatywałem w nieznaną, bez znajomości języka i kraju, który stać się miał moją nową Ojczyzną. Byłem tak zdenerwowany, że nie w głowie mi było podziwianie lotniska. Teraz leciałem odwiedzić kraj, a przede wszystkim wyremontować dom pozostawiony w Polsce. Najwyższy czas by zająć się swoją własnością.

Po ośmiu godzinach ląduję w Warszawie. Lotnisko i port lotniczy w porównaniu z Nowym Jorkiem wydają się malutkie. Jakbym ze świata olbrzymów przeniósł się w świat krasnoludków. Tłok niesamowity. Zwykłą formalnością jest natomiast kontrola paszportowa, odprawy celnej nie ma wcale. Od razu zjawiają się przy mnie taksówkarze proponujący swe usługi, ale ceny zawrotne. Za tę samą trasę zażądano ode mnie 80 zł, podczas gdy taksówkarz „Radia-Taxi” policzył 17,5 zł. Policja nie ściga naciągaczy, prawdopodobnie otrzymuje swoją „dołę”.

Z mieszkania kuzynki (Mokotów, w pobliżu siedziby Telewizji) oglądam nowo wybudowany, ogromny kościół, jeszcze nie całkiem wykończony. Dach pokryty blachą miedzianą. Kosztować musiał fortunę, co jest szokujące w porównaniu z niskimi dochodami ludności. Katolicy po 1990 roku zaczęli masowo budować kościoły, na co im za czasów PZPR nie pozwalano*. W wielu miejscowościach przeliczono się z siłami. Zabrakło pieniędzy na dokończenie inwestycji, mimo dramatycznych apeli ludzie nie płacą, bo po prostu są biedni. Jak mogłem się przekonać później, już na Dolnym Śląsku, Kościół jest obecnie widziany jako instytucja współzrządzająca Polską. W konsekwencji obciąża się go odpowiedzialnością za materialną sytuację ludności.

U kuzynki witam cicię, 80 lat i ciągle w dobrej kondycji. Narzekanie na niskie emerytury. Obie otrzymują pomoc ze strony dobrze sytuowanego wnuka i dzięki temu żyją w „miarę dobrze”. Druga kuzynka musi z kolei pomagać córce i wnukom, ale ratują się wynajmowaniem mieszkania (spadek rodzinny). Otrzymują 900 dolarów miesięcznie, co pozwala im na życie ponad przeciętny poziom.

Po kilku godzinach z powrotem na lotnisku i wkrótce lecę do Wrocławia. Samolot jest mały, zatłoczony i z zepsutą wentylacją. Pot leje się z nas ciurkiem. Nikt nie proponuje nam jakiegokolwiek rekompensaty. We Wrocławiu lotnisko i port wręcz mikroskopijne. Mści się na Polsce brak wyobraźni i pieniędzy. Podobna sytuacja z ruchem drogowym. Drogi karkołomne. W USA, na ogół nigdy nie zjeżdżam na pas przeciwnego ruchu, bo to zbyt niebezpieczne. W Polsce jest to konieczne, jeśli chce się wyprzedzić. Jeden traktor potrafi wstrzymać dziesiątki samochodów! Jeśli chce się mieć płynny ruch samochodów pasażerskich i towarowych z Zachodu na Wschód, z Północy na Południe to trzeba rozbudowywać drogi i lotniska. Potrzebne są miliardy dolarów, musi więc wkroczyć kapitał zagraniczny.

Po gościnie u szwagra, którego mieszkanie wydało mi się obecnie malusieńkie, choć poprzednio nie odnosiłem tego wrażenia, przeniósłem się do kuzyna mieszkającego blisko mojego domu. Za jego wynajęcie otrzymuję miesięcznie 600

* Budownictwo kościelne rozpoczęło się już w drugiej połowie lat 70-tych, a nabrało rozmachu po 1981 roku (Redakcja).

zł. Dla przeciętnego Polaka to duża suma i nie każdego stać na taki wydatek. Zróznicowanie zarobków i dochodów staje się coraz widoczniejsze. Np. szwagier zarabia 1700 zł miesięcznie ale renta inwalidzka mojego kuzyna wynosi 450 zł, a jego żona zarabia 500. Muszą z tego utrzymać siebie i dwóch synów uczących się w szkole średniej. A wszystko jest drogie, od żywności i opału poczynając. Nic dziwnego, że osoby starsze są niekiedy ubrane jak za dawnych lat PRL albo i gorzej. Ludzie tracą pracę w dużych gigantach przemysłowych (Zakłady Radiowe „Diora”, Zakłady Bawełniane „Bieltex”, „Silesiana” i inne) i radzą sobie jak mogą. Mnoży się drobny biznes: kantory wymiany walut, sklepiki, księgarnie i taksówki, których jest zresztą nadmiar. Wielu powracających z „saksów” kupuje używane samochody i zamienia je na taksówki. Zarabiają niewiele, bo konkurencja jest silna. Na „saksy” jeździ wiele osób, również kobiety, matki rodzin. Jeżdżą do różnych krajów Europy Zachodniej i przeważnie pracują „na czarno”. W Polsce też wiele osób pracuje „na czarno”, m.in. ci, którzy w pięćdziesiątym piątym roku życia stali się emerytami. Z pracy „na czarno” zadowolony jest właściciel i pracownik. Pierwszy nie płaci ubezpieczenia, a razem oszukują na podatkach. Trudno się dziwić. Władze nieustannie podnoszą ceny np. energii i komunikacji, a w zamian naród wykręca się od podatków. I tak trwa ten oszukańczy układ.

Najlepiej się mają ci, którzy pracują w państwowych czy samorządowych zakładach: energetycznych, gazowniczych, wodociągach, na poczcie. Wszystkie te zakłady prosperują. Podnoszą ceny bez umiaru, rozbudowują się, pracownicy też mają się nie najgorzej. Ich biurka przypominają biura zachodnie: marmurki, eleganckie meble, elektronika. Wszystko to przykro kontrastuje z panującą dookoła biedą. Podobna sytuacja w gospodarce miejskiej. Nie prywatyzuje się budynków mieszkalnych. Domy się sypią i rozsypują. Jeśli nawet były odnawiane, to z powodu marnego wykonawstwa już po trzech latach ponownie sypią się tynki. Burmistrzowie lubią natomiast stawiać okazałe obiekty. Np. w Bielawie dawną halę fabryczną przerobiono na elegancki supermarket oraz buduje się kryty basen kąpielowy wraz z zespołem terapeutycznym. W Dzierżoniowie stawia się nowy budynek liceum,

a na Rynku stoją zawałone kamienice, nie mówiąc już o fatalnym stanie chodników. W Wałbrzychu odnowiono na „wysoki połysk” kamienicę, w której mieści się PKO, a obok stoją „bezpieńskie”, niszczące kamieniczki komunalne.

Uderzyła mnie skomplikowana sytuacja młodzieży. Uczą się jak dawniej w rozmaitych technikach (ochrony środowiska, mechanicznych, radiowych), które jak dawniej są utrzymywane przez państwo, czyli przez podatnika, a tylko niewielu absolwentów znajduje pracę w swoim zawodzie. Wszyscy się natomiast łudzą, że z czasem sytuacja się odmieni. Uczą się, ale niektórzy już zaczynają pić. Bo pije się dużo. Przepijają się zarabiane na „saksach” pieniądze, bo jest się daleko od rodziny i pije się w Polsce, bo jest biednie, bo jest smutno.

Poza pracę nad remontem domu, która zabrała dużo czasu i pieniędzy, trochę podróżowałem po okolicy odwiedzając znajomych. Delegatury „Solidarności” w niczym nie przypominają dawnych Zarządów Regionów. Są biedne, liczba członków spada i spada suma wpłacanych składek. Wielkie zakłady, dawne bastiony związkowe, masowo zwalniają pracowników, gdyż stoją na progu bankructwa. Np. Zakłady „Diora” dawniej zatrudniające 5000 pracowników mają ich obecnie 200! I gdzie indziej jest podobnie. Obecny związek jest cieniem dawnej „Solidarności”. Jego aktyw jest na ogół opanowany przez środowisko związane z Kościołem.

Inny przykład zmian. Znajomy inżynier, były kierownik Terenowego Zespołu Usług Projektowych, jest obecnie właścicielem własnej firmy: wykonuje projekty kanalizacji i wodociągów, a jednocześnie zakłada żaluzje do sklepów. Zarabia dobrze (3.500 zł miesięcznie) i żyje mu się nieźle. Zapisał się do Unii Pracy. Na moje pytanie: dlaczego do komuchów? – odpowiedział: A gdzie mam być? Do AWS mnie nie przyjmą, bo nie chodzę do kościoła, a zresztą należałem do PZPR. Do SLD nie chcę, bo to komuchy. Unia Pracy też niby komuchy, ale to już te nowe komuchy. Współczesne, bez tradycji PZPR. W UP są na ogół ci, co dzięki PZPR otrzymywali dyrektorskie stołki. Byli w PZPR niejako „z urzędu”, aby otrzymać stołki i je utrzymać. Teraz są w Unii Pracy. Zadziwiające jest to co mówił, ale prawdziwe. Wygląda na to, że klerykalizm panujący w AWS odpycha

wielu ludzi od tej partii.

Oglądałem również telewizję. Wydała mi się równie nudna jak za dawnych lat. Dyskusje polityczne z udziałem SLD, AWS, PSL itp. nie dawały odpowiedzi – dlaczego jest tak źle skoro powinno być dobrze? Rozmówcy nie przekraczali „pewnych barier”, nie wskazywali na faktyczne przyczyny kłopotów gospodarczych. Podczas mojego pobytu jednym z problemów była blokada dróg w proteście przed zalewem zboża z Zachodu. Po wysłuchaniu dyskusji byłem głębszy niż przed dyskusją. Prowadzący audycję baczył pilnie, by dyskutanci nie krytykowali się zbyt ostro, by nie mówili zbyt wiele. Dyskusja niby była puszczona na żywo ale widać było cięcia w wypowiedziach. W rezultacie żywa kontynuacja PRL-u!

Po tych trzech tygodniach zadawałem sobie pytanie: jaka jest obecnie Polska? Nie jest taka jak była poprzednio, bo nie jest w pełni komunistyczna, ale nie jest także w pełni kapitalistyczna. Jest zawieszona w próżni. Idzie własną, trzecią drogą.

Wyjechałem z Polski z ciężkim sercem. Po latach nieobecności znowu zobaczyłem Polskę biedną i smutną. Być może w większych miastach jest inaczej. Na Dolnym Śląsku, w tych miasteczkach i osiedlach, w których przebywałem, jest jednak, jak to opisałem.

Walerian DOMAŃSKI

Kronika kulturalna

Warszawskie spotkanie polonistów zagranicznych

(WRZESIEŃ 1998)

Głównym moim, a raczej jedynym zamierzeniem jest ukazać rolę wybitną, jak mi się zdaje, i bardzo oryginalną, lecz powszechnie jeszcze nie uznawaną, jaką Polska odegrała w kulturze starej Europy. Temu celowi podporządkowałem plany swojej pracy. (...) aby go osiągnąć przy tym stanie niewiedzy, jaki szeroko panuje za granicą w tej sprawie, najpożyteczniejszym będzie (...) pokazać czytelnikowi pewne większe całości.

– pisał w *Przeglądzie Współczesnym* w roku 1936 Clauder Backvis. A po latach dodawał (w przedmowie do polskiego wydania „Szkieletów o kulturze staropolskiej”, 1975):

(...) badacz obcy, pragnący skierować uwagę swych rodaków na wielkie i dotąd zapoznane wartości, wniesione do skarbnicy kultury europejskiej przez narody słowiańskie, posiada prawo wyboru, prawo ustanawiania nowej hierarchii owych wartości, odmawiania pierwszeństwa tym, a nie innym zjawiskom w wielkiej spuściźnie Słowiańszczyzny – ma, słowem, prawo być w swych sympatiach i klasyfikacjach nowatorem i rewolucjonistą.

Słowa belgijskiego uczonego, który zmarł przed kilkoma miesiącami, ujmują misję nauki o literaturze i kulturze polskiej, uprawianej w stu kilkudziesięciu ośrodkach działających na uniwersytetach europejskich, amerykańskich, australijskich i azjatyckich.

Świadomość ich istnienia i działań jest fragmentaryczna, a wiedza o osiągnięciach naukowych polonistyki zagranicznej – wąta i niepełna. Nowe książki, wydane za granicą, znane są głównie przyjaciółom autorów. Dla studenta polonistyki polskiej uczeni pracujący za granicą są postaciami mitycznymi, a rozprawy ich pozostają nieznanne. Zarazem też studenci polonistyki za granicą przygotowują swe dysertacje w oparciu o skrawki literatury przedmiotu dostępne w miejscowej bibliotece nie zawsze mając możliwości poznania języka kultury i aktualnego stanu badań nad wybranym przedmiotem. Kadry polonistyczne rozwijają swą działalność na miarę, a często ponad miarę realnych możliwości, nie znajdując przeważnie (chwalebne wyjątki raczej podkreślają powszechność tego stanu rzeczy) dostatecznej pomocy ani w Polsce, ani wśród miejscowej Polonii, ani w siostrzanych ośrodkach zagranicznych. Codzienne ich trudności są zaś niebłahe. Istnieniu katedr polonistycznych na Zachodzie zagraża niedostatek dotacji, które pozwoliłyby na stabilizację stanowisk profesorskich. Doskwierają niedobory w księgozbiorze oraz notoryczny brak lektorów. Katedry na Wschodzie walczą o elementarne wyposażenie materialne i podstawowe lektury oraz o jakiegokolwiek możliwości wyjazdów studentów i profesorów do Polski. Wobec tych trudności rozwój studiów zagranicznych nad literaturą i kulturą polską wydaje się dokonywaniem tego, co niemożliwe, a determinacja profesorów – ambasadatorów kultury polskiej, podróżujących wprawdzie bez dyplomatycznego luksusu, za to z walizkami książek, jak też wierność studentów wobec „egzotycznego” przedmiotu, nie rokującego profitów materialnych, zasługują na miano aktów heroicznych.

W poczuciu doniosłości spraw polonistyki zagranicznej, a zarazem ich niecierpiącej zwłoki pilności, Komitet Nauk o Literaturze PAN* powziął myśl zorganizowania spotkania i debaty zagranicznych badaczy literatury i kultury. Inicjatywa ta znalazła poparcie rektorów Uniwersytetów Warszawskiego, Jagiellońskiego i Marii Curie Skłodowskiej oraz Wydziału I Polskiej Akademii Nauk i Instytutu Badań Literackich,

* Komitet Nauk o Literaturze Polskiej Akademii Nauk, którego przewodniczącą jest prof. Alina Nowicka-Jeżowa, autorka artykułu (przyp. red.).

zyskując charakter ponadśrodowiskowy i ponadregionalny. Wsparli ją również ministrowie spraw zagranicznych, edukacji narodowej, kultury i sztuki, dając temu wyraz swą obecnością i pomocą finansową. Wsparcia finansowego udzieliły organizatorom również fundacje Batorego i Kronenberga. Życzliwość ta i współpraca nadała warszawskiej imprezie charakter szczególny, który był postrzegany jako konsolidacja środowisk tworzących naukę i kulturę w przedsięwzięciu wyjątkowo aktualnym w przeddzień przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

Kongres Polonistyki Zagranicznej odbył się w Warszawie w dniach 4-6 września 1998. Udział w nim wzięło około 100 uczonych z kilkudziesięciu ośrodków akademickich Europy, Ameryki i Azji. Krótki czas obrad poświęcony został wyłącznie na dyskusję, cenną wobec rzadkiej, okupionej trudem dalekich podróży, sposobności wymiany doświadczeń i projektowania współpracy. Zakres debat wyznaczył wygłoszony przez przewodniczącą KNoLP i Komitetu Organizacyjnego Kongresu referat „Panorama polonistyki zagranicznej” oraz zawarte w okolicznościowym „Informatorze” autoprezentacje uczestniczących w spotkaniu katedr. Dokonania gości ilustrowała również wystawa „Polonistyka zagraniczna – historia i współczesność”. Rozwijająca się na czterech sesjach dyskusja dotyczyła – kolejno – badań naukowych, programów i form nauczania literatury, popularyzacji kultury polskiej za granicą. Sesja ostatnia poświęcona została projektowaniu współpracy w zakresie naukowym i dydaktycznym. Zdecydowano, że następny Kongres odbędzie się w roku 2001. Uznano za słuszne stworzenie Międzynarodowego Naukowego Komitetu Studiów Polonistycznych, który opracuje podstawy ideowe i organizacyjne przyszłej struktury stałej, zrzeszającej polonistów zagranicznych oraz zrealizuje postanowienia Kongresu, dotyczące głównie bieżącej informacji naukowej. Opracowany zostanie również i wydany drukiem tom obejmujący charakterystyki kilkudziesięciu ośrodków akademickich oraz dyskusję kongresową.

Uwagę obserwatora zwraca przede wszystkim rozległość obszaru studiów polonistycznych. Słowo to określa naukę języka polskiego, twórczość przekładową, językoznawstwo, filologię, historię literatury i kultury, tzw. „studia polskie”,

dotyczące zagadnień politycznych, geograficznych, gospodarczych, społecznych, artystycznych etc.

Na Kongresie mówiono jednak o polonistyce jako nauce o języku i o literaturze, włączonej w kontekst kultury.

Jaka jest *differentia specifica* tak pojętej polonistyki zagranicznej?

Polonistyka zagraniczna – pisze Sante Graciotti – odzwierciedla rozprzestrzenienie się cywilizacji polskiej poza jej etniczno-kulturowymi granicami i stanowi miejsce spotkań i konfrontacji odmiennych i uzupełniających się kultur.

I tu objawia się walor naukowy polonistyki zagranicznej, która – wyrastając z odmiennej tradycji kulturowej – widzi badany przedmiot tak, jak nie może go zobaczyć polonista polski. Bez niej studia nad literaturą i kulturą polską byłyby niepełne, badania uczonych zagranicznych zmieniają bowiem kwestionariusz pytań stawianych tekstom, poddają je innej skali wartości. Np. z rosyjskiego punktu widzenia rysuje się wartość piśmiennictwa służącego celom społecznym, interesujące oświetlenie zyskuje również powieść XIX i XX wieku. Z włoskiego widać kunszt barokowej poezji miłosnej. Z niemieckiego nowe światło pada na romantyzm polski. Z austriackiego zmienia się obraz naszych modernistów, np. Staffa czy Leśmiana.

Konfrontacje badawcze stanowią dla polonistyki uprawianej tradycyjnie, w duchu romantycznym, podjętę do przewyższania polocentryczności ujęć. Obraz naszej literatury jako nieprzetłumaczalnej, karmiącej się własnym wtajemniczeniem historiozoficznym, kreującej świat hermetyczny, nie tyle jest chyba jej własnością, co przekonaniem dawnych badaczy, zapatrzonych w fenomen narodowości, a nie zawsze pamiętających, że cechy najbardziej swoiste (np. ziemiańskość) wynikają ze źródeł uniwersalnych (tu: horacjańsko-wergiliańskich). Oryginalność zaś przejawia się nie tylko w demonstracyjnie polskiej tematyce, stereotypach czy upożewaniu świata przedstawionego, lecz przede wszystkim w samym przesłaniu artystycznym dzieł literackich, objawiających nie dostrzegane na powierzchni skarby narodowej kul-

tury. Pozostając swoiście polskie, dobra te są zarazem europejskie (w najgłębszym historycznie, tj. chrześcijańskim i humanistycznym znaczeniu tego słowa).

Naturalnym skutkiem odmienności gleby kulturowej, z jakiej wyrasta polonistyka uniwersytecka za granicą, jest pluralizm dydaktyki, wyborów badawczych oraz metodologii. Z różnorodności, wynikającej z tradycji poszczególnych uczelni, rodzi się wielki potencjał naukowy. Oczywiście staje się więc obserwacja, że komparatystyka pojęta szeroko, tj. multilateralnie i interdyscyplinarnie, jest naturalnym środowiskiem intelektualnym, nieuniknioną dykcją wypowiedzi zagranicznych uczonych, ona też wskazuje nie brane dotychczas pod uwagę kwestie badawcze.

Trzeba jednak wspomnieć, że obok komparatystyki naturalnej, tj. niemiecko-polskiej w Niemczech, rosyjsko-polskiej w Rosji, niemiecko-francusko-włosko-polskiej w Szwajcarii, istnieje też, by tak rzec, komparatystyka instytucjonalna, determinowana przez ustrój placówek uniwersyteckich. Polonistyka jest przeważnie integralną częścią sławistyki, włącza się więc problematykę badań wschodnioeuropejskich. Na gruncie tego ustroju wzrosło bogate pokłosie polonistycznych badań sławistów, zrodziły się jednak również trudne problemy. Najbardziej kontrowersyjny – jak wynika z dyskusji – jest fakt zdominowania studiów polonistycznych przez rusycystykę.

Na Zjeździe Polonistów w roku 1995 Pietro Marchesani mówił w programowym referacie:

studia polonistyczne poza Polską istnieją (...) obok rusycystyki i są jej podporządkowane. Tak wygląda rzeczywistość (...) Podzielam w tej kwestii opinię Daniela Beauvois, który (napisał): „Niech poloniści robią swoje z godnością i bez kompleksów”.

Zauważmy, że uczonej pracujący „z godnością i bez kompleksów” bierze na warsztat zagadnienia, które po prostu domagają się badań, np. związki polskiej prozy szesnastowiecznej z włoską nowelą humanistyczną czy też konwergencje literatury wiejskiej w Polsce i w Szwecji. Usytuowanie tych zagadnień na drogach naukowych rusycystyki i zapro-

jektowanie badań porównawczych w ramach problematyki wyłącznie slawistycznej nie wydaje się możliwe. Zauważmy również, że usytuowanie polonistyki w łonie slawistyki jest naturalne w krajach oddalonych geograficznie i kulturowo, jest też oczywiste z językoznawczego punktu widzenia i uzasadnione w tradycyjnej perspektywie filologicznej. Przystaje być jednak oczywiste z kulturoznawczego punktu widzenia, który dominuje dziś nad modelem historyczno-filologicznym. Związki kulturowe determinujące kształt literatury polskiej, nie ograniczają się wszakże do świata słowiańskiego. Geografia kultury nie może być utożsamiana z geografiami etniczną ani też polityczną. Ktoś słusznie zauważył, że zachodzi tu przypadek „sprzężenia zwrotnego”. Powiększanie etatów rusycystycznych wynika z zainteresowania studentów, które jest z kolei zależne od wzbogacenia oferty dydaktycznej; głos polonistyczny, z racji swojej wątkości, dociera do niewielu. Liczne jednak przykłady (i już nie wypowiedzi, lecz rozwiązania, stosowanych np. we Francji, Szwajcarii czy w Austrii, gdzie slawistyka każdego z uniwersytetów ma swoją odrębną specjalność nierusycystyczną) wskazują, że reguła ustanawiająca tę hierarchię nie jest spiżowa. Warto tu zwrócić uwagę na sukces tych katedr polonistycznych, które są w głównej mierze otwarte na komparacje wschodnio-słowiańskie, jak na dialog z filologami zachodnimi i dzięki temu zachowują tożsamość naukową, określoną przez historię i współczesny stan kultury polskiej.

Obserwacje komparatystycznych profili polonistyki zagranicznej nie mogą pominąć translatorstwa i translatologii. W nadesłanych na Kongres informacjach o pracy katedr literatury polskiej odzwierciedla się wyraziście kondycja polonisty zagranicznego, który – jako uczony, nauczyciel akademicki, pośrednik w dialogu kultur – skazany zostaje po prostu na działalność przekładową. Istnienie przekładu to warunek dydaktyki skierowanej do studentów nie znających biegle języka; to również warunek porozumienia ze swoim społeczeństwem.

Profesorom-tłumaczom należy się, jak sądzę, realna pomoc. Prostą jej formą byłyby krótkie bodaj stypendia, umożliwiające pracę translatorską w Polsce, w swobodnej bliskości bibliotek. Pożyteczne też byłyby wakacyjne warsztaty przekła-

dowe dla młodych polonistów zagranicznych i studentów podejmujących próby przekładowe. Przekład otwiera drogę do wydania, na użytek akademicki i czytelniczy, dzieła literatury polskiej za granicą.

Nie brak na szczęście, godnych do naśladowania wzorów działalności edytorskiej (wskazmy choćby Deutsches Polen Institut w Darmstadt) oraz zapobiegliwości w zbieraniu księgozbiorów. Brak jednak nowoczesnych podręczników literatury polskiej, opracowanych za granicą, w języku macierzystym studenta. Istniejące – przedstawiają obraz anachroniczny lub niepełny, ustanawiając przy tym zbyt arbitralnie proporcje zjawisk i ich oceny.

Gdy już mowa o tekstach, podkreślić trzeba ogromny trud badaczy naszej literatury ze Wschodu, poświęcony poszukiwaniu źródeł literackich. Naukowe ich *curricula* to odyseje przygód na oceanie zdewastowanych księgozbiorów, w których kryją się niezliczone dzieła polskie: niezliczone i wciąż nieznanne. Dziś, gdy otwarły się (dla badaczy) archiwa i biblioteki zza wschodniej granicy, konieczność możliwie szybkiej ich systematycznej penetracji jest wyzwaniem dramatycznie nagłym (ile źródeł nie zabezpieczonych zniknie z powierzchni ziemi?). Trzeba tu wspomnieć o dziele ś.p. prof. Jerzego Skowronka. Wielką humanistykę tworzą ludzie, a nie tylko sprawne instytucje. W tym jednak wypadku trud, najbardziej nawet zdeterminowany, nie wystarczy. Niezbędna jest zorganizowana akcja wielu dobrze wyszkolonych badaczy, łączących sprawności archiwistyczne z filologicznymi, z wiedzą historyczno-kulturową i historyczno-literacką; znających języki wschodnie i zachodnie.

Kim jest kandydat na studia polonistyczne za granicą? Z wypowiedzi uczestników Kongresu wynika, że studenci rekrutują się najczęściej ze środowisk polonijnych. Przychodzą oni na studia z określonymi kompleksami, wprowadzają w środowisko akademickie problemy charakteryzujące społeczność, z jakiej się wywodzą. Determinanty te są w poszczególnych ośrodkach różne.

Grupę drugą stanowią studenci, którzy uczą się języka polskiego (często jako drugiego) powodowani określonym zamiarem zawodowym, bliższym nieraz politologii czy ekonomii niż humanistyki. Konieczność podporządkowania się pra-

wom rynku pracy niepokoi nauczyciela akademickiego. Opinie respondentów ankiety, poprzedzającej spotkanie warszawskie, dowodzą jednak, że uwzględnianie tego czynnika w projektowaniu studiów nie musi oznaczać wulgaryzacji kształcenia uniwersyteckiego.

Grupę trzecią stanowią – wedle słów Rolfa Fiegutha – młodzi ludzie przychodzący na studia „z różnych i nie zawsze zbyt klarownych przyczyn”. Ta grupa nastrocza szczególnych trudności wykładowcom zapraszającym z Polski. Przyznają się oni nieraz do porażek dydaktycznych i do trudności w znalezieniu wspólnego języka. Powodem jest może – ze strony wykładowcy – brak realizmu, ze strony studenta zaś – niedostatki szkolnego przygotowania do poznawanego przedmiotu, tłumaczącego się w kontekście historii europejskiej. W edukacji powszechnej tonie wiedza o dawnej Europie jako wspólnej ojczyźnie kultur narodowych. A trudno wykładowcy przedstawić średniowieczną poezję polską, gdy pamięć audytorium o Biblii opiera się na zasłyszaniu o Adamie i Ewie, trudno mówić o Kochanowskim, jeśli młode pokolenie nie wie kto to Petrarca czy Montaigne, trudno mówić o Mickiewiczu, jeśli studenci pytają, co to jest Wiosna Ludów...

Grupę czwartą (niejako przeciwną do poprzedniej) stanowi młodzież niepolskiego pochodzenia, która kieruje się impulsem czysto poznawczym. Wobec tych studentów, którzy nie bacząc na trudności zawodowe i materialne, idą za głosem serca, pod prąd kultury masowej, środowiska akademickie – zarówno zagraniczne, jak polskie – mają wielkie zobowiązania. Dlatego żałować wypada, że możliwości, jakie stwarzają współczesne programy wspierania studiów, nie są wykorzystywane w dostatecznym stopniu.

Charakteryzując barwnie i ciekawie swoich studentów, uczestnicy Kongresu opowiadali też o działalności dydaktycznej, o ogromnej inwencji metod i programów nauczania oraz determinacji w pokonywaniu trudności. Trudności te są podobne na różnych szerokościach geograficznych. Nastrocza ich przede wszystkim nauka języka polskiego. Trudno oczywiście o sukces dydaktyki, jeśli brak słowników i podręczników, jeśli – jak w Rzymie – jeden lektor ma za zadanie nauczyć szybko i skutecznie języka polskiego kilkudziesięciu studentów lub – jak w Oksfordzie – lektora w ogóle brak.

Remedia na tę najpoważniejszą dolegliwość z pewnością istnieją choć o receptę łatwiej niż o jej realizację. Na recepcie owej przepisane byłyby programy glottodydaktyczne dostępne w Internecie, szybki kolportaż podręczników, zwiększenie stanowisk lektorów kontraktowych, letnie kursy obejmujące większą niż dotychczas liczbę studentów.

Odrębnym problemem dydaktycznym jest wyjaśnianie tekstów literackich. W postępowaniu hermetycznym powinny być uwzględniane aspekty komparatystyczne, właściwe badanemu dziełu. Uzupełnienie wiedzy literackiej edukacją kulturoznawczą jest niezbędne zarówno przyszłemu tłumaczowi, jak dyplomacie i dziennikarzowi. Jest więc warunkiem sukcesu dydaktycznego. Warunek ten zaś nie może zostać spełniony bez obustronnej wymiany osobowej, zarówno wykładowców, jak i studentów. Niech mi będzie wolno przywołać tu przykład polonistyki z rzymskiej „La Sapienza”, z Genui, Padwy i Florencji, która jest *in corpore*, tj. wraz z wykładowcami i gremium studentów, corocznym gościem w Warszawie, czy też polonistyki z wiedeńskiego *Slavisches Institut*, podróżującego szlakiem cesarsko-królewskim do Krakowa lub grupy z *University of Madison-Wisconsin*, która regularnie przyjeżdża do KUL-u. Powinien tu jednak być usłyszany również głos Swetłany Musijenko z Grodna: „Nie mamy możliwości wysyłania studentów na praktyki do Polski, a to jest konieczne. (Administracja) celowo czyni przeszkody tym wyjazdom.”

W wykazie trudności dydaktycznych, z jakimi zmagają się poloniści zagraniczni, osobną pozycję stanowią promocje magisterskie i doktorskie. Ilość ich określa stopień dojrzałości i żywotność katedr. Z nich też trzeba wróżyć na przyszłość. Możliwość promocji łączy się oczywiście z ustabilizowaną obecnością w danym ośrodku profesora. Ta zaś wymaga ustabilizowanych funduszy.

Podstawową wszakże trudnością zagrażającą samemu istnieniu wielu placówek, jest nikłe zainteresowanie młodzieży studiami polonistycznymi. Zabiegając o względy publiczności, co bardziej pomysłowi wykładowcy amerykańscy ogłaszają seminaria na temat „strzygi i wampiry w polskich opowiadaniach” lub „na pokładzie polskiego UFO”. Stosowane są jednak również mniej fantazyjne środki *captatio benevolentiae*.

Do studiów polonistycznych przyciągnąć może ukazanie sugestywnego obrazu kultury (innymi słowy: włączenie tekstu literackiego w komparatystyczny kontekst interdyscyplinar-ny), ale również – równoczesne z tym i dobrze wyważone w proporcjach – przedstawienie dzieła w jego artystycznym fenomenie, związane z ryzykiem spontanicznej studenckiej lektury. Jeśli pozwolimy mówić samej literaturze, możemy żywić nadzieję, że student znajdzie wspólny z nią język, choćby czytał Słowackiego nie tylko jako wieszczka narodowego, ale np. jako prekursora symbolicznej i impresjonistycznej liryki końca wieku.

W przedstawionych na kongresie wypowiedziach zyskało wyraz naturalne przekonanie, że od prac naukowych i dydaktycznych nie można odłączać popularyzacji kultury polskiej. W działalności tej przodują takie instytucje jak *Deutsches Polen Institut* w Darmstadt. Wielkie osiągnięcia mają jednak ośrodki akademickie, których pomysłowość wydaje się niewyczerpana. W miejscach najbardziej oddalonych, np. w Kaliningradzie, w Kutaisi, w Melbourne to właśnie ośrodki uniwersyteckie skupiają wszystkie wątki polskie kultury, wręcz uosabiają jej istnienie. Wykonywana w pionierskich warunkach praca wzbudza najwyższy szacunek, choć trzeba też docenić ambitne przedsięwzięcia profesorów z uczelni europejskich i amerykańskich.

Zauważmy, że popularyzacja, celebrowana na festiwalach teatralnych, dniach kultury polskiej, spotkaniach z twórcami etc., jest właściwością wszystkich aktów nauki o literaturze polskiej za granicą, a także dzieł przekładowych, dydaktyki i przedsięwzięć edytorskich. Istniejąc w kulturze narodowej jako elementy jej «obce», akty te zyskują z natury rzeczy aspekt informacyjny; prowokują do konfrontacji z tym co „swoje”. Poloniści zagraniczni mają tu wobec swych społeczeństw wielką zasługę: dziś w dobie restytuowania wspólnoty europejskiej, nie może wszak istnieć wspólnota zamknięta na obcą kulturę.

Zasługę uczonych zagranicznych trzeba również oceniać z polskiego punktu widzenia. Wartość i ofiarność ich pracy dla promocji polskiej kultury za granicą i, co ważniejsze, dla dialogu kultur, zaznacza się w porównaniu ze spokojną codziennością instytucji powołanych dla krzewienia kultury.

Zamykając refleksje kongresowe, czas postawić pytanie o możliwość i formy współpracy katedr polonistycznych rozsianych w szerokim świecie oraz o możliwość wspólnych działań polonistów pracujących w kraju i za granicą. Dyskusja wskazywała, że powinny one zmierzać do:

- stworzenia „Strony Polonistycznej” w Internecie, która zawierałaby podstawowe i aktualne dane o ośrodkach oraz ich przedsięwzięciach naukowych,
- uruchomienia bieżącej informacji bibliograficznej, ujmującej stan badań (kto jest tak sprawiedliwy, że śledzi go całościowo) oraz przekłady literatury polskiej,
- powstania międzynarodowego naukowego periodyku polonistycznego oraz udoskonalenie kolportażu periodyków już istniejących, a dostępnych tylko lokalnie,
- przekładu na język polski książek prezentujących odkrycia i demonstrujących metodę badaczy z różnych stron świata (zadanie to chce w części zrealizować redagowana przez autorkę seria wydawnicza „Nauka o Literaturze Polskiej za Granicą”),
- organizowania w różnych ośrodkach konferencji, spre-cyzowanych tematycznie i obradujących w gronie mniej niż dotychczas przypadkowym i ograniczonym, tj. z udziałem wszystkich badaczy danego przedmiotu, którzy dotychczas nie zawsze wiedzą o swoim istnieniu,
- stypendia dla polonistów zagranicznych pracujących nad przekładami,
- opieki naukowej nad stażystami naukowymi, bardziej sprawnej niż do tej pory i możliwie zindywidualizowanej,
- działań wspierających podstawową pracę katedr polonistycznych, tj. naukę języka przez powiększenie liczby lektorów kontraktowych oraz upowszechnienie przyjazdów do Polski.

Postulaty te przedstawiają się może utopijnie, od marzeń jednak, nie od ustanowień prawnych, prowadzi najkrótsza droga do praktyki.

Zamiar podjęcia tych działań wyrażali uczestnicy Kongresu jednomyślnie. Oczywiście, najlepsza nawet wola indywidualna i zbiorowa nie doprowadzi do przedsięwzięć na

dużą skalę, jeśli inicjatywy te nie zyskają wsparcia władz państwowych i akademickich, zarówno polskich jak zagranicznych, jeśli nie zostaną usytuowane na płaszczyźnie ponadśrodowiskowej. Płaszczyznę taką kształtować będzie siedmioosobowy Międzynarodowy Komitet Naukowy Polonistyki Zagranicznej.

Alina NOWICKA-JEŻOWA
(Uniwersytet Warszawski)

Niech żyje angielski

Po grece, łacinie, francuskim, przyszło oddać lingwistyczną palmę pierwszeństwa angielszczyźnie, językowi od dziesięcioleci dominującemu w gospodarce, polityce, technologii i kulturze, zwłaszcza masowej.

Wiek dwudziesty zaczął się optymistycznym myśleniem lingwistów anglosaskich, że ich pozbawiona deklinacji i koniugacji mowa ma szansę na status języka ogólnoświatowego, który mógłby przynieść pokój i dobrobyt wszystkim narodom. Te wysokie aspiracje językowe wiązały się pośrednio z polityczną ideą kolonizacji jako procesu cywilizowania prymitywnych społeczności krajów Azji i Afryki; ideą, dodajmy, głoszoną cokolwiek hipokrytycznie przez *establishment* brytyjski. Francuzi również odwoływali się do pojęcia *mission civilisatrice*, ale pod względem potęgi, ideowej swartości oraz wielkości regionów skolonizowanych wyraźnie przegrywali z Anglikami. Nadal jednak to francuski był językiem dyplomacji i handlu, a jego znajomość należała nie tylko do dobrego tonu, lecz także do kanonu edukacji szkolnej w całej Europie i, naturalnie, w zamorskich koloniach Francji. Angielski dopiero antyszambrował w kulturze i polityce, ale w miarę upływu czasu, mocą nowoczesnej

prostoty zastosowania czasów gramatycznych, zaczął nieubłaganie wypierać z powszechnego użycia bardziej skomplikowane formy francuskiego. Poza Europą, coraz więcej ludzi zamieszkałych w granicach politycznych British Empire zaczęło z konieczności posługiwać się językiem angielskim. Powoli stawał się on dla skolonizowanych „szlachetnych dzikusów” paszportem do lepszego wykształcenia, lepszej pracy, lepszego życia. Jednak granice językowe wyznaczone przez angielszczyznę zakreślały obszary jeszcze większe niż samo imperium korony brytyjskiej: angielski był przecież także językiem rosnących w siłę Stanów Zjednoczonych, co miało się okazać czynnikiem decydującym w wojnie angielskiego z francuskim o językowe pierwszeństwo.

Dwie wielkie wojny pierwszej połowy mijającego stulecia zapoczątkowały stopniowy demontaż Imperium Brytyjskiego, a wraz z nim zanik politycznego znaczenia Wielkiej Brytanii. Za to coraz większą rolę – militarną, ekonomiczną i kulturową – zaczęły odgrywać Stany Zjednoczone. Ich bezdyskusyjna potęga objawiła się w całej pełni zaraz po drugiej wojnie światowej: od tego czasu Amerykanie przodują niemal we wszystkich dziedzinach życia. Rozwój kultury masowej, a potem komputerowej sieci informacyjnej, dopełnił całości. Angielski stał się językiem globalnym, a powszechność jego użycia przerosła najśmielsze oczekiwania angielskich językoznawców sprzed stu lat, choć jak na razie nie zaowocowała wymarzonym ogólnoświatowym pokojem ani dobrobytem.

Hegemonia angielszczyzny zatem wywodzi się najpierw z handlowej i kolonialnej ekspansji Imperium Brytyjskiego, a następnie z technologiczno-kulturowej dominacji USA. Można by się też spierać, jak to na poły ironicznie czyni Umberto Eco („The Search for Perfect Language”, Blackwell, Oxford, 1995) czy nie zadecydowała o niej przede wszystkim monosylabiczność angielskiego, jego zdolność przyswajania słów obcego pochodzenia i łatwość kreowania neologizmów językowych raczej, niż same względy historyczne. W sumie przyczyny obecnej pozycji angielszczyzny stanowią pewnie kombinację wymienionych czynników tak politycznych, jak i czysto językowych. Jednakże bez względu na to, co ostatecznie nadało angielskiemu status globalności, *English is here to stay*.

Wraz z błyskawicznie rosnącą popularnością języka angielskiego, zaczęło gwałtownie wzrastać zapotrzebowanie na jego nauczycieli, na kursy, certyfikaty, szkoły językowe itp. Nawiasem mówiąc, uczenie angielskiego jest potężnym i szybko rosnącym biznesem, co jednak stanowi temat na zupełnie osobne rozważania. Notatka prasowa British Council z połowy lat dziewięćdziesiątych przewiduje, że do roku 2000 ponad miliard ludzi będzie uczyło się angielskiego. „Angielski jest głównym językiem książek, gazet, lotnisk, lotniczej kontroli powietrznej, międzynarodowego biznesu i konferencji akademickich, nauki, technologii, dyplomacji, sportu, międzynarodowych zawodów, muzyki pop i reklamy”. (British Council, English 2000 press release, 23 March 1995).

British Council jest instytucją z definicji i urzędu oddaną propagowaniu wszystkiego, co... brytyjskie, a więc przede wszystkim angielskie, z dopuszczeniem elementów szkockich albo walijskich, ale, broń Boże nie amerykańskich. Jest to rządowa organizacja opłacana z kasy państwa, która ma swoje przedstawicielstwa nieomal w każdym kraju świata. W siedzibie BC z reguły mieści się angielskojęzyczna biblioteka z centrum komputerowym oraz ośrodek nauczania języka z wykwalifikowanymi nauczycielami angielskiego. W ramach promocji kultury brytyjskiej BC organizuje też pokazy filmów, występy artystów, wystawy, itp. Rosnąca supremacja angielszczyzny jest przez British Council widziana w świetle jednoznacznie pozytywnym. Większe zapotrzebowanie na język oznacza większy prestiż i większe pieniądze dla instytucji zajmującej się jego promocją i nauczaniem.

British Council ma jednak rywala, a są nim rozrzucone po całym świecie francuskie ośrodki kulturalne. W pewnym sensie z BC rywalizują też ośrodki kultury amerykańskiej. Toczy się bowiem coś jak „wojna podjazdowa”... trzech języków. Amerykański bowiem, choć też niby angielski, jest od brytyjskiego angielskiego trochę inny i jakby bardziej atrakcyjny: amerykańska odmiana angielszczyzny nosi dżinsy *Levi's*, żuje gumę, jeździ na łyżworolkach, żegluje po internecie, rozumie idiomatykę smarkaczy z Beverly Hills, no i ma szanse zarabiać w dolarach. Brytyjska wymowa wymaga więcej wysiłku i praktyki, pisownia jest trudniejsza, czas Present Perfect bardziej wyrafinowany, humor absurdalny a

perspektywy zatrudnienia i zadomowienia się na Wyspach mniej pociągające niż to samo w Stanach, nadal wyznających wiarę w amerykańskie marzenie, *American dream*, które spełnia się tym, którzy chcą i próbują.

Współzawodnictwo brytyjsko-amerykańskie jest jednak o wiele bardziej subtelne i mniej agresywne niż angielsko-francuskie. Nawet bowiem przegrywając w kulturowej rywalizacji z Amerykanami, Brytyjczycy jakimś cudem i tak wygrywają lingwistycznie: w końcu przecież posługują się angielskim, też go potrafią nauczać i propagować. Wyrafinowane różnice leksykalno-syntaktyczne między brytyjską a amerykańską odmianą angielskiego nie mają znaczenia dla ugruntowanej już pozycji angielszczyzny jako języka światowego. Obie odmiany – brytyjska i amerykańska – zlewają się w anglosaskie zwycięstwo językowe nad Francuzami.

Tak więc francuski wchodzi w tę olimpiadę językową jako zawodnik stosunkowo najslabszy, choć rękami i nogami broniący się przed banicją na lingwistyczną prowincję. Pod koniec maja 98 prezydent Jacques Chirac złożył wizytę w Bejrucie, niegdyś perle kolonii francuskich, gdzie miało się odbyć spotkanie z merami i przedstawicielami 91 miast z 43 francuskojęzycznych krajów. W czasie konferencji prasowej prezydent odmówił odpowiedzi na pytanie zadane przez jakiegoś dziennikarza po angielsku. Chirac poprosił o przejście na francuski mówiąc: „Znajdujemy się na terenie francuskojęzycznym”. Jest to jeden tylko przykład francuskiej paranoi językowej, pomieszanej z arogancją, która maskuje przegrywającego.

Rząd Francji w ogóle traktuje temat języka ze śmiertelną powagą, może aż za śmiertelną. Z pobieżnego wywiadu przeprowadzonego wśród znajomych wykładowców francuskiego na Uniwersytecie Katarskim wynika, że są oni tutaj jakby na podwójnym kontrakcie: jeden podpisał z administracją uniwersytetu, drugi zaś z rządem francuskim. W ten drugi kontrakt wpisane jest słowo *mission*, misja. Nauczanie francuskiego jest bowiem misją, zresztą dobrze płatną, już co prawda nie *civilisatrice* (przynajmniej nie oficjalnie!), ale na pewno kulturalną i edukacyjną, a także polityczną. Najlepiej świadczy o tym fakt, że w ostatnich latach, oprócz prób zakazu palenia w kawiarniach, we Francji podjęto wysiłki

wytopienia anglicyzmów z języka francuskiego, co spotkało się z sarkazmem Anglików, wyniosłą obojętnością Amerykanów (oni i tak już wiedzą, że wygrali!) i, zdaje się, nie najlepszymi skutkami w samej Francji.

Francuski ośrodek kulturalny w małym Katarze ostro współzawodniczy z British Council w walce o rząd... języków. Popularność *le français* jest jednak ograniczona z przyczyn tyleż prozaicznych, co nieuniknionych: sama telewizja kablowa oferuje jeden tylko kanał francuskojęzyczny i chyba z dziesięć angielskich. Oficjalnym językiem kraju jest naturalnie arabski, ale bez znajomości angielskiego nie otrzyma się dobrej pracy, nie kupi hamburgera, coca-coli, dzinsów, nie zrozumie reklam, nie dogada się z hinduską służbą, nie ma dostępu do ogromnej części informacji na internecie, nie mówiąc już o samym korzystaniu z komputera. Aby z powodzeniem rywalizować z angielszczyzną, i to nie tylko tutaj, francuski musiałby przejąć prowadzenie we wszystkich konkurencjach: nauce, technice komputerowej, rozrywce, literaturze, reklamie, handlu, polityce itp, na co zupełnie nie ma szans.

Lokalny amerykański ośrodek kulturalny nie wydaje się nawet w połowie tak prężny i zainteresowany językowym współzawodnictwem, jak BC czy ośrodek kultury francuskiej. Amerykanie nie muszą się zresztą aż tak bardzo wysilać. Fascynacja Ameryką i tym, co ma ona do zaoferowania, przerasta zainteresowanie Anglią i Francją razem wziętych. Generalnie rzecz biorąc, należałoby przyznać, że dobrze prosperujące placówki British Council i ich skądinąd znakomite kursy językowe w pewnym sensie jadą na ogonie rozpędzonej bestii amerykańskiej, chociaż będąc zaprzysięgłą anglofilką w sukcesie angielskiego, chciałabym widzieć także jakąś rolę kultury brytyjskiej.

Naturalnie, ta postępująca – a raczej galopująca – ogólnoświatowa amerykanizacja prawie wszystkich sfer egzystencji, jakkolwiek nie do zatrzymania, ma swoje dobre i złe strony. Na przekór interesom British Council (i moim własnym, wszak nauczam angielskiego zawodowo i im więcej ludzi chce studiować angielskie czasy i idiomy, tym lepiej wygląda mój portfel), podobnie niejednoznaczna wydaje się niektórym ocena supremacji tego języka na świecie. Istnieją

na przykład ponure prognozy lingwistów co do szans przetrwania części języków narodowych: „Uważam za możliwą taką kalkulację, z której wynika, że nadchodzące stulecie ujrzy albo śmierć, albo upadek 90% języków ludzkich. Co robią językoznawcy, aby nas na to przygotować lub uchronić lingwistyczny świat przed tym katastrofalnym zniszczeniem?” (Krauss, M. [1992] „The world’s languages in crisis” *Language*, vol. 68, no. 1).

Rzadko kiedy jednak angielski jest bezpośrednią przyczyną zaniku jakiegoś języka i to pomimo faktu, że stanowi on język oficjalny wielu krajów, gdzie faktycznie istnieją języki na wymarcie. Migracje całych grup społecznych, np. w Afryce, lokalne wojny plemienne, rosnący status pewnych języków mniejszościowych na niekorzyść innych – wszystko to także przyczynia się do wyginięcia całych obszarów lingwistycznych. Przesadą byłoby więc winić wyłącznie angielski za zagrożenie światowej różnorodności językowej i kulturowej. Jednocześnie nie da się ukryć, że jego popularność rzeczywiście jest „ściśle związana z procesami globalizacji ekonomicznej, które pośrednio przyczyniają się do zaniku mniej używanych języków”. („Redesigning English: New Texts, New Identities”, ed. by S. Goodman and D. Graddol, Routledge, London 1996).

Kulturoznawcy i lingwiści o zacięciu socjologicznym dostrzegają też inne grzechy angielszczyzny, na przykład fakt jej bycia językiem sukcesu gospodarczego. Bez znajomości angielskiego trudniej jest wspiąć się na wyższy szczebel egzystencji materialnej zarówno jednostkom, jak i całym narodem, które w niedługim czasie pozostaną w tyle ekonomicznym, technologicznym i informacyjnym, jeśli nie zainwestują pieniędzy w lingwistyczną edukację społeczeństwa. Idealisci kłócą się, że w skali światowej dostęp do takiej edukacji ma niewielu, a jej elitarność kreuje nowe nierówności i nowe podziały społeczne na osoby czy kraje zwesternizowane (zamerykanizowane, posługujące się angielskim) oraz na resztę, skazaną na ekonomiczny niebyt z racji niezajomości języka, którym obecnie posługuje się cały cywilizowany świat.

Tak czy inaczej, dobrze czy źle – od angielskiego nie ma odwrotu. Kończąc w tonie pozytywnym, dodam, że wszystko co nowe, odkrywczе, twórcze, inspirujące w literaturze, psy-

chologii, informatyce i wielu, wielu innych dziedzinach ludzkiego życia, bierze obecnie początek właśnie z anglosaskiego obszaru językowego. Sam język jest przy tym niesłychanie klarowny, zwięzły, dynamiczny, otwarty na leksykalne nowości, imponująco bogaty słownikowo, a zarazem gramatycznie konsekwentny i przy odrobinie praktyki, nietrudny w obsłudze. W tym świetle żalobne uwagi pana Zanusiego zanotowane pewien czas temu w felietonie w *Polityce*, a dotyczące nierealności posługiwania się łaciną jako oficjalnym językiem EU wydają się tyleż pretensjonalne, co rażące swoim napuszonym snobizmem. Ludzie, uczenie się angielskiego, *tomorrow belongs to English*.

Magdalena ROSTRON

Nagrody

Po raz 35. i ostatni przyznano doroczne nagrody Fundacji Jurzykowskiego. Ogłoszenie nazwisk laureatów jest zwykle znaczącą uroczystością Polonii nowojorskiej. W piątek, 23 października w siedzibie Fundacji Kościuszkowskiej przewodniczący Komitetu Doradczego programu nagród, dr Jerzy Krzywicki Herbut, emerytowany profesor Queens College, przedstawił tegorocznych laureatów; zostali nimi:

- w dziedzinie historii: Janusz Pajewski, profesor Uniwersytetu Warszawskiego;
- w dziedzinie muzyki i teatru: Bogusław Schaeffer;
- w dziedzinie medycyny: Aleksander Koj, rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego,
- w dziedzinie matematyki: Stanisław Kwapien, profesor Uniwersytetu Warszawskiego;
- w dziedzinie literatury: Wiesław Myśliwski, m.in. autor powieści „Kamień na kamieniu” i „Widnokrąg”;
- w dziedzinie językoznawstwa: Wojciech Skalmowski, profesor uniwersytetu w Leuven.

Nagrody wynoszą 10 tysięcy dolarów.

Byli to ostatni laureaci nagród Fundacji Jurzykowskiego. Jej zarząd postanowił zamknąć ów program po 35 latach działalności. W tym czasie wyróżnienia otrzymało 451 uczonych, pisarzy i artystów polskich mieszkających w kraju i na Zachodzie. Zdobyty prestiż nagród spowodował, że zaczęto je określać mianem „polskiego Nobla”.

W liście zawiadamiającym o zamknięciu tego programu Zarząd Fundacji obiecał wykonanie na zakończenie „wielkiego gestu”. Na razie nie wiadomo, na czym ma on polegać.

Francuska Akademia Nauk Moralnych i Politycznych przyznała Prix Joseph du Teil pani Chantal Delsol i Michałowi Masłowskiemu za wydaną pod ich redakcją książkę „Histoire des idées politiques de l'Europe Centrale” (Paris, PUF, 1998). Praca zawiera opracowania kilkudziesięciu historyków i publicystów, w tym Roberta Sołtyka: „Visions de l'Europe du Centre-Est dans la revue KULTURA de Paris – Jerzy Giedroyc et Juliusz Mieroszewski”.

Z okazji jubileuszu 80-lecia Stowarzyszenia Autorów ZAiKS przyznano nagrody specjalne dla wybitnych twórców Wojciechowi Kilarowi i Jerzemu Stefanowi Stawińskiemu, a członkostwo honorowe ZAiKS otrzymali: Wisława Szymborska, Tadeusz Konwicki, Jan Krenz, Jeremi Przybora i Tadeusz Różewicz.

Leon Tarasewicz, profesor warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych otrzymał Nagrodę im. Jana Cybisa za rok 1998.

Tegoroczne nagrody Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku otrzymali: Nagrodę im. Marszałka Józefa Piłsudskiego, przyznaną za osiągnięcia zawodowe i zasługi społeczne, otrzymał Jean E. Boyle; Medal im. Wacława Jędrzejewicza z dziedziny historii przyznano prof. M. Kami-

lowi Dziewanowskiemu; Medal im. Josepha Conrada w dziedzinie literatury otrzymał Tad Szulc, pisarz i dziennikarz; Medal im. Marii Skłodowskiej-Curie w dziedzinie nauki przyznano prof. Hilaremu Koprowskiemu.

Tegoroczne nagrody im. Kościelskich otrzymali: poeta Jacek Podsiadło oraz krytyk literacki Przemysław Czaplński, autor książki „Ślady przełomu. O prozie polskiej 1976-1996”.

Nagrody Polskiego PEN Clubu: Stefan Chwin (proza), Urszula Koziół (poezja), Jan Radożycki, Aleksander Ziemny i Światosław Świacki (przekłady), Janusz Odrowąż-Pieniążek (edytorstwo).

Nagrodę im. Jana Strzeleckiego otrzymał Andrzej Mencwel.

Nagrody Polskiego Instytutu Naukowego w Nowym Jorku otrzymali:

Eva Hoffman, autorka – Laureat nagrody im. Bronisława Malinowskiego (Bronisław Malinowski Social Science Award) za książkę „Shtetl: The Life and Death of a Small Town and the World of Polish Jews”.

Timothy Snyder, Academy Scholar, Harvard University – Laureat nagrody im. Oskara Haleckiego (Oscar Halecki Polish and East Central European History Award) za książkę „Nationalism, Marxism and Modern Central Europe: A Biography of Kazimierz Kelle-Krauz 1872-1905”.

Beth C. Holmgren, Professor of Slavic Languages and Literatures, University of North Carolina-Chapel Hill – Laureat nagrody im. Wacława Lednickiego (Wacław Lednicki Humanities Award) za książkę „Rewriting Capitalism: Literature and the Market in Late Tsarist Russia and the Kingdom of Poland”.

Thaddeus B. Massalski, Professor of Materials Science

and Physics, Carnegie Mellon University – Laureat nagrody im. Tadeusza Sendzimira (Tadeusz Sendzimir Applied Sciences Award).

Peter T. Wolczanski, Todd Professor of Chemistry, Cornell University – Laureat nagrody im. Kazimierza Funka (Casimir Funk Natural Science Award).

Nagrody im. Witolda Hulewicza otrzymali: Barbara Wachowicz, Janusz B. Roszkowski, Jerzy Ofierski, Danuta Piotrowicz, Eryk Habowski oraz Agnieszka Hulewicz-Feillowa.

KASA IM. JÓZEFA MIANOWSKIEGO

Fundacja ta – jako Kasa pomocy dla osób pracujących na polu naukowym – powstała w roku 1881; założycielami jej stali się dawni wychowankowie warszawskiej Szkoły Głównej, którzy chcieli tym sposobem uczcić pamięć Józefa Mianowskiego, swego rektora.

W roku 1991 Kasa Mianowskiego została staraniem polskiego środowiska naukowego reaktywowana w formie społecznej Fundacji Popierania Nauki, która skupiła się głównie na programie stypendiów naukowych dla osób z krajów Europy Środkowo-Wschodniej.

Dwa zwłaszcza rodzaje stypendiów wchodzi tu w grę:

1. dla osób zainteresowanych badaniami nad historią, kulturą oraz zagadnieniami Polski współczesnej; w tym zakresie Kasa im. Mianowskiego korzysta z oddanej do jej dyspozycji pomocy z Fundacji Batorego;

2. dla osób zainteresowanych prowadzeniem badań z zakresu nauk przyrodniczych i ścisłych, które by sobie życzyły pracować w polskich ośrodkach naukowych; Kasa Mianowskiego korzysta tu ze wsparcia Fundacji na Rzecz Nauki Polskiej.

Obydwa wymienione rodzaje stypendiów przyznawane są na okres 1-12 miesięcy. Kandydaci w zasadzie winni być

po doktoracie, lecz są dopuszczalne wyjątki. Na kosztą zakwaterowania i utrzymania stypendyści otrzymują: (a) samodzielni pracownicy naukowcy równowartość 355 dolarów USA miesięcznie, (b) młodszy pracownicy nauki – równowartość 330 dolarów USA miesięcznie. Dopuszczalne jest w wypadkach uzasadnionych pokrycie kosztów podróży stypendysty do Polski.

Stypendia przyznawane są w drodze konkursu przez władze Kasy im. J. Mianowskiego i są ostateczne.

Terminy nadsyłania wniosków w grupie 1. upływają 30 kwietnia i 30 października; ogłoszenie decyzji następuje 15 czerwca i 15 grudnia.

Terminy wniosków w grupie 2. są następujące: nadesłane do 30 października rozpatrzone są do 15 grudnia każdego roku.

Kandydaci występujący o stypendia obydwu grup winni nadesłać: ankietę (według załączonego wzoru), życiorys, spis własnych publikacji naukowych z okresu 5 lat, informację, jakie znają języki, opis swego projektu badawczego. Podanie należy wysłać równocześnie z poparciem kandydatury przez co najmniej 2 osoby znane w świecie naukowym w danej dziedzinie oraz z pisemnym oświadczeniem, odpowiedniej instytucji w Polsce, która jest gotowa przyjąć stypendystę na czas jego ewentualnej gościny w Polsce.

Korespondencję do Fundacji im. J. Mianowskiego przyjmuje się napisaną po polsku. W uzasadnionych wypadkach dopuszczalne jest użycie języka angielskiego lub rosyjskiego.

Adres Fundacji:

Kasa im. Józefa Mianowskiego
Fundacja Popierania Nauki
Nowy Świat 72, p. 109-A
Tel. (4822) 826.71.74.
PL-00-330 Warszawa, Pałac Staszica

ANKIETA STYPENDIUM KASY IM. J. MIANOWSKIEGO FUNDACJI POPIERANIA NAUKI

Nazwisko, imię
Data i miejsce urodzenia
Obywatelstwo
Adres stałego zamieszkania
Zawód, stanowisko
Miejsce pracy – nazwa, adres
Studia i uzyskane stopnie naukowe (nazwa uczelni, stopień naukowy, rok uzyskania)
Przebieg pracy zawodowej (nazwa instytucji, pełnione funkcje, lata)
Członkostwo w organizacjach i towarzystwach naukowych
Uzyskane stypendia i odbyte staże naukowe (kraj, instytucja naukowa, daty pobytu)
Nawiązane kontakty z polskimi instytucjami naukowymi i (lub) polskimi badaczami
Cel pobytu naukowego
Nazwa instytucji naukowej planowanego stażu (lub nazwiska badaczy polskich)
Planowany okres pobytu i data rozpoczęcia stażu

Znam przepisy regulaminu stypendium Kasy im. J. Mianowskiego i zobowiązuję się je stosować.

Miejscowość, data podpis

Do ankiety stypendialnej kandydat powinien dołączyć:

- życiorys naukowy;
- spis ważniejszych publikacji własnych;
- program badań naukowych, który ma być realizowany w Polsce;
- w miarę możliwości kopie korespondencji z polskimi badaczami lub polskimi ośrodkami naukowymi, w których kandydat chciałby odbyć staż;
- jedną fotografię.

Notatki Redaktora

W Mińsku ukazał się numer *Kultury* w języku białoruskim, wydany przez grupę niezależnych białoruskich intelektualistów skupionych wokół czasopisma *Fragmenty* oraz organizacji „Kolegium”. Numer *Kultury* był zredagowany przez Ihara Babkou.

W numerze zamieszczono m.in. przedruki z *Kultury* – artykułów Juliusza Mieroszewskiego, Wiktora Sukiennickiego i Jana Drewnowskiego oraz wiersz Czesława Miłosza „Dzieci Europey”.

Niepokojąca sytuacja na Ukrainie. Przewodniczący parlamentu ukraińskiego, członek prokomunistycznej partii chłopskiej, Oleksander Tkaczenko, reprezentuje prorosyjską koncepcję, bardzo zbliżoną do polityki Łukaszenki. Tkaczenko zgłosił ostatnio w Moskwie projekt stworzenia wspólnej waluty oraz wspólnej marynarki wojennej. Antykomunistyczne partie podjęły akcję mającą na celu usunięcie Tkaczenki z przewodnictwa parlamentu.

W chwili obecnej trwa gorsząca walka między AWS i Unią Wolności o obsadzenie stanowisk wojewodów i ich zastępców. Jest to więc dalszy krok w destabilizacji administracji państwowej, gdzie nie będą się liczyły kompetencje, a jedynie przynależność partyjna. Jakie to daje rezultaty, przykładów nie brakuje.

Jesteśmy świadkami coraz większego zdżiczenia naszego życia politycznego. Wystąpienie ministra Pałubickiego jest najlepszą tego ilustracją. W każdym cywilizowanym państwie tego rodzaju osobnik byłby z miejsca usunięty.

Perspektywy na rok 1999 są niewesołe. Jest ciągle zamieszanie jeśli idzie o podział administracyjny kraju, brakuje przepisów wykonawczych, ciągle jest brak wyraźnych podziałów kompetencji między władzą centralną a samorządami, jest kryzys w wojsku i przemyśle zbrojeniowym, ciągle brakuje sprecyzowanej polityki rolnej i koncepcji przebudowy wsi, rosnące konflikty socjalne, no i wyjaśnienia afer jak np. Stoczni Gdańskiej – lista jest bardzo długa i na dłuższą metę nie da się tych spraw załatwić metodą premiera Buzka, który zapewnia, że wszystko jest jak najlepiej, że już zostało załatwione lub za chwilę będzie załatwione – ta metoda doktora Coué nie jest najlepszą metodą.

REDAKTOR

Ci, co odeszli

Nie lubię takich znaków

20 listopada 1998 odszedł Marian Brandys. Od długiego czasu – chyba od śmierci Haliny Mikołajskiej – literatura była jedyną sprawą, na której mu prawdziwie zależało. Przechorował kawał życia, pewnie i stąd ten zadawniony lęk przed zamilknięciem, stara obsesja, grubo wyprzedzająca wypadki. „Z przerażeniem stwierdzam, że przez dwa miesiące nic nie napisałem” – notował w „Dzienniku” jeszcze z 1972 roku, czyli o aktywnej porze życia. A zgubiwszy długopis – „Nie lubię takich znaków”.

W rozmowach ze mną od kilku lat krążył wokół śmierci. Beształam go, wymyślając od hipochondryków. Naburmuszał się, ale był zadowolony. Przez chwilę. Nie chciał wiedzieć, lecz wiedział, że dogasa.

Ostatni z nim wywiad przeprowadziła *Literatura*. Jeden z najlepszych żyjących pisarzy, laureat tyłu nagród, prezentowany w filmach telewizyjnych, ulubieniec recenzentów, cieszył się tą *Literaturą* jak debiutem. Miał egzemplarz w klinice i kiedy pozornie zaniósł się na poprawę, bo odzyskał świadomość, znowu sięgnął po *Literaturę*. Po siebie. Ten oddech prawie upoważniał do nadziei, że Marian wyzdrowieje.

Prawnik z wykształcenia, uczestnik ostatniej bitwy wrześniowej, oficer więziony w oflagu, jako dziennikarz wystartował późno, w wieku 32 lat. Wszyscy uprawiający polską specjalność: reportaży literacki, z reguły rejterowali do beletrystyki. Przez różne furtki, z różnym powodzeniem – ale w jednym celu, byle dalej od dziennikarstwa. Inaczej podchodził do tego Marian Brandys. Nawet po swoim apogeum, po siedmiotomowym „Końcu świata szwoleżerów”, nadal w jakimś

sensie poczuwał się do reporterstwa, cenił sobie ten odległy rozdział życia, w którym nawet się nie zanosilo, że korespondent prasowy z frontu pod Berlinem, redaktor *Świata*, a już zwłaszcza autor „Początku opowieści” czy „Wyprawy do Arteku” przeobrazi się w reportera historii.

Gdyby nie choroba, wykluczająca dalsze wojaże po sukcesie „Stasia i Nel”, to czy zaistniałby cykl znakomitych książek, które przyniosły Marianowi wysoką pisarską pozycję? Akademska ciekawość. Zostawił dzieło bez precedensu, jeśli idzie o nasze niepodległościowe nadzieje i wady, pokazane w zgodzie dotkliwej – ale w zgodzie z prawdą historyczną. Nasuwający duże analogie z sytuacją po Jałcie czas „Oficera największych nadziei”, „Kozietulskiego i innych”, „Czcigodnych weteranów”, „Ognia i popiołu” (stąd kłopoty z cenzurą), to epos o wolności Polski, wciąż traconej wskutek układu międzynarodowego. Pisał i później, ciekawe są jego opowiadania („Strażnik grobu królewskiego”, „Królestwo Białorusi”), ale już siebie z „Końca świata szwoleżerów” nie prześcignął.

W Marianie było dużo witalizmu, pogody i pobłażliwości. Trochę sarkazmu też. *Homo politicus*? Otóż nie. Jego pasje polityczne realizowały się w pisaniu. Obecność Mariana w opozycji antypartyjnej nawet nie daje się porównać z aktywnością Haliny. Był człowiekiem bardzo racjonalnym i miał potrzebę sprawiedliwości: tak bym nazwała jeden – bo nie jedyny – z powodów, które nie pozwoliły mu zostać na uboczu zdarzeń w latach 70-tych, ani też – bezkrytycznie zachłusnąć się euforią w następnej dekadzie.

Bardzo kochał żonę. Pogodzenie takich indywidualności łatwe nie jest, ale przy wszystkich ciężarach i zawirowaniach udało im się piękne małżeństwo, scementowane wzajemnym podziwem, wielkim wzajemnym zaufaniem. Mieli nieduże trzy pokoje, w których prócz nich długo zamieszkiwała rodzina Haliny. Każda z tych osób miała swoje życie, do każdej ktoś wpadał, dzwonił... W „Dziennikach” Marian nie ukrywa, że było trudno, ale w swoim pogodzeniu z sytuacją nie widzi nic nadzwyczajnego. Cały on, jakby powiedział Strykowski. W powiedzonku o kimś bliskim – „Jemu zawsze podobały się moje kobiety, natomiast mnie z jego flama – żadna” też był cały Marian.

Nie cierpiał afektacji. Potrafił jednym niewinnym zda-

niem wyciszyć taras oborski [czyli w domu pracy twórczej w Oborach]. Kiedyś razem przysłuchiwałam się jak literackie żony, wdowy i rozwódki prześcigają się w zachwytach nad filmem. Jedna mówiła, że rewelacyjny, druga uściślała, że odkrywczy, trzecia – że inspirujący. Marian miał swoje zdanie o tym maneużu intelektów. – Rany Boskie, zaczęły się wysokie diapazony.

No, a jego deklaracja – dawno, jeszcze przed rujnacją oborskiego parku i wycięciem krzewów, w których nocami wydierały się słowiki. Był gorący sierpień, do późna siedzieliśmy przed pałacem, co najmniej dziesięć osób, z których każda bardzo głośno zachęcała, by w ciszy kontemplować śpiew słowików. To dało efekt, bo uciekły, i już tylko literatów było słychać. Taras w achach i ochach. Wreszcie Marian, z naciskiem:

– Nie cierpię słowików!

I cisza. Jaka! Nikt nie odważył się zaprotestować. Publiczność słowików jednak знаła swoje miejsce przy Marianie Brandysie.

Z jego opinii o kimś bliskim: my się kochamy, ale się nie przyjaźnimy.

A miał szczęście do ludzi. Do wiernych przyjaźni. Zawiadująca archiwum i korespondencją Mariana pani Ala Rodziewicz w najtrudniejszym okresie organizowała mu opiekę w mieszkaniu i w Domu Pracy Twórczej Literatów w podwarszawskich Oborach. Potem już w klinice. Wspaniała człowiek. Zatrzymuję się przy niej, bo bardzo sobie założyła na zauważenie.

Do mieszkania Marianów przychodziłam często, ale to do Haliny. Z nim znaleźliśmy się głównie z Obór. Po dwa, po trzy miesiące w małym pensjonacie przez trzydzieści blisko lat – to nie jest mało. Przykuty do Warszawy, co najwyżej tu przyjeżdżał. Zmiana klimatu katastrofalnie odbijała się na jego astmie. Ataki ustąpiły dopiero gdy brat, zamieszkały we Francji, zaczął mu przysyłać jakieś nowe lekarstwo. Specyfik działał rewelacyjnie i Marian miał nadzieję, że przynajmniej umrze zdrowy.

Mawiało się: jadę do Obór, jak zawsze. A kto tam teraz jest? No, ci co zawsze.

Ostatnio już nawet imitowanie spaceru go męczyło. Przy-

stanął i zachmurzony przyglądał się dziwnym kanadyjskim gęsiom, pięknym, przypominającym ciemne amfory. Do zwierząt miał stosunek dosyć obojętny, za co też go besztalam. Oceniał gęsi negatywnie i poskarżył się:

– Nie lubię tu przyjeżdżać, nie lubię stąd wyjeżdżać.

– No to co pan lubi, panie Marianie?

– Narzekać.

W specyficznym literackim mikroświatku, obolałym od twardych starc z kapitalizmem, niedopieczonym, skopanym przez wydawców, Marian funkcjonował na osobnych prawach. Środowisko wybaczało mu lepszą sytuację. On był nie tylko respektowany jako dobry pisarz. Jego się lubiło.

We wrześniu Marian jeszcze bawił w Oborach, jak zawsze. Któregoś popołudnia zostaliśmy dłużej na jesiennym słońcu. Czuł się nie najgorzej, mimo zachęt zdziwionej tą wytrwałością pielęgniarzki (zazwyczaj to on niecierpliwił się, nalegał na powrót do swojego pokoju), nie spieszył się, rozmawiał bez wysiłku i ciekawie. Więc tamtego dnia, na oborskim tarasie, który latem nazywaliśmy patelnią, a i w to wciąż upalne jesienne popołudnie Marian, który już tak łatwo marzył, jednak zrzucił kurtkę, widząc jak się ożywił, pomyślałam, że może nic jeszcze nie jest przesądzone i sprawy pójdą dobrą drogą.

Coś opowiadał, śmiałam się, bo to było zabawne, i nagle umilkł. – Pójdziemy panie Marianie? – ożywiła się pielęgniarzka, wynaleziona – rozumie się – przez Alę Rodziewicz. Bardzo młoda dziewczyna, przyjemna, ale znudzona tym tarasem i nami, i wartą przy starym człowieku. Nie odezwał się, chwilę jeszcze siedział z opuszczoną głową. Wreszcie wstał. Twarz mu stwardniała. Powiedział bardzo cicho, tylko my dwoje mogliśmy usłyszeć: – Jakże nużące jest umieranie. Jakże nużące.

Ale to nie było powiedziane do mnie.

Anna STROŃSKA

Książki

Świadectwo liryki

Być może rzeczywiście jest tak, że liryka odsłania to, co najważniejsze. Choćby i w miłości. Stąd też i doskonałość tytułu nadanego antologii poezji polskiej ułożonej przez Dorotę Danielewicz-Kerski i wydanej w Kolonii: „Kochać to, co niewidzialne”. Ta dwujęzyczna księga najnowszej liryki warta jest uwagi z kilku co najmniej względów. Przede wszystkim dlatego, że skupia się na zjawiskach najnowszych, znaczących ostatnie dziesięciolecie. Ale też i dlatego, że prezentuje twórców słabo lub zupełnie na rynku niemieckim nieznanych.

Opracowanie tej antologii to nie tylko zgoda na ryzyko wynikające z niemożności ogarnięcia całości zjawiska, a zatem zmuszające do wyboru, przy tym wyborze trudnego, gdyż związanego z mniejszą lub większą przypadkowością w docieraniu do źródeł – dała temu wyraz autorka w posłowiu. Ale też temu właśnie trudowi szperacza, w którym to, co umknęło uwagi wynagradzane jest tym, co się znajduje, zawdzięczamy włączenie do tej książki wierszy wileńskiej poetki Alicji Rybałko, na której istnienie zwróciła autorce uwagę tłumaczka – świetna zresztą – poezji polskiej, Renate Schmidgall (jej trudowi translatorskiemu zawdzięczamy większość tekstów niemieckich), wśród tłumaczy odnajdujemy też Henryka Bereskę i Roswithę Matwin-Buschmann, oboje doskonale prezentujący polskie pisarstwo w byłej NRD, zaś obok nich utalentowaną debiutantkę, Joannę Manc, znaną czytelnikom *Kultury* z publikowanych tu wierszy.

Bez wątpliwości antologia Danielewicz-Kerski należy do najciekawszych wśród tych, jakie ukazały się ostatnio w nie-

mieckim obszarze językowym. Trudno ją, oczywiście, zestawiać z monumentalnym wyborem polskiej liryki tego stulecia, dokonany przez Karla Dedeciusa w jego wielotomowej „Panoramie literatury polskiej XX wieku” (słabym, choć cennym jej echem może być „Polnische Lyrik aus Hundert Jahren” przygotowana przez Sergiusza Sterne-Wachowiaka, a przełożona przez Josepha Retza). Trudno ją też, choć z innych względów, porównywać z przypadkowym wyborem współczesnych utworów polskich zredagowanym przez Sylwię Geist i wydanym w roku 1996 pt. „Zwischen den Linien”. Warto natomiast zestawiać ją z antologią sprzed lat kilkunastu, jaką był tom „Landkarte schwer gebügelt” zredagowany przez Petera Rainę, opatrzony zaś analitycznym, rozbudowanym wstępem Witolda Wirpsy. Była to antologia poetów „pokolenia 68”, która w dodatku doczekała się dwóch wydań i bez wątpliwości w walnej mierze przyczyniła się do wprowadzenia na rynek niemiecki takich poetów jak Ewa Lipska, Ryszard Krynicki czy Adam Zagajewski. Ten ostatni zresztą jest też autorem wstępu do antologii najnowszej. Przyznam, że wstęp ten nieco rozczarowuje. Po dość ogólnikowej charakterystyce sytuacji, w jakiej znaleźli się jego następcy, Zagajewski jakby ze zdumieniem spostrzega, że nie tylko o debiutantów tu chodzi: „Ale, gdy jeszcze raz spoglądam na listę autorów przedstawianych w tej antologii, widzę, że – po pierwsze – nie jest ona aż tak aptekarsko precyzyjna w definiowaniu nowego pokolenia, jako że zawiera wiersze bardzo ciekawych poetów należących chronologicznie raczej do mojego pokolenia i – po drugie – iż są tu różne talenty i że, jak zwykle, generalizacje idą swoją drogą, a poezja swoją”. Po tym dość dla czytelników Zagajewskiego zaskakującym (także stylistycznie) zdaniu, następują dwa kolejne, doklejone doń i zamykające wypracowanie, które z pewnością nie mówi czytelnikowi niemieckiemu wiele: „W sumie więc talentu młodym i najmłodszym poetom nie brakuje i z pewnością energia ich poezjowania rozbija wąskie naczynia pokoleniowych polemik. Już rozbija!”. Chciałoby się dodać jeszcze jedną oczywistość: „Tak Adamie, zawsze rozbijała”. Otóż wydaje się, że niezależnie od podobnych potknięć, antologia Danielewicz-Kerski – uzupełniona na szczęście o bardziej analityczne i konkretne, choć bez wątpliwości

zasługujące w paru miejscach na polemikę postłowie – ma szansę odegrać w stosunku do prezentowanej tu poezji rolę podobną do tej, jaką w stosunku do poetów Nowej Fali odegrała antologia Rainy. Tym bardziej, iż stanowi ona jakby naturalne jej przedłużenie. Obok mniej „politycznych” wówczas (w latach siedemdziesiątych) rówieśników Lipskiej i Barańczaka, prezentuje także utwory następców, aż po poezję najmłodszą, powstającą już po głośnym debiucie „generacji *brulionu*”.

Tom otwierają wiersze Adriany Szymańskiej, Bohdana Zadury, Macieja Cisty i Piotra Sommera – trochę szkoda, że w tej grupie autorów zabrakło miejsca dla Janusza Szubera i Józefa Kurylaka, dwóch późnych bardzo debiutantów tej grupy pokoleniowej. Kolejna grupa to pisarze, których nazwiska związane są z „pokoleniem ‘76” (wg terminologii Edwarda Balcerzana): Mira Kuś, Krystyna Lars, Aleksander Jurewicz, Kazimierz Brakoniecki, Bronisław Maj, Tomasz Jastrun, Alicja Bykowska-Salczyńska – konsekwentnie niestety błędnie podpisywana jako „Sałczyńska” (to przykład jednej z wielu, niestety, „literówek”) – Maciej Niemiec, Anna Janko, Paweł Huelle, Zbigniew Machej. I znów – może zdziwić obecność Huelle, autora jednego tylko zbioru wierszy i znanego raczej jako prozaik, zaś zaskoczyć brak kilkorga innych autorów tej grupy generacyjnej: Antoniego Pawłaka (średnim argumentem przeciw jego obecności jest fakt wydania przed laty dwujęzycznego tomu w Berlinie Zachodnim, skoro to samo i w tym samym wydawnictwie przydarzyło się Jastrunowi) przede wszystkim, ale także Krzysztofa Lisowskiego, Anny Czekanowicz, Bożeny Ptak, Janusza Drzewuckiego czy Grzegorza Musiała. Rówieśnicy „bruLionowców” i oni sami prezentowani są przez Andrzeja Sosnowskiego, Hannę Kowalewską, Alicję Rybałko, Jakuba Ekiera, Marcina Świetlickiego, Marzannę B. Kielar, Krzysztofa Koehlera, Marcina Barana i Marzenę Brodę. Umieszczenia swych wierszy w antologii odmówił tegoroczny laureat Nagrody Kościelskich Jacek Podsiadło – szkoda, gdyż jego nieobecność zubaża obraz całości. I znów – wiersze Kowalewskiej nie wydają się tak interesujące jak jej proza, brak natomiast kilku poetów rzeczywiście w tej formacji pokoleniowej ważnych, jak choćby Grzegorza Wróblewskiego, Jarosława Klejnockiego, Euge-

nusza Tkaczyszyna-Dyckiego czy Andrzeja Niewiadomskiego (obecność Kowalewskiej to zapewne spełnienie ważnych w Niemczech wymogów „płciowej poprawności” – jak pisze niemiecka redaktorka tomu w słowach „Do Czytelnika”: „Wyrównana ma być również liczba prezentowanych poetek i poetów”). Najmłodszych wreszcie reprezentują Ewa Sonnenberg, Krzysztof Śliwka, Katarzyna Nalepa, Wojciech Wencel, Krzysztof Siwczyk i tajemnicza Samantha Kitsch z Nowego Jorku. Szkoda, że zabrakło miejsca dla Darka Foxa czy Artura Szlosarka – tego ostatniego choćby z tego względu, iż można by w ten sposób włączyć antologię w ciąg zaproponowany w antologii Dedeciusa, w której Szlosarek jest ostatnim z przedstawianych polskich liryków stulecia.

Antologia Danilewicz-Kerski to bez wątpienia książka prezentująca pisarzy, którzy swe dzieła najważniejsze napiszą w większości w przyszłym już stuleciu. Ważne wydaje się jednak również pokazanie tych autorów, którzy – będąc ich rówieśnikami – pozostawali z różnych względów w cieniu Nowej Fali. Można zaryzykować twierdzenie, że omawiana książka, będąc doskonałym wprowadzeniem niemieckiego czytelnika w świat poezji polskiej lat dziewięćdziesiątych, jest także interesująca ze względu na umiejętność narysowania czy raczej wydobycia na jaw tej linii wrażliwości, która w sytuacji uwalniającej literaturę z uwikłania w politykę staje się dominująca (czy na długo, to pytanie osobne). A że jest to interpretacja tendencji lirycznych raczej trafna, zaświadcza popularność poezji Zadury wśród poetów urodzonych w latach 60-tych i później.

Leszek SZARUGA

* Das unsichtbare lieben / Kochać to, co niewidzialne. Neue polnische Lyrik. Anthologie. Herausgegeben von Dorota Danilewicz-Kerski. Mit einem Vorwort von Adam Zagajewski. Tłum. Henryk Bereska, Joanna Manc, Roswitha Matwin-Buschmann, Renate Schmidgall. Kitsten Gutke Verlag. Kolonia 1998, s. 318.

Nacjonalizm chrześcijański w Trzeciej Rzeczypospolitej

Książka Bogumiła Grotta pt. „Nacjonalizm chrześcijański – Myśl społeczno-państwowa formacji narodowo-katolickiej w Drugiej Rzeczypospolitej” (Wyd. „Universitas”, Kraków 1991) wyszła w małym nakładzie, drukowana na marnym papierze i z niewyraźnymi ilustracjami. Wśród owych ilustracji jest oczywiście podobizna ojca polskiej endecji Romana Dmowskiego, bo całe to studium obejmujące dzieje rozwoju tzw. myśli narodowo-chrześcijańskiej w kontekście rodzących się ruchów nacjonalistycznych w Europie i faszyzmu nie wykracza poza chronologię Drugiej Rzeczypospolitej. Książka o ewolucji dmowszczyzny, a potem wynikłych z niej radykalizmów, z Falangą Bolesława Piaseckiego włącznie, jest jednak ciekawą lekturą i dzisiaj nie tylko dla specjalistów-politologów ale i dla Czytelnika interesującego się obecnym rozwojem sytuacji ideowo-politycznej w Trzeciej Rzeczypospolitej. Właściwie zdumiewa niejednokrotnie identyczność poglądów głoszonych do r. 1939 przez „obóz narodowy” i jego różne kolejne ugrupowania z głoszonymi dzisiaj poglądami przystosowanymi do obecnej sytuacji Polski i świata... Tzn. są one w zasadzie kompletnie nieprzystosowane do polskiej, czy światowej geografii politycznej i ideologicznej łącznie z obecną fazą wstępującą soborowego chrześcijaństwa, o czym ideolodzy wielu odłamów dzisiejszej „prawicy” nie wiedzą. Właśnie książka Grotta uzmysławia dziwność pojawienia się obecnie partii czy ruchów, oraz centrów propagandowych, głoszących nieco tylko zmodyfikowane teorie i tezy sprzed co najmniej 60 (o ile nie wcześniejszych) lat.

Jak sobie wytłumaczyć trwanie tych już nie konserwatywizmów lecz „konserwantów”, niejako skamielin poglądów „nacjonalistyczno-chrześcijańskich”? Problem to pasjonujący i wymagający bardziej fachowych analiz. Publicysta obserwujący wydarzenia polityczne (i doświadczający ich na własnej

skórce) pomyśli sobie zapewne, że pewna żywotność polityczna, kulturalna i religijna dawnych orientacji narodowo-chrześcijańskich, tzw. polsko-katolickich, jest spowodowana tym, że z jednej strony „narodowcy” czy „endecy” w czasach zwłaszcza komunizmu przeszli przez próbę wielu cierpień za swoje przekonania, z drugiej zaś strony w tym samym czasie narodziły się nowe „formacje patriotyczne” – jak siebie same zwały. Formacje te były wynikiem życia PRL-owskiego. Polska będąc tzw. „demoludem” (jest coś demonicznego w tej potocznej nazwie satelitarnych krajów ZSSR) była pod szantażem rosyjskim i w sytuacji beznadziejności – jak uważano – układu pojałtańskiego. W dodatku PRL ateizowała naród z premedytacją, w sposób zorganizowany i brutalny. Idee endeckie w tych warunkach były koordynowane przez tzw. realizm polskiej racji stanu. Właściwie dwie powstały w PRL „oficjalne” orientacje, odwołujące się do patriotyzmu i starające się ratować wartości narodowej kultury. Był to „Pax”, a po 1956 roku neopozytywistyczny „Znak” sejmowy (ale już nie Neo-Znak), środowisko *Więzi* i Kluby Inteligencji Katolickiej. Jednak na pewno tylko „Pax”, mimo że w praktyce kultywował pewien mecenat kulturalno-naukowy nad poszczególnymi uczonymi i pisarzami o poglądach antynacjonalistycznych, był patriotyzmem zainfekowanym totalizmem i antysemityzmem, po prostu był faszyzującym ruchem z ducha nie chrześcijańskim. Potępienie ideologii Piaseckiego przez Watykan, jego „instynkt państwowy” postawa zajęta w 1956 i 1968 roku nie budzi wątpliwości, że była to „reżimowa” wersja bycia katolikiem i patriotą. Była to dla wielu powikłana moralnie sytuacja. Pokolenie rzetelnych, wspaniałych patriotów wychowanych po prostu przez Niepodległą Polskę dwudziestolecia zginęło w powstaniu warszawskim, w stalinowskich więzieniach, bądź wyemigrowało do wolnego świata. Niemniej, wydawcy paxowscy publikowali (co prawda cenzurowane i nieraz skłamane) historie AK i w ogóle walki podziemnej. To prowadziło do następnego skrzywienia i spokraczenia uczuć wielu Polaków w formie zwanej „moczaryzmem”, a potem usymbolizowanej mundurem generała Jaruzelskiego, wojną wydaną własnemu narodowi przez wojsko w rogatywkach i z biało-czerwonymi naszywkami i sztandarami! Coś z tej trucizny pozostało nadal

w naszym krwiobiegu społecznym i narodowym i to „coś”, ten tragiczny „mutant” patriotyzmu i spuścizny endeckiej trwa do dzisiaj owocując nieraz niezwykłym faryzeizmem w sensie ideowym i moralnym. Pisał o tym we wrześniowym numerze *Kultury* ks. Józef Tischner w eseju pt. „Ewangelia – nadzieją czy wspomnieniem?” Chodzi o wspomnienie nie tylko zlaicyzowanych osób, lecz i tych, których poglądy powołujące się na Ewangelię nie są w ogóle jej świadectwem.

Książka docenta Grotta zajmuje się oczywiście stale relacjami pomiędzy Kościołem a „obozem nacjonalistyczno-chrześcijańskim”. Przenoszenie nawet wyselekcjonowanych programów i idei tamtego okresu na obecną sytuację w katolicyzmie polskim będącym żywą częścią Kościoła Powszechnego i od 20 lat rządzonego przez Jana Pawła II, a znajdującego się w okresie przemian trzeciej dekady po II Soborze Watykańskim, jest nie tylko anachronizmem lecz i, powiedzmy (ze względu na polskość Ojca świętego), pewną nieprzyzwoitością. Nie chodzi o ferowanie sądów moralnych. Ta sytuacja jest w olbrzymim stopniu spowodowana izolacją ustrojową, kulturową, religijną pojałtańskiej Polski. Dużo by o tym mówić. Wspomnę tylko dla przykładu słynną homilię papieża Wojtyły w czasie trzeciej pielgrzymki do Polski, wygłoszonej w Gdańsku, kolebce „Solidarności”. Papież dziękował stoczniovcóm za „solidarność” w imieniu całego Kościoła. Czy zrozumiano wówczas, że ów „cały Kościół” to nie tylko słuszny podziw dla walczącej polskiej „Solidarności” (w tym i KOR-u), lecz i radość, że np. kraje Ameryki Łacińskiej otrzymują w swej walce o prawa człowieka nie-marksistowską „teologię wyzwolenia”? Do tej pory nieporozumienie co od znaczenia pojęcia „solidarności” wśród chrześcijan katolików w Polsce jest aktualne. Kościół Jana Pawła II nie jest w tej samej epoce własnej samoświadomości co epoka czasów badanych przez Bogumiła Grotta, czy świata politycznej i nawet teologicznej wyobraźni obecnych wyznawców narodowo-katolickich programów, które są abstrakcją. Ewangelia jest dla ludzi wierzących w Chrystusa czymś niezwykle realnym, osadzonym w konkretnie historii rzymskiego imperium, ale zawsze przerastająca to i inne imperia. Prawdopodobnie większości duchownych polskich, szczerze modlących się za Papieża Polaka, po prostu nie jest

znana możliwość, że Jan Paweł II jest patriotą ale nie „dmowskim” czy „piaseckim” a nawet „księżo-rydzykowym” lecz norwidowskim. Antropologia tego człowieka wywodzi się w sensie myśli o narodzie z Promethidiona, a nie Jędrzeja Giertycha. Podobnie jest z „teologią pracy” w Laborem Exercens. Stosunek do rewolucji Papieża wywodzi się z albertynizmu „Brata naszego Boga”, a nie różnych endeckich korporacjonizmów i koncepcji „Narodowego państwa monoideowego”. W tych nieporozumieniach skrywa się ogromny tragizm współczesnej Polski. I to uświadamia lektura książki pt. „Nacjonalizm chrześcijański”.

Marek SKWARNICKI

„Pan Tadeusz” po raz czwarty

Ukazał się kolejny przekład białoruski „Pana Tadeusza”, tym razem Piotra Bitela. Wydano go w Mińsku łącznie z oryginałem, oraz tłumaczeniem rosyjskim. We współpracy z warszawskim „Czytelnikiem” i moskiewskim „Woskresieniem”. Na dobrym poziomie edytorskim. Wszystko to stało się możliwe dzięki obchodom dwóchsetlecia urodzin Adama Mickiewicza, na uświetnienie których rząd Republiki Białoruś wyasygnował spore środki (m.in. na rekonstrukcję Zaosia i renowację Nowogródka).

Z języków obcych „Pan Tadeusz” najwcześniej był tłumaczony właśnie na białoruski. Potem pojawiło się przekładów białoruskich jeszcze kilka (niektórzy twierdzą, że – pięć). Jest zatem okazja przypomnieć je.

Pierwszego dokonał patriarcha piśmiennictwa białoruskiego, Wincenty Dunin-Marcinkiewicz, zapoczątkowując w 1859 roku w Wilnie wydawanie kolejnych ksiąg. Ponieważ wszelki druk po białorusku był surowo zakazany przez władze carskie, uciekano się w kontaktach z cenzurą do chytrostki, mianowicie podając, iż tekst jest napisany w języku

bułgarskim... W międzyczasie nastąpiła jednak zmiana w tutejszym urzędzie cenzorskim, Rosjanina zastąpił miejscowy reżymowiec, rozeznający się w białoruszczyźnie, który natychmiast rozkazał zniszczyć wydrukowany już nakład. Ocalało potajemnie parę egzemplarzy, przechowywanych obecnie w Bibliotece Jagiellońskiej. Sam Dunin-Marcinkiewicz zapewne srodze się usprawiedliwił z tej kramoły.

Na początku naszego stulecia „Panem Tadeuszem” inspirował się inny Mickiewicz, Konstanty, również z nowogródzkiej strony; znany później klasyki narodowej literatury Białorusinów, podpisujący swe utwory jako Jakub Kołasa. Mam na myśli poemę Kołasa „Nowaja ziemia” (Nowa ziemia), którą teraz – znakomicie zresztą – polszczy Czesław Seniuch, warszawski lidczanin. Jeśli w „Panu Tadeuszu” zawiera się szlacheckie osiemnastowieczne, kończące się kampanią rosyjską Napoleona, to „Nowaja ziemia” jest białoruskojęzyczną kontynuacją muzycznego, zwłaszcza pouwłaszczeniowego dziewiętnastowiecza, kres któremu położyła pierwsza wojna światowa. Znamienna para z obu tych Mickiewiczów, piewców tegoż Nadniemienia. Pierwszy z nich opiewał dwór, drugi – wieś.

Następnym tłumaczem „Pana Tadeusza” okazał się być Bronisław Taraszkiewicz, zachodniobiałoruski przywódca w międzywojniu, lider sławetnej Hramady. Odbываяc w Grudziądzu ciężki wyrok, uzyskał on mimo to zezwolenie władz więziennych na trudnienie się pracami literackimi. Białoruski manuskrypt owej translacji szczęśliwie się zachował i – staraniem Polskiej Akademii Nauk – został opublikowany w 1984 roku (nakładem olsztyńskiego „Pojezierza”). Ów privat-docent filologii klasycznej uniwersytetu petersburskiego dokonał potem białoruszczenia „Iliady”; rękopis, niestety, zaginął po aresztowaniu Taraszkiewicza przez NKWD i egzekucji niebawem.

Kiedy w schyłkowym PRL-u trwał stan wojenny, w Białoruskiej SSR ukazał się po raz pierwszy „Pan Tadeusz” w przekładzie białoruskim, autorstwa Jazepa Siemiazona – najlepszym z dotychczasowych. Wydanie zostało przygotowane z niejakiim przepychem, w stylu drogiego albumu. Nie bacząc na to, ową, nieomal kilogramową „cegłę” rozchwytało w okamgnieniu. Już wtedy dochodziły słuchy o istnieniu innego przekładu eposu. Mówiono o jakimś nowym nazwisku. O Piotrze Bitelu, o którym czasami ostrożnie wzmiankowano w prasie literackiej. Szło o to, że był on długoletnim łagiernikiem.

Do zainteresowania się Bitela eposem Mickiewicza doszło poniekąd przypadkowo. Ktoś z polskich współwięźniów, pracujących przy wyrębie tajgi, otrzymał pewnego razu paczkę żywnościową z Warszawy, na dzień której znajdował się – nie wykryty, czy też zlekceważony przez kontrolerów – tom Mickiewicza „Pan Tadeusz”. Książkę czytano, ale niewielu Białorusinów mogło ją zrozumieć. Piotr Bitel najpierw improwizował dla nich przekaz białoruski, musiał czynić to wielokrotnie i wobec coraz większego audytorium, co nie było bezpieczne. W końcu wystarano się mu o ołowiane drukarki z jakiejś instalacji i arkusze papieru wycięte z worków po cementie, by mógł jakoś zapisywać i dawać do poczytania. Wreszcie, ktoś ze strażników zdybał go na tym zajęciu – wlepiono Bitelowi kilka dni ostrego karceru.

Po powrocie z zesłania za „odwilży”, Piotr Bitel próbował zainteresować swym przekładem mińskich wydawców; owszem, parę fragmentów puszczono mu i tyle. Pamiętam jeden z tych urywków; zafrapował mnie swą kongenialnością. Trzeba było dopiero śmierci samego Piotra Bitela (1991 r.), rozpadu ZSSR, 200-ej rocznicy urodzin Wieszcza, i z wolna zaczynającej się wymiany pokoleniowej, by stało się możliwe wydanie pełnego jego przekładu „Pana Tadeusza”, po przeszło czterdziestu latach.

Podobno – znowu gdzieś ktoś zabrał się do przekładania... Mam wrażenie, że Białorusini kochają „Pana Tadeusza” bardziej, aniżeli sami Polacy. Nie widzę w tym nic dziwnego, wszak nikt lepiej od Mickiewicza nie opisał ich krajobrazu i ludzi. Mocowanie się przy tym z Mickiewiczowską frazą, to wielka pokusa dla białoruskich talentów.

Krynki, 18.10.1998

SOKRAT JANOWICZ

POLSKA – WSCHODNI SĄSIEDZI

14-21.11.98

W Toruniu odbył się IV Toruński Festiwal Książki. W jego ramach obchodzone XX lecie współpracy miast partnerskich Toruń – Göttingen i wręczono Nagrodę Literacką im. Samuela Bogumiła Lindego – Siegfriedowi Lenzowi i Tadeuszowi Różewiczowi. Wśród festiwalowych imprez były spektakle, recitale muzyczne, wystawy oraz spotkania z pisarzami, m.in. z Hanną Krall, Zofią Kucówną, Wandą Chotomską, Krystyną Nepomucką, Michałem Jagiełłą, Krzysztofem Karaskiem, Wacławem Oszajcą i Bolesławem Taborskim. Odbyła się również promocja serii książkowej „Archiwum Emigracji” zaprezentowanej przez Mirosława A. Supruniuka. ■ Romuald Witkowski, reprezentant mniejszości litewskiej, b. wójt gminy Puńsk, a ostatnio szef wydawnictwa Ausra, został wicestarostą powiatu sejneńskiego.

20.11.98

W Krakowie odbyła się międzynarodowa konferencja na temat „Ukraina i Polska wobec niepodległości. Wspólnota i odmiennosc doświadczeń”.

26-30.11.98

W Stołecznym Klubie Garnizonowym w Warszawie odbyły się VII Targi Książki Historycznej, z udziałem ponad 50 wystawców. Miały miejsce imprezy towarzyszące i spotkania z kilkudziesięcioma pisarzami. Targi rozpoczęły się od ogłoszenia Nagród „Klio”, przyznanych przez Porozumienie Wydawców Książki Historycznej. Otrzymali je – w kategorii autorskiej: Jacek Banaszekiewicz za „Polskie dzieje bajeczne mistrza Wincentego Kadłubka”, Elżbieta Kotarska za „Proces czternastu”, Magdalena Micińska za „Zdrada córka nocy. Pojęcie zdrady narodowej w świadomości Polaków w latach 1861-1914”, w kategorii monografii naukowych: Hubert Orłowski za „Polnische Wirtschaft – Nowoczesny niemiecki dyskurs o Polsce”, Maciej Janowski za „Polska myśl liberalna do 1918 r.”, Aleksander J. Leinwand za „Sztuka w służbie utopii. O funkcjach politycznych i propagandowych w Rosji Radzieckiej lat 1917-1922”: w kategorii warszawianów: Izrael Gutman za „Walka bez nadziei. Powstanie w getcie warszawskim”, Bolesław Taborski za „Moje powstanie – wtedy i teraz”. Ponadto w kategorii edytorskiej: Wydawnictwo Kluszczyński za edycję książki pod red. Andrzeja Nowaka „Kronika Polski”, Wydawnictwo Szkolne PWN za edycję książki Ewy Wipszyckiej „Cywilizacja starożytna”.

11.12.98

Wybitny rosyjski prozaik Aleksander Isajewicz Solżenicyn obchodził 80-tą rocznicę urodzin. ■ Ukraińska Akademia Nauk obchodziła 80-lecie powstania.

ZACHÓD

25.9.98

W Rzymie miało miejsce międzynarodowe sympozjum poświęcone porozumieniom religijnym w czterech krajach: Białorusi, Litwie, Polsce i Ukrainie. Organizatorem sympozjum byli: Polski Instytut Kultury Chrześcijańskiej – Fundacja Jana Pawła II oraz Instytut Europy Środkowo-Wschodniej z Lublina. W sympozjum uczestniczyło ponad 40 naukowców przybyłych z Białorusi, Litwy, Ukrainy oraz Polski.

11.11.98

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu miał miejsce odczyt prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, Mariana Zgórniaka, „L'armée polonaise en France entre 1917 et 1918”.

24.11.98

W Bernie zmarła w wieku 94 lat Dieneke Tzaut-Vis. Pochodziła z arystokratycznej rodziny holenderskiej. Wraz ze swym mężem, zmarłym kilka lat wcześniej, urzędnikiem szwajcarskiej policji, Henri Tzautem, opiekowała się przez wiele lat Jerzym Stempowskim, który mieszkał u nich w Bernie. Asystowała w 1994 r. w przewiezieniu urny z prochami Jerzego Stempowskiego do Warszawy.

27.11.98

Janina Katz-Hewetson otrzymała nagrodę Duńskiej Akademii Literatury za całokształt twórczości literackiej (bez tłumaczeń). Pani Katz-Hewetson od 1991 r. wydała 10 książek: 6 zbiorów poezji, 2 tomy opowiadań, książkę autobiograficzną oraz powieść. Duńska Akademia Literatury przyznaje pięć nagród raz na dwa lata.

4.12.98

Stowarzyszenie Polskie w Genewie zorganizowało „Wieczór z Mickiewiczem”. Odczyt „Przyjęcie Mickiewicza we Francji poprzez historię tłumaczeń” wygłosił prof. Francois Rosset. Miał miejsce również recital poezji Mickiewicza po francusku i polsku w wykonaniu Anny Kaweckiej. ■ W Instytucie Polskim w Paryżu została otwarta wystawa prac Jana Lebensteina „Etapes”.

4-6.12.98

Odbyło się kolokwium „Mickiewicz par lui-même” zorganizowane przez Société Française d'Études Polonaises z udziałem Centre d'Études Slaves. Historycy literatury, językoznawcy, tłumacze z Francji, zrzeszeni w SFEP, wygłosili 20 referatów. Pierwszy dzień odbył się w Stacji PAN, następne w Lycée Montaigne w Paryżu.

8.12.98

Na Uniwersytecie Paryż IV – Sorbona p. Zofia Zielińska, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, wygłosiła odczyt: „Les principes de la politique étrangère russe au XVIIIe siècle à la lumière des archives nouvellement accessibles”.

10.12.98

W Stacji PAN miał miejsce odczyt „Portrait de Marie Skłodowska Curie” prof. Józefa Hurwica (Université de Provence). Przewodniczyła odczytowi wnuczka Marii Skłodowskiej, prof. Hélène Langevin-Joliot (Université de Paris-Sud XI Orsay). Wieczór zorganizowany został przez Bibliotekę Polską w Paryżu i Stację PAN.

11.12.98

W Centre du Dialogue w Paryżu prof. Przemysław Krajewski z Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie wygłosił odczyt „Biblioteka Załuskich w Warszawie w latach 1742-1795 w świetle najnowszych badań archiwalno-ikonograficznych”.

15 i 16.12.98

„Dziady” A. Mickiewicza (po francusku), w reżyserii, choreografii i adaptacji Elżbiety Czerczuk i w wykonaniu jej trupy aktorskiej prezentowane były w Stacji PAN. Muzyka oryginalna: Jean-Pierre Vey i Bogdan Mizerski; dekoracje Zofii Panasiuk.

17.12.98

W Collège de France w Paryżu odbyło się kolokwium „Mickiewicz, La France, l'Europe”. Organizatorem kolokwium jest prof. Michel Masłowski, président du Comité Français du Bicentenaire.

12.1.98

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu, rektor Uniwersytetu im. A. Mickiewicza w Poznaniu, Stefan Jurga, wygłosi odczyt pt. „Naukowy Poznań, sytuacja obecna i przyszłość”.

Kronika kanadyjska

Najstarsze pismo kanadyjskie *Związkowiec*, organ Związku Polaków w Kanadzie, zmieniło właściciela. Jest nim obecnie Credit Union w Toronto. Redaktorem naczelnym pisma został Jarosław Abramow-Newerly, a jego zastępcą Stanisław Stolarczyk, który prowadził pismo od stycznia 1998 r. ■ Nowym prezesem Polonii Kanadyjskiej został Lucjan Conrad, delegat SPK. Delegaci wskazywali na konieczność zjednoczenia Polonii i zwiększenia jej aktywności w życiu publicznym i politycznym Kanady. ■ W Toronto zmarł 30 listopada, w wieku 79 lat, Rudolf Kogler, demograf,

statystyk, wieloletni dyrektor Polsko-Kanadyjskiego Instytutu Badawczego. ■ Polski Fundusz Wydawniczy w Toronto oraz Fundacja W. i N. Turzańskich zorganizowały Tydzień Literatury. Zaproszono szereg pisarzy i uczonych: prof. Jacka Łukasiewicza (Wrocław), prof. Janusza Kryszaka (Toruń), Sergiusza Sterna-Wachowiaka (Poznań), prof. Michała Mikosia (Wisconsin), prof. Jerzego Świecha (Lublin), Włodzimierza Odojewskiego oraz Krzysztofa Czyżewskiego, redaktora pisma *Krasnogruda*, które ukazuje się w Suwałkach. Uroczystość zakończono rozdaniem nagród Fundacji Turzańskich. Nagrody otrzymali: Włodzimierz Odojewski, profesorowie Łukasiewicz, Świech, Mikoś, Stankiewicz (Vancouver), Sterna-Wachowiak oraz artysta malarz z Toronto Kazimierz Głaz. ■ Polonistka na uniwersytecie w Toronto: pani dr Trojanowska została zaangażowana jako zastępczyni prof. Iribarne.

B.H.

POLNISCHE BUCHHANDLUNG

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

Mirosław G., Polska: – Pana wiersze są nie tylko przegadane, lecz nadto, już choćby w „Bohaterach i karierowiczach”, posługują się stereotypami – słuszne to i jednocześnie nic nowego nie wnosi.

Michał K., Polska: – Wiersze, które Pan nadesłał ani nie zwracają uwagi swymi walorami poetyckimi ani nie poruszają swą problematyką, zarazem też nie dają pojęcia o Pana możliwościach.

Marzena T.-W., Polska: – „Socromantycy” to zaledwie szkic jakiejś pełnokrwistej sztuki teatralnej. Gdyby Pani decydowała się ją pisać, bez wątpienia przydałaby się żywsza wymiana zdań, nadanie tempa, wreszcie wprowadzenie realiów czasu, który chce Pani sportretować. Jak na razie rzecz nie spełnia zapowiedzi z listu: trudno tu bowiem odnaleźć to pokolenie, które, jak Pani pisze, „było twórcze i w pełni przeżywało rzeczywistość swojej młodości czyli PRL”.

Anonimowy Autor wiersza „Kochaj Jezusa” – Grafomanii nie publikujemy. Pomyśl, że miłość chrześcijańska ma polegać na lżeniu papieża i powątpiewaniu w jego polskość jest... No właśnie: słów brak.

Teresa G., Polska: – Wiersze Pani są niestety pozbawione dyscypliny artystycznej, jak choćby w wersie, w którym mówi Pani o myślach, które „popłyną odkrytą falą”: obraz odkrytej fali nie mówi nic.

Lucyna K., Kanada: – Wiersze, które Pani przysłała, mają walor intymnej, głębokiej modlitwy, trudno je jednak uznać za utwory artystyczne.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE

91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.

Commission Paritaire N° 60789.

Dépôt légal: 1^{ère} trimestre 1999.

Akredytowany korespondent *Kultury* w Rosji:

Mariusz Wilk, Primorskaja 15, Archangelskoj obl.,
164409 SOŁOWKI

Skład komputerowy: MacWire Diffusion.

Imprimé en France.

KULTURA

REDAKTOR: JERZY GIEDROYC

Adres Redakcji: 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 Maisons-Laffitte – Telefon 01-39-62-19-04

Fax: 01-39-62-57-52

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1999			
AFRYKA POŁUDNIOWA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/IL, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., P.O.B. 29443, 61239 Tel-Aviv. Tel. i fax: (3) 5606311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5. Tel.: (450) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 789-8260, fax: (613) 789-1051; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8, tel.: 545-2115	\$ can.13,00	\$ can.75,00	\$ can.140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessesstr. 39/41, D 80328 München, tel.: (089) 54-21-80; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, 1, tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 27, rue de la Fontenette, 1227 Carouge/GE. Tel.: 343-05-84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Wojciech Luterek, Regnstigen 14-6 Tr., 169-60 SOLNA. Tel. (08) 83-13-33.	Sk 85,00	Skr 450,00	Skr. 850,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109, tel.: (216) 351-8219; POLONIA Bookstore, 4738N Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60630, tel. (773) 481-6968; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, CA 94306-1541. Tel. (650) 327-5590 & (650) 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 333, West 38th Street, New York, N.Y., 10018, tel.: (212) 594-2266	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (171) 370-2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: (06) 77-20-15-58	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach nie wymienionych prenumerata roczna – F. 600; półroczna – F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru – F 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE – C.C.P. PARIS 18-228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy)

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

Tom 498

ANNA SUPRUNIUK – MIROSLAW A. SUPRUNIUK

BIBLIOGRAFIA

„KULTURA” (1988-1996)

„ZESZYTY HISTORYCZNE” (1988-1996)

DZIAŁALNOŚĆ WYDAWNICZA (1988-1996)

Str. 464

Cena F. 200,00



Tom 505 – ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT

STO DWUDZIESTY SZÓSTY

zawiera opracowania: W. Jaruzelski: *O stanie wojennym raz jeszcze*; H. Świdorska: *Z dziejów polskiej prasy w Anglii*; K.W. Studnicki-Gizbert: *Łotwa – wrażenia i statystyki*; A. Garlicki: *Zeznania Bolesława Piaseckiego*; G. Mazur: *Nieznany list gen. Pawła Szandruka*; J.Z. Szyleyko: *Dziennik radiowy Rozgłośni Polskiej RWE 1952-1972*; A. Albrecht: *Noc jak czarna rozpacz*; B. Stachewicz: *Wspomnienie o generale Stachewiczu*; B. Osadczyk: *Mykoła Lebed' – od terrorysty do politycznego pragmatyka*; B. Berdychowska: *Burzliwe życie Nadii Surowcowej*; M. Pruszyński: *Wojna 1920 r. (Uzupełnienie relacji)*, J. Lewandowski: *Rosja o wschodniej Europie i o Polsce*; E. Halicz: *Polska na zakrętach dziejów*; St. Gajdzica: *O internowaniu inaczej*; A. Balińska: *Choroba jako ideologia. Tyfus plamisty w okupowanej Polsce 1939-1944*; B. Bartnikowski: *„Batory” po wojnie*; OKRUCHY HISTORII i LISTY DO REDAKCJI.

Str. 240

Cena F. 90,00

Cena 90 F